

Wit Szostak

Sto dni bez słońca

## O Finneganach

Finnegany wyrastają samotnie na Atlantyku niczym niechciane, porzucone dzieci Hebrydów. Irlandczycy z hrabstwa Donegal mówią o nich „poza horyzontem”. Na Finneganach jest tylko jeden uniwersytet, choć niektórzy uważają, że nawet ten jest niepotrzebny.

Archipelag siedmiu wysp znajduje się ponad sto kilometrów na północny zachód od wybrzeży Irlandii; na każdej leży rybacka wioska, czasem ruiny budowli megalitycznych; tylko jedno miasteczko z prawdziwego zdarzenia: wybrzeża chłostane falami, wzgórza porośnięte zieloną trawą, owce.

## O transporcie morskim

Dojechać tam trudno. Najpierw samolotem do Belfastu, potem autobusem do Derry, następnie autostopem do niewielkiego Mean Laragh, skąd odpływają promy na Tory Island. Dalej kutrem rybackim albo statkiem pasażerskim, który kursuje tylko raz na tydzień. Tego właśnie nie wiedziałem i spędziłem w West Town kilka smutnych dni, gdyż na dodatek wszystkie kutry były w morzu. Wreszcie przypłynął statek i po kilku godzinach znalazłem się u celu. Już w Belfaście zastanawiałem się, czy dobrze zrobiłem. Mogłem wprawdzie wybrać krótszą i mniej męczącą drogę, ale zostałem wprowadzony w błąd przez informację turystyczną.

## O wyspie

St. Brendan College mieści się w dawnym klasztorze benedyktyńskim, który w XIII stuleciu wyrósł na gruzach wcześniejszego kompleksu iroszkockiego. Uniwersytet założył w XVIII wieku nieustrudzony biskup Berkeley, kiedy upadł jego projekt szkoły na Karaibach. Republika Irlandii utrzymuje kilkunastu uczonych, na wyspę wysyła się stypendystów i doktorantów; lokalnych studentów jest niewielu.

Newport to niewielka osada. W zatoce port rybacki, wokół niego domki na nabrzeżu i kilka niknących szybko bocznych uliczek. Jedna tylko, Main Street, prowadzi na wzgórze, gdzie wznoszą się zabudowania uniwersyteckie. Wzdłuż niej przycupnęły w dwóch szeregach jednopiętrowe domki, gdzie gościnne wdowy wynajmują wykładowcom pokoje. Ja trafiłem na korpulentną panią Magee. Na parterze mieścił się niewielki sklep z lokalnym tweedem, w którym prawie nigdy nie widziałem klientów, w głębi pokoje pani Magee, a na piętrze, już pod skosami niewysokiego dachu, mój pokoik i mikroskopijna łazienka.

## O przyczynie przyjazdu

To miał być dla mnie cały świat na długie miesiące semestru zimowego. Byłem przekonany, że padłem ofiarą jakiejś biurokratycznej pomyłki w fundacji, która przyznawała stypendia w ramach programu „Teachers Mobility”, umożliwiające wykładowcom z krajów Unii Europejskiej tymczasową zmianę naturalnego środowiska akademickiego. We wniosku trzeba było zgłosić dokładny sylabus wykładów i miejsce planowanego wyjazdu. Ja zaznaczyłem Oxford, jako drugą możliwość podając ewentualnie Cambridge. Zapewne ktoś musiał zawieruszyć gdzieś te sugestie i otrzymałem decyzję o skierowaniu mnie do St. Brendan College w Newport.

Wyznaję, że nie wiedziałem wcześniej o istnieniu tego uniwersytetu, miasteczka, a nawet archipelagu Finnegan Islands. Nie ma go w moim atlasie, milczy o nim Wikipedia. Ale mimo to jest. Tam właśnie spędziłem cały semestr, walcząc z melancholią, pożądaniem i niemocą twórczą. I nawet jeśli to wszystko niewielu czytelnikom wyda się interesujące, właśnie o tym chcę opowiedzieć.

## O pani Magee

Salonik pani Magee wychodził na niewielki ogródek, otoczony, jak wszystko w Newport, szarym kamiennym murkiem. Pośrodku starannie utrzymanego trawnika rosła karłowata palma, jeden z niewielu na Finneganach dowodów na łagodne działanie Golsztromu. Jak wynika z moich notatek – które starałem się prowadzić codziennie, narzucając sobie miłą dla umysłu rutynę – przez sto dwadzieścia dni mojego pobytu na wyspie tylko piętnaście z nich minęło bez deszczu. Wszystko wokół było wilgotne, a świsty morskich wiatrów towarzyszyły mi przez cały czas.

Pani Magee zapraszała mnie popołudniami do swego saloniku, gdzie siadaliśmy przed kominkiem i popijaliśmy herbatę. Mało mówiła, potrzebowała tylko czyjejś obecności. Wiem, że przede mną mieszkało u niej wielu wykładowców, po jednym znalazłem nawet jakieś drobne przedmioty w szufladzie biurka. Kiedy pani Magee odzywała się wreszcie, wspominała swego męża, który był rybakiem. Mówiła, że zginął przed półwieczem u wybrzeży Grenlandii, podczas polowania na wielkiego kaszalota. Ponoć w grzbiet wieloryba wbite były harpuny sprzed dwustu lat. Tak w każdym razie mówili pani Magee ci, co przeżyli.

Moja gospodyni miała bez mała osiemdziesiąt lat, choć zachowała sprawność aż do końca. Z rzadka skarżyła się na cokolwiek. Codziennie rano chodziła na zakupy z wełnianą torbą przewieszoną przez ramię, wspierając się na drewnianej lasce. Z jej kuchni najczęściej dochodził zapach ryb, podobnie jak z większości kuchni Newport. Poza darami oceanu można też było u niej dostać baraninę; pomiędzy surowymi skałami na wszystkich Finneganach wypasano owce.

Po dwóch próbach korzystania z kuchni pani Magee zacząłem się stołować w położonym niedaleko pubie, gdzie z radością wszedłem w monotonię *irish stew* i *fish and chips*. Polubiłem to proste jedzenie, popijane guinnessem. Toby McGraw gotował dobrze, choć niewymyślnie. Chciałbym powiedzieć, że Finneganym słyną ze znakomitej baraniny, ale te wyspy z niczego nie słyną; choć baranina jest tu wyborna.

## O przemianie duchowej

Kiedy pierwszego dnia po przybyciu obszedłem całą wyspę, posmutniałem. Wyglądała jak więzienie, a ja poczułem się jak Napoleon na Świętej Helenie. Za wzgórzem, na którym stał gmach uniwersytetu, znajdowało się urwisko, o które rozbijały się fale. Byłem odcięty od świata. Ale nie trwałem długo w tym przygnębieniu. Nie należę do ludzi, którzy łatwo popadają w depresję, na ogół staram się dostrzec w swoich przeżyciach pozytywną stronę. Nie zawsze jest to łatwe, ale drogą wytrwałego treningu udoskonaliłem tę posiadaną od dziecka umiejętność.

Postanowiłem, że odosobnienie dobrze mi zrobi, usunięcie się z zawrotnego pędu współczesnego świata pozwoli przemyśleć własne życie i zobaczyć, co w nim jest istotnego. Poczulem się jak pustelnik, który dobrowolnie oddał się od ludzkich skupisk, by w samotności przemierzać rozległe przestrzenie własnej duszy, szukając spokoju i Boga. Ja nie wierzyłem w Boga, ale plany wędrówek po licznych i nieznanym mi zaułkach mego bogatego wnętrza bardzo mnie ekscytowały. Liczyłem, że wrócę z Finneganów mądrzejszy i dojrzały; nie pomyliłem się i tak też się stało.

Wiele spraw zrozumiałem i przemyślałem, przewartościowałem też sporo dawnych sądów i pozbyłem się wielu fałszywych mniemań. Z radością zrzuciałem resztki dawnego siebie niczym wylinkę, otrząsając się z nagromadzonych warstw duchowego brudu. Przede wszystkim zaś poświęciłem się pracy, nie mogąc już szukać wymówek w codziennym zagonieniu.

## O pracy

Do moich obowiązków należało przeprowadzenie czterech godzin zajęć tygodniowo, przygotowanie ich, a także pozostawanie do dyspozycji studentów przez dwie godziny w tygodniu. Raz na tydzień dziekan O'Grady zwoływał zebranie wszystkich wykładowców. Podczas niego rozmawialiśmy o sprawach naukowych i organizacyjnych. Kolejni zaproszeni wykładowcy prezentowali społeczności uczonych swoje projekty badawcze, po czym szliśmy na obiad do wspaniałej rybnej restauracji, którą prowadzono w hotelu Brendan's Toe przy samym porcie.

Lubiłem te popołudniowe godziny, kiedy siedzieliśmy po posiłku w fotelach obszernego lobby, paliliśmy fajki i rozmawialiśmy o wysokiej kulturze. Czułem, że tu, na zapomnianych nawet przez meteorologów rubieżach, bije serce świata Zachodu. I gdyby ktoś zajrzał przez zaparowane okna hotelu do jego wnętrza, z pewnością potwierdziłby moje słowa. Mężczyźni ubrani w tweedowe marynarki, poważne dyskusje i ta nieskrępowana postmodernizmem szczerą miłość do literatury i sztuki. Może byliśmy naiwni, może byliśmy anachroniczni. Ale w tamte popołudnia to nie miało żadnego znaczenia. Czuliśmy się strażnikami upadającego imperium, spadkobiercami wciąż żywej tradycji.

Jak widać, wszystkie moje zajęcia przewidziane kontraktem mogły mi wypełnić co najwyżej jeden dzień. Resztę czasu miałem dla siebie i postanowiłem usiąść do monografii, której projekt kołatał się po mojej głowie od kilku lat. Zgłaszając się do programu wymiany międzyuczelnianej, zaproponowałem cykl wykładów poświęcony Filipowi Włócznikowi, wybitnemu polskiemu pisarzowi fantastycznemu. Twórczość tego fetowanego w kraju i niestety nieznanego poza jego granicami prozaika zasługiwała na rzetelne opracowanie. Jego zmagania z demonami wyobraźni domagały się dogłębnego zbadania. Rozpisana na kilkanaście wykładów problematyka zaczęła mi się z czasem rozrastać i kolejne puste dni na Finneganach zaowocowały wykrystalizowaniem się gotowego planu monografii. Zabrałem ze sobą oczywiście wszystkie dzieła Włócznika, w komputerze miałem recenzje jego powieści i nieliczne poświęcone mu w Polsce szersze omówienia (z czego większość stanowiły moje własne artykuły).

I tak, zupełnie nieoczekiwanie, pomysł – który miał być tylko pretekstem do wyrwania się na kilka miesięcy z dusznego środowiska macierzystego wydziału – stał się przygodą, która wypełniła mi krótkie dni i długie noce w Newport. Do późna siedziałem przy biurku i stukając w klawiaturę laptopa, wnikałem coraz głębiej w wymyślone światy Filipa Włócznika. Nie muszę dodawać, że kilkakrotnie zmieniałem swój pogląd na jego twórczość, a pogłębiony namysł nad tekstami źródłowymi wyrzucił nie tylko moje wcześniejsze interpretacje, ale też całą krajową recepcję pisarza. Cieszyłem się jak każdy humanista na tę małą i niewinną rewolucję, którą rozpętam publikacją mojej skromnej monografii. Dni mijały szybko, a macki melancholii trzymały się z dala od mej izdebki na poddaszu.



## O wdowich plecach

Mam świadomość, że powyższe akapity pozwoliły uważnemu czytelnikowi zorientować się, z kim ma do czynienia. Ten lapidarny wstęp nienachalnie szkicuje sylwetkę młodego i utalentowanego humanisty, obdarzonego żywą inteligencją, taktem i poczuciem estetyki; rozkochanego w tradycji i wierzącego w dawne wartości; skromnego, choć przecież świadomego swej wartości i kielkującej wielkości. Jeśli czytelnik zaczął wyobrażać sobie taką właśnie postać, to śpieszę zapewnić go, że to wszystko prawda.

Dlatego też z niejakimi oporami muszę wprowadzić w tę opowieść obcą nutę, mając świadomość, że może ona zafałszować wiodący temat muzyczny. Otóż już w pierwszych dniach mego pobytu na Finneganach gospodyni, dobra pani Magee, zwróciła się do mnie z niewinną na pozór propozycją. Kiedy, korzystając z jej uprzejmości, parzyłem sobie herbatę w kuchni, bezszelestnie zaszła mnie od tyłu i zagadnęła o zdrowie. Wprawnie poprowadziłem konwersację, nawiązując do bieżących warunków pogodowych, lokalnego klimatu i wpływu tych czynników na kondycję psychofizyczną człowieka. Słuchała mnie z uwagą, przyzwyczajona do przebywania w towarzystwie osób gruntownie wykształconych i potrafiąca czerpać z ich wiedzy. Ja mówiłem, ona słuchała, wpatrzona. Zatoczyłem retoryczne koło i powróciłem błyskotliwie do jej pytania:

– A jak tam zdrowie?

Wtedy pani Magee westchnęła i zaczęła uskarżać się na chroniczne bóle pleców. Jak wszyscy prości ludzie, nieprzyzwyczajeni do trafnego nazywania własnych przeżyć, ta wdowa po wielorybniku pomagała sobie gestami i mimiką, wskazując bolące miejsca i próbując grymasami oddać charakter bólu. Kiwałem głową ze zrozumieniem, oczywiście powstrzymując złośliwe komentarze pod adresem jej środków wyrazu.

– Czy mogę mieć do pana niewielką prośbę? – zapytała na koniec.

– Zrobię wszystko co w mojej mocy – odparłem odruchowo, kierowany własnym dobrym wychowaniem.

– Mógłby mi pan nasmarować plecy? To przynosi ulgę.

Po chwili siedzieliśmy na sofie, a pani Magee zachwalała skuteczność lokalnego specyfiku, pachnącej wodorostami maści. I wtedy nieoczekiwanie miało miejsce pewne zdarzenie, które bez odpowiedniego komentarza mogłoby zostać przez czytelnika niewłaściwie zrozumiane. Otóż moja gospodyni bez uprzedzenia jednym ruchem ściągnęła sweter i bluzkę, obnażając się do pasa.

– Przed panem jak przed doktorem, nie ma się czego wstydzic – powiedziała, przysuwając się do mnie.

Nie muszę dodawać, jak niezręcznie się poczułem. Oto siedziałem sam na sam z półnągą finnegańską staruszką, wdową po wielorybniku, wokół pachniało wodorostami, a ja, zakłopotany, patrzyłem na jej pomarszczone ciało. Z natury jestem opanowany i niewiele rzeczy potrafi wyprowadzić mnie z równowagi, wtedy jednak – nieco skonfundowany – zacząłem wyjaśniać różnicę pomiędzy doktorem medycyny (MD) a

doktorem filozofii (PhD), którym w istocie byłem.

– Proszę wcierać – zaordynowała moja gospodyni i usiadła tyłem do mnie.

Drżącymi dłońmi zacząłem nakładać tłustą maść na jej plecy, a pani Magee mruzczała z zadowolenia i wyginała grzbiet, z radością poddając się temu wymuszonemu podstępem masażowi. Nie muszę wyjaśniać, że ta dwuznaczna sytuacja nie miała dla mnie erotycznego charakteru, starałem się jednak wywiązać ze swej roli sumiennie. Płynnymi ruchami wcierałem tajemniczą substancję w pomarszczoną skórę, nie omijając regionów, które napawały mnie pewnym niepokojem. Zacisnąłem zęby i niosłem pomoc starej kobiecie.

Nie wiem, ile to wszystko trwało, ale nie mogę oprzeć się wrażeniu, że za długo. Po pewnym czasie, kiedy moje palce zmęczyły się na tyle, że musiałem przestać, pani Magee odwróciła się do mnie, nakryła tweedowym pledem i wylewnie podziękowała.

– Nawet pan nie wie, jaka jestem wdzięczna, tak trudno jest starej, samotnej kobiecie. Niewielu jest gotowych przynieść jej ulgę w cierpieniu, te chwile wiele dla mnie znaczą.

Siedziała przede mną, owinięta kocem, ale nadal półnaga, swobodna, uśmiechnięta, rozluźniona. Wchodząc jej w słowo, zwięźle wytłumaczyłem, jak ważne badania prowadzę nad twórczością Filipa Włócznika, jak blisko jestem epokowego odkrycia, jak bardzo potrzebuję skupienia i jak cenię sobie spokój, który zapewnia mi jako gospodyni. Mówiąc to, wstałem i zacząłem się wycofywać w stronę schodów. Wreszcie, bezpieczny już, pożegnałem się i czmychnąłem.

Liczyłem wówczas, że podobna sytuacja nigdy się nie powtórzy. Muszę jednak teraz przyznać, że gdyby rzeczywiście tak się stało, a zdarzenie owo przeszło do historii mego pobytu na Finneganach na prawach epizodu, uznałbym wówczas za wskazane w ogóle pominąć je milczeniem. Bynajmniej nie dlatego, że to wspomnienie zawstydzia mnie w jakimkolwiek stopniu lub stawia w niekorzystnym świetle, lecz z powodu jego nieważności dla całej opowieści. Wytrawny gawędziarz musi umieć rezygnować ze szczegółów, które nic nie wnoszą, aby nie nudzić i umiejętnie budować napięcie. I nie wątpię, że uważny czytelnik zdążył już zauważyć te cechy w mojej historii. Dzielę się tu tylko sprawami istotnymi i zapewniam, że zwiędłe piersi pani Magee do nich nie należą.

Liczyłem więc na epizodyczny charakter tego zdarzenia, jednak sprawy przybrały nieco inny obrót.

## O tweedowej czapce

Wspomniałem, że na parterze znajdował się sklep z tweedem. Nie była to jednak informacja ścisła, gdyż jego witryna znajdowała się obok domku, w którym mieszkała pani Magee. Żeby nie komplikować czytelnikowi topografii, który to zabieg często utrudnia lekturę, postanowiłem stopić te dwa budynki w jeden. Jednak po pewnym namyśle uznałem, że moja opowieść musi być prawdziwa. W fikcji literackiej nie ma znaczenia, gdzie znajdował się sklepik pana Howlina, ale ta opowieść ma być historią mojego życia, moich długich czterech miesięcy spędzonych na Finneganach. I choćby taka drobiazgowość okazała się dla narracji nieporęczna, a dla czytelnika irytująca, muszę jednak rozdzielić te dwa budynki. Inaczej nie mogę.

Idąc od portu, mniej więcej w połowie Main Street, najpierw mija się dom pani Magee, opatrzony numerem dwudziestym, a następnie (pod dwudziestką dwójką) prowadzi swój sklepik pan Howlin. Nie znam się na tkactwie i krawiectwie, ale zapewniono mnie, że pochodząca z tych wysp wełna należy do najbardziej cenionych na świecie. Najznakomitsze marki kupują przedzę na Hebrydach Zewnętrznych. Ta z Finneganów jest mniej popularna, ale równie doskonała. Pan Howlin kupuje materiały od trzech miejscowych tkaczy, sam z synem szyje garnitury i kaszkiety.

Do tegoż sklepiku i zakładu krawieckiego w jednym skierowałem swoje kroki drugiego dnia po przybyciu. Nie byłem jakoś szczególnie zainteresowany tweedem, ale w Newport nie znajdziemy wielu rzeczy do zobaczenia. Nacisnąłem kłankę i wszedłem w ciasny świat zielonych marynarek i brązowych kamizelek. Na półkach po lewej stronie leżały bele materiału, a po prawej, na wieszakach, wisiły gotowe ubrania. Pomędzy tym wszystkim poznałem ją.

– Myśli pan, że dobrze leży? – zapytał nagle kobiecy głos. Jego właścicielka wynurzyła się po chwili spomiędzy tweedów.

Miała na sobie czapkę, którą znałem z filmów o Sherlocku Holmesie – z dwoma daszkami i wiązanyimi na szczycie nausznicami. Spojrzałem na nią i oniemiałem. Spod daszka patrzyły na mnie uważnie ciemne oczy, a przez lewy policzek biegła ohydna blizna, która przykuwała wzrok. Starłem się nie patrzeć, ale nie potrafiłem. Blizna zaczynała się u nasady nosa i nierównym zygzakiem szła aż do kości żuchwy, szpecąc całą twarz.

– Może być? – powtórzyła dziewczyna.

– Znakomicie, znakomicie – wydukałem, udając, że patrzę na nakrycie głowy.

– Proszę nie kłamać.

– Nie kłamię! – zapewniłem energicznie.

– Jadranka Vidović – powiedziała nieoczekiwanie, wyciągając dłoń.

Przedstawiłem się i wyszliśmy ze sklepu. Czapka wylądowała z powrotem na półce.

## O Jadrance

Jadranka Vidović była jedną z dwóch kobiet wykładających w St. Brendan. Druga to Irlandka o niemożliwym do wymówienia gaelickim imieniu Sadhbh. Jadranka pochodziła z Chorwacji, choć od lat mieszkała w Niemczech. W St. Brendan prowadziła cykl wykładów poświęconych motywowi winorośli we współczesnej prozie Bałkanów. Jej zajęcia cieszyły się wielkim zainteresowaniem, czego skrycie zazdrościłem, gdyż na mój kurs uczęszczało zaledwie pięć osób. Później wielokrotnie dała się poznać jako osoba bystra i inteligentna. Potrafiła opowiadać o swoim projekcie z taką pasją, że mogłem jej słuchać godzinami.

O pochodzenie blizny, rzecz jasna, nie pytałem, gdyż podejrzewałem, że skrywa się za nią jakaś ponura historia wojenna, o której doktor Vidović nie chce opowiadać. W relacjach z kobietami zawsze zresztą starałem się kierować taktem i delikatnością, na ile oczywiście było to możliwe.

Znam się na ludziach, od razu zauważam rzeczy, które dla wielu innych pozostają niewidoczne. Ta przenikliwość uchroniła mnie wielokrotnie przed poważnymi błędami i nieporozumieniami, które tak często towarzyszą naszym relacjom międzyludzkim. Tak było i tym razem. Udałem więc owego dnia, że nie zauważam żadnej skazy na jej twarzy, i spacerem ruszyliśmy w stronę portu. Postanowiłem przy najbliższej okazji kupić czapkę, którą Jadranka mierzyła u pana Howlina, i podarować ją jej w prezencie. Drobnym upominek, który mógł ucieszyć tę oszpeconą i zapewne wielce nieszczęśliwą kobietę.

## O życiu uporządkowanym

Wspomniałem, że postanowiłem zaraz po przyjeździe do Newport wdrożyć się w regularny tryb życia i zerwać z dawnymi zwyczajami, które rozprzęgały mnie przez tyle lat. Wziąć własne lenistwo w karby porządku, oto mój sekretny plan. Dawne życie zostało na kontynencie, daleko poza horyzontem.

Opracowałem więc szczegółowy plan dnia, uwzględniający moje skromne obowiązki. Wyznaczyłem sobie pory wstawania i kładzenia się do łóżka. Ileż razy tę ostatnią zdarzyło mi się przekroczyć, gdy ślęczałem pochylony nad twórczością Filipa Włócznika, tworząc zręby własnego dzieła!

Jednak powziętych ustaleń starałem się przestrzegać. Rozpoczynałem dzień od gimnastyki, z każdym kolejnym porankiem starając się zwiększyć liczbę robionych pompek i przysiadów. Później szedłem do sklepu, kupowałem bułki i coś na śniadanie, które następnie spożywałem, zapoznając się z lokalną prasą. Na Finneganach nie ukazywała się żadna gazeta, ale raz na tydzień statek przywoził magazyny z hrabstwa Donegal, zwłaszcza szczególnie poczytny tu „West Town Journal”.

Uważnie wczytywałem się w artykuły o rybołówstwie, szczegółowe prognozy pogody i interesujące wywiady z miejscowymi hodowcami owiec. Był też cykl artykułów o ruinach, a także zjadliwy felieton chłoszczący wady surowych mieszkańców wysp. Skromność rubryki kryminalnej pozwalała wierzyć w dobroć i sprawiedliwość tutejszej ludności, a ogłoszenia drobne nie potrafiły ukryć ogólnoświatowego kryzysu.

Po śniadaniu raz w tygodniu udawałem się na uczelnię, gdzie spędzałem cały dzień. W pozostałe dni tygodnia siadałem do pracy, porządkując materiał i poprawiając tekst napisany wieczorem. Około południa szedłem na spacer do portu, po drodze wstępowałem na obiad do ulubionego pubu, po czym znów powracałem do pracy. Wieczorem zjadałem kolację i szedłem na pintę guinnessa. Czasem o tej porze spotykałem się z innymi wykładowcami bądź czytałem książki kupione w jedynym antykwariacie na wyspie. Była to przeważnie klasyka literatury angielskiej i irlandzkiej, sprzedawana po przystępnych cenach. Po miesiącu okazało się, że za naprawdę niewielką sumę mogę jedynie wypożyczać interesujące mnie pozycje. Zorientowałem się wtedy, że antykwariat pełni raczej funkcję lokalnej biblioteki, a „nowości” to po prostu książki zwrócone przez stałych klientów, do których i ja szybko dołączyłem.

Nocami, w zależności od natchnienia i postępu prac, albo przedzierałem się przez kolejne rozdziały mojej monografii o Włóczniku, albo kładłem się spać, odnotowując w dzienniku podróży podstawowe fakty i obserwacje z minionego dnia. W ten sposób zgromadziłem wiele informacji dotyczących pogody, dziennego menu, a także postępów mojej pracy naukowej. Zapisywałem też zasłyszane opinie i zapamiętane fragmenty rozmów.

Notatki te są mi bardzo pomocne teraz, kiedy postanowiłem nadać moim wspomnieniom bardziej literacką formę. Stanowią szkielet, na który nakładam mięśnie i

ścięgną opowieści, aby wszystko pokryć gładkim naskórkiem językowej szaty. Od początku zastanawiam się, jaki dać tytuł tej historii. Spędziłem na Finneganach sto dwadzieścia dni, z czego tylko przez piętnaście nie padało. Wiem zatem, dzięki swej skrupulatności, że słońca nie było przez równe sto pięć dni. Ponieważ jednak liczba sto pięć w tytule nie brzmi dobrze, pozwoliłem sobie na niewielkie przekłamanie i ostatecznie zdecydowałem się zatytułować moje wspomnienia tak: *Sto dni bez słońca*. To dobry tytuł, konkretny i rzeczowy. Początkowo myślałem o precyzyjniejszym: *Sto dni bez słońca na archipelagu Finneganów*, ale po dłuższym zastanowieniu uznałem to za przesadne. Myślę, że ten obecny nie jest zanadto pretensjonalny, a do tego dyskretnie nawiązuje poetyką do tytułów powieści Filipa Włócznika. Niech to nawiązanie stanie się moim skromnym literackim hołdem dla tego wielkiego pisarza. A zatem postanowione, zostaje *Sto dni bez słońca*. Choć zawsze będę pamiętał o tym drobnym kłamstewku, o tych pięciu pochmurnych dniach, które zatuszowałem.

Teraz, kiedy piszę te słowa, nadal pozostaję w żelaznym rygorze, który narzuciłem sobie na wyspach. Cieszy mnie to, gdyż nieregularne życie przez wiele lat rujnowało moje plany i osłabiało wolę. Moje uporządkowanie zauważono w St. Brendan i wielokrotnie chwalono, stawiając za wzór innym. Nie przyznawałem się, że coś, co jest przez postronnych brane za trwałą *habitus* mojej osoby, jest zwyczajem świeżo nabytym, czymś nowym i dla mnie samego ekscytującym.

*Fascynująca rutyna* – tak brzmiał nawet tytuł mojego artykułu do „West Town Journal”, który przesłałem do redakcji już w pierwszym miesiącu pobytu na Finneganach. Pomyślałem, że dla rodzimej ludności będzie niezwykle interesujące dowiedzieć się, jak widziana jest ich mała ojczyzna oczami przybysza z zewnątrz, podróżnika wrażliwego i inteligentnego, który sam niejedno widział i niejedno przeczytał. Ta perspektywa podróżującego intelektualisty mnie samemu wydaje się bardzo ciekawa i muszę przyznać, że często sięgam po teksty, w których jest ona zachowana. Dzięki temu możemy się wiele dowiedzieć nie tylko o miejscach, których sami nie widzieliśmy, ale także o tych, które wydają nam się dobrze znane.

Dałem zresztą temu wyraz w swoim obszernym eseju, wypełniając go wnikliwymi spostrzeżeniami i błyskotliwymi komentarzami. Jednak tekst nigdy się nie ukazał, nad czym zresztą ubolewał sam redaktor naczelny w specjalnie skierowanym do mnie liście. Mieszkańcy Finneganów stracili tym samym okazję, by spojrzeć na siebie z dystansu zaproponowanego przez inteligentnego obserwatora; szkoda.

Nie ukrywam, że ów szkic był zaczynem, z którego rodzi się ta opowieść. Opowieść o mnie, o mojej pracy, o ludziach, których spotkałem podczas wyjazdu, a także o mojej wielkiej przygodzie z tekstami Filipa Włócznika. Czy okaże się warta opowiedzenia – nie mnie oceniać.

## O skrywanych żądzach

Niechętnie muszę powrócić do wzmiankowanego już wieczoru w saloniku pani Magee. Najchętniej wymazałbym cały tamten epizod z pamięci, zwłaszcza że widok nagich pleców pani Magee powraca w moich snach nadspodziewanie często. Po owym niefortunnym zdarzeniu, kiedy padłem ofiarą własnej dobroci i życzliwości, przez kilka dni udawało mi się unikać mej gospodyni w porze, gdy nabierała ochoty na smarowanie. Raz jednak zaczęła się na mnie przy schodach i zaczęła się znowu skarżyć na powracający ból pleców, w ten niewyszukany sposób dając mi do zrozumienia, że powinienem powtórzyć zabieg.

Wymówiłem się sprytnie, tłumacząc pani Magee, że polska humanistka czeka z niecierpliwością na moją rozprawę o prozie Włócznika (nie musiałem nawet wiele koloryzować) i że odciąganie mnie od mej pracy jest po prostu niemoralne (nawet jeśli niezamierzone i nieświadome). Zanim ma gospodyni zdążyła zareagować, byłem już na górze, bezpieczny za drzwiami swego pokoiku.

Jednak natarczywość starej kobiety zatrzała mi myśli i nie mogłem uwolnić się od powracających obrazów jej smutnej nagości. Zacząłem bowiem rozumieć, jaką to pułapkę zastawiła na mnie ta sprytna Finneganka. Bystre skojarzenie faktów – drobnych z pozoru gestów i nieznaczących odruchów – pozwoliło mi na zobaczenie całej sprawy w zupełnie nowym świetle. Rzekomy ból pleców i jakaś tajemnicza maść to była tylko zasłona dymna, dobry pretekst i zarazem usprawiedliwienie dla czegoś zgoła innego. Ktoś inny na moim miejscu zapewne nabrałby się na tę mistyfikację, wszak osiemdziesięcioletnia kobieta z łatwością może symulować przeróżne schorzenia, odwołując się do stereotypowych skojarzeń starość-choroba. Ale ja przejrzałem tę grę i nagle ujrzałem jej zamiary jak na talerzu, bezbronne i zdemaskowane. Nie zajęło mi to oczywiście wiele czasu, gdyż od lat z powodzeniem trenowałem umysł w rozwiązywaniu najtrudniejszych nawet łamigłówek.

Otóż ta na pozór bogobojna wdowa, szacowna i szanowana obywatelka Newport, mimo podeszłego wieku miotana była przez silne żądze, których wszakże nie miała okazji zaspokajać. Stare ciało wciąż było areną seksualnych napięć, których okoliczności nie pozwalały rozładować. Jednak spryt jej prostego umysłu, ów tak ceniony przez wyspiarzy *common sense*, pozwolił pani Magee opracować przebiegłą strategię prowadzącą do erotycznych uniesień. Kiedy to przejrzałem, wszystkie jej zachowania – od nagłego obnażenia, poprzez całkiem jawne pojękiwania z rozkoszy – stały się dla mnie jasne.

Pani Magee od lat wynajmowała pokój przyjezdnym wykładowcom, zapewne zastrzegając u kolejnych dziekanów, że chętnie przyjmie pod swój dach młodych i przystojnych mężczyzn. Tymczasowość ich pobytu, jak też naturalna wśród ludzi uniwersytetu uprzejmość i uczynność wobec przedstawicieli prostego ludu, sprzyjały planom chutliwej wdowy. Nie chcąc urazić uprzejmej i miłej gospodyni, dawali się oni wciągać w tę grę, której początkiem było smarowanie pleców. Jednak wiadomo, do czego

może prowadzić regularne dotykane pónagiej i mrużącej z zadowolenia kobiety. Z początku krępująca atmosfera z czasem stawała się zapewne bardziej swobodna i naturalna, aż wreszcie pani Magee w ten sam niewinny sposób proponować musiała kolejne stopnie zażyłości. Masażu mogły przecież wymagać inne części ciała, zaś łóźko było wygodniejszym miejscem na te zabiegi niż sofa w saloniku.

Nie trzeba przenikliwości wybitnego intelektualisty, by skojarzyć wszystkie fakty i wyciągnąć z nich właściwe wnioski. Taki przebieg wydarzeń uważam nie tylko za prawdopodobny, ale niemal za pewny. Ze współczuciem myślałem w tamtych dniach o tych złamanych i zdemoralizowanych mężczyznach, bezimiennych uczonych, których dobroć wciągnęła w objęcia rozpustnej pani Magee.



## O ludziach

Zebrało się wtedy na Finneganach całkiem ciekawe towarzystwo. Razem z dziekanem O'Gradym było nas osiemnaście osób. W tej grupie dziesięcioro wykładowców stanowiło stałą kadrę St. Brendan, a pozostała ósemka to były wolne ptaki humanistyki, niespokojne duchy nauki, podobne mnie, szukające swego miejsca. Czegoś chcieliśmy, do czegoś dążyliśmy, o coś nam chodziło. Może St. Brendan College był uczelnią prowincjonalną, może ta nazwa niewiele mówiła ludziom spoza Finneganów; ale my wszyscy czuliśmy, że to właśnie tu rozwija się prawdziwa humanistyka, że właśnie tu myśli się o tym, co myślenia warte.

Nie znalazłoby się wśród nas hochsztaplerów, lawirantów, którzy naciągając biurokratyczne przepisy, potrafią prześlizgnąć się po szczeblach kariery. Byli tam za to ludzie głęboko wierzący w sprawę, której służą. Nie wyrobnicy nauki, lecz jej wirtuozi. Tyle ostrych jak brzytwa intelektów nie zgromadzono w żadnym innym ośrodku akademickim Starego Kontynentu od lat.

Tu, na marginesie świata, z dala od blichtru sal bankietowych międzynarodowych kongresów, mogliśmy oddawać się temu, co niemożliwe i wielokrotnie wyszydzone: poszukiwaniu prawdy. Studenci to wyczuwali i lgnęli do nas instynktownie. Jestem dumny, że było mi dane spotkać tych ludzi.

## O Lwie

Niewątpliwie największym autorytetem w naszej niewielkiej społeczności był Lew Michajłowicz Protopopow, rosyjski literaturoznawca, który – jak sam mówił z melancholijnym uśmiechem – oglądał upadek domu Romanowów. Był to wiekowy uczonek o nienaganych manierach i strojach z poprzedniej epoki. Niedługo po rewolucji jego rodzina wyemigrowała z Rosji, a wraz z tym wydarzeniem rozpoczęło się dla Lwa trudne życie wygnańca.

Zdobywał wykształcenie w stolicach Europy, studiował na największych uniwersytetach, a jego rozprawy kilkakrotnie rewolucjonizowały teorię literatury. W latach dziewięćdziesiątych słuch o nim zaginął, jakby on sam rozpułynał się w powietrzu. Wielki intelektualista zamilkł, po epokowej rozprawie *Koniec albo początek* nie opublikował żadnej nowej pracy.

Pamiętam, jak wydawana w drugim obiegu książka Protopopowa krążyła między nami w studenckich czasach. Jak traciliśmy wzrok nad niewielkimi literkami, mając na przeczytanie całej rozprawy jedną tylko noc; jak robiliśmy notatki, które potem wielokrotnie kopiowano; jak w naszych młodzieńczych artykułach posługiwaliśmy się znamionym skrótem LP, który każdy polski inteligent potrafił bezbłędnie rozszyfrować. Wtedy wydawało nam się, że Protopopow nie żyje. Kiedy więc spotkałem go pierwszego wieczoru w pubie u starego Toby'ego, nie mogłem uwierzyć. Miałem łzy w oczach, kiedy w starcu siedzącym przy stoliku za kominkiem rozpoznałem wielkiego uczonego. Niewiele się zmienił przez te wszystkie lata: starszy dystyngowany pan, którego portret znałem z okładki książki *Formalizm materializmu dialektycznego*. To samo dumne wejrzenie, ta sama postawa.

Lew Protopopow zaszył się na długie lata w St. Brendan, gdzie ze swoim oksfordzkim akcentem wykładał teorię literatury. On jeden spośród nas miał osobistego sekretarza, doktora Haggisa, któremu codziennie dyktował jedną stronę swej najnowszej pracy, projektu, który miał zwieńczyć nie tylko jego własną twórczość, ale też teorię literatury w ogóle. Czuliśmy powagę sytuacji, na naszych oczach rodziło się dzieło doskonałe.

Haggis to zresztą postać wysoce nieciekawa, naukowiec wtórny, kunktatorski i nieszczerzy. Żył w blasku wielkiego Lwa, bez niego nie istniał. Nie pamiętam, by kiedykolwiek miał coś do powiedzenia poza cytowaniem swego mistrza, niezbyt zresztą trafnym. Pamiętam, że kiedyś podzieliłem się tym spostrzeżeniem z dziekanem O'Gradym, kiedy już zbliżyłem się nieco do niego i zaczęliśmy obdarzać się wzajemnym zaufaniem. I pamiętam, co mi odpowiedział:

– A pan by wytrzymał, drogi kolego, codzienny kontakt z takim geniuszem?

Takie wtedy prowadziliśmy rozmowy.

Przez te miesiące, które dane mi było spędzić w Newport, nieraz rozmawialiśmy sobie z Lwem Michajłowiczem o tym nieukończonym dziele, o dziele nie do ukończenia.

Czasem czytał nam fragmenty na głos, oświetlony ciepłym odblaskiem paleniska w pubie starego Toby'ego przy Main Street. Potem dyskutowaliśmy długo, zadawaliśmy pytania, a Lew Michajłowicz odpowiadał. Czuliśmy się jak uczniowie, bo przy nim wszyscy byliśmy uczniami. I byliśmy dumni, że możemy nimi być – mając przecież własne projekty, własne publikacje i ugruntowaną pozycję w świecie europejskiej humanistyki.

Teraz, kiedy do tego wracam, nie mogę pohamować wzruszenia.

## O Filipie Włóczniku

Ze spotkań z geniuszem wracałem do własnego geniusza, niepoznanego przez świat pisarza, którego twórczość zamierzałem rozślawić swoją monografią. Miałem bowiem plan wydać ją równolegle po polsku i angielsku, przyczyniając się do wzrostu zainteresowania pisarstwem Włócznika.

Muszę przyznać, że nigdy nie było mi dane spotkać tego wielkiego pisarza. On sam bardzo starannie ukrywał swoją tożsamość przed czytelnikami i badaczami. Ciągłe nam się wymykał, zwłaszcza gdy już-już wydawało się, że właśnie go dopadliśmy.

Od lat nikt go nie widywał. Podobno zaszył się gdzieś w Beskidach i mieszka w starej góralskiej chałupie w jednym z przysiółków, które rodowici mieszkańcy opuścili przed laty, schodząc do dolin. Żyje spokojnie, raz w tygodniu schodzi do wsi po zakupy, resztę czasu spędzając na pisaniu. Nikt nie potrafi powiedzieć, gdzie dokładnie mieszka. Wiadomo, że żyje, bo ciągle ukazują się jego książki, czasem w prasie pojawi się wywiad. Włócznik pojawia się też w sieci, czasem aktywując się na którymś z licznych forów poświęconych jego twórczości. Spada nagle, jak jastrząb, bierze udział w szybkiej wymianie zdań, po czym znika, zacierając ślady. Tropili go wytrawni hakerzy, usiłując ustalić IP komputera lub zlokalizować miejsce, gdzie loguje się do sieci; bezskutecznie. Włócznik wymyka się tropicielom podobnie jak Samson de Vallois, bohater jednej z jego młodzieńczych powieści.

Ileż razy organizatorzy konwentów poświęconych fantastyce starali się go zaprosić! Kuszono go wielkimi sumami, lecz zawsze odmawiał. Kilka lat temu krążyła w sieci plotka, że Włócznik pojawia się na konwentach w przebraniu. Przychodzi na panele dyskusyjne, siada w kącie i przysłuchuje się rozmowom o swej własnej twórczości. Czasem wypije z czytelnikami piwo, ale nagle znika, a upojeni fani odnajdują wiele dni później w swych egzemplarzach książek Włócznika tajemnicze dedykacje skreślone jego ręką. Ile w tym prawdy, nie wiem. Wiem tylko, że środowisko miłośników fantastyki jest szczególnie podatne na plotki, które stają się legendami. Trudno się jednak dziwić, że Filip Włócznik stał się bohaterem mitu.

Kontakt z nim ma tylko wydawca, który podobno też nie oglądał go od lat. Jednak kolejne powieści, coraz lepsze, coraz dojrzsze, nie pozwalają wątpić, że ich autorem jest ten sam genialny i samotny Filip Włócznik. Choć trzeba dodać, że od kilku lat Włócznik pozbawia nas wszystkich możliwości obcowania z nowymi tworamii swego geniuszu.

## O miłosierdziu seksualnym

Muszę przyznać, że skutecznie wymykałem się licznym pułapkom, jakie zastawiała moja rozpustna sędziwa gospodyni. Kolejne skargi na plecy, czułe wspomnienie tamtego wieczoru czy wreszcie maść z wodorostów zostawiana w widocznym miejscu – wszystkie te znaki mówiły jedno. Czuję się osaczony, ale przejrzawszy grę pani Magee, potrafiłem uprzedzać jej działania i unikać konfrontacji.

Intensywna i dociekliwa analiza danej sytuacji sprawia jednak, że człowiek dojrzewa i potrafi zobaczyć rzeczywistość w nowym świetle. Z początku nic nie burzyło mej opinii o pani Magee, którą uznałem za osobę rozpustną i przebiegłą. Jednak po niedługim czasie zobaczyłem w niej starą i nieszczęśliwą kobietę, mimo wieku wciąż łaknącą seksualnego zaspokojenia, wykorzystywaną podstępnie przez swych nieczułych lokatorów. Przed oczami stanęło mi jej wdowie życie, pół wieku bez mocarnych ramion dzielnego wielorybnika, pół wieku spędzone w pustym, zimnym łożu. Ileż łez wylała, ileż pokus odparła? Jak zdesperowana musiała być ta kobieta, gdy wystawiała na okrutne spojrzenie młodego i przystojnego wykładowcy z Polski swe obwisłe piersi? W jednej chwili ujrzałem jej dramat i wezbrało we mnie współczucie. Dobra, nieszczęśliwa pani Magee, obdarzona przez naturę wybujałym temperamentem, którego z powodu wyroków losu nie mogła zaspokoić w małżeńskim łożu! Zawstydzilem się wtedy moich pochopnych sądów, mego wzburzenia i moralnego potępienia.

Kiedy nastąpiła we mnie ta przemiana, chciałem zbiec po schodach i od razu pocieszyć panią Magee, zapewnić ją, że rozumiem jej potrzeby, że nie musi się ich wstydić, że to coś naturalnego, choć zapewne w surowym świecie Finneganów obyczajowość piętnowała bezlitośnie takie pragnienia. Pół wieku z poczuciem winy, pół wieku tajemnego i samotnego grzeszenia pod kołdrą – tak wyglądało smutne życie mojej dobrej gospodyni! Jednak powstrzymałem się, w porę uświadamiając sobie, że tą otwartą aprobatą dla jej skrywanych skrzętnie niepokojów mógłbym więcej zaszkodzić, niż pomóc. Przecież moja spontaniczna akceptacja musiałaby ją wprowadzić w zakłopotanie i zawstydzienie. A ja nie chciałem jej upokorzyć, lecz pomóc.

Dlatego opracowałem inną strategię. Postanowiłem działać z ukrycia, na granicy snu i jawy, niosąc realną pomoc, pozostając zarazem w cieniu. Wczekałem na odpowiedni moment i wdroiłem akcję niewidzialnej ręki.

Kiedy pani Magee zasnęła, o czym jak zawsze obwieściło jej potężne chrapanie, na palcach zszedłem na parter i wkradłem się do jej sypialni. Spała, nakryta grubą pierzyną, bezbronna i bezzębna. Bezszelestnie wślizgnąłem się do jej łóżka i skryłem pod kołdrą. Poczuję jej ciepło, choć wiedziałem, że to ja mam zapewnić ciepło mej gospodyni. Ostrożnie zacząłem masować jej plecy, najpierw przez nocną koszulę, potem wnikając pod zgrzebny materiał. Moje ręce zapuszczały się w coraz odleglejsze regiony, delikatnie pokonując kolejne przeszkody.

Oszczędzę tu czytelnikowi łatwych do wyobrażenia szczegółów, wszak nietrudno

się domyślić, jakie przyjemności może sprawić kobiecie czuła dłoń mężczyzny. Nie było mi łatwo, ciągle bowiem miałem przed oczami widok sprzed kilku dni, który bynajmniej nie usposabiał mnie erotycznie. Aby odegnać powracającą odrazę, myślałem o twórczości Filipa Włócznika, niezrównanego w opisie międzyludzkiej intymności.

Nie było mi łatwo, wierzyłem jednak w słuszność mego postępowania i wiedziałem, że tego właśnie oczekuje ode mnie pani Magee. Musiałem jednocześnie zachować dyskrecję: będąc w jej łóżku i obdarzając ją pieścizotami, powinienem udawać zarazem, że mnie tam nie ma. Musiałem pozwolić wierzyć pani Magee, że tej nocy miała po prostu piękny sen, który przyniósł długo wyczekiwane spełnienie.

Czy moja gospodyni spała przez cały czas, czy przebudziła się, udając, że ciągle śpi – tego nie wiem. Uznavszy, że spełniłem swój moralny obowiązek, wróciłem cicho do swego pokoiku i starałem się zasnąć. Do snu kołysało mnie w pełni zasłużone poczucie własnej dobroci. Nie każdy może tak o sobie powiedzieć, choć chciałoby wielu.

Rzecz jasna rankiem nawet w zawołowany sposób nie nawiązałem do nocnych zdarzeń, a pani Magee udawała, że nic się nie wydarzyło. Byliśmy względem siebie uprzejmi jak zwykle. Od tamtej pory ustały jej prośby o smarowanie pleców, co trafnie odczytałem jako zadowolenie z mej strategii miłosierdzia.

Oczywiście dzielę się tym wstydliwym doświadczeniem tylko po to, by uświadomić czytelnikowi, jakie napięcia targały mną na Finneganach. W sytuacjach ekstremalnych człowiek staje przed wyborami, których z perspektywy wygodnego fotela przed telewizorem nie potrafił sobie nawet wyobrazić. Wiem, że wybierałem słusznie i drogowskazem zawsze było dla mnie dobro drugiego człowieka. Opisałem to wnikliwie i nie będę już do całej sprawy wracał.

## O studentach

Na pierwsze zajęcia szedłem z duszą na ramieniu. Czy podołam? Czy będę potrafił opowiedzieć temu międzynarodowemu towarzystwu o geniuszu Filipa Włócznika, pisarza, którego książek nigdy nie mieli w rękach? Czy moje streszczenia jego fabuł i chałupnicze tłumaczenia najwspanialszych fragmentów tej prozy wystarczą?

Na pierwsze spotkanie przyszło siedem osób, potem zostało pięć i w tej mniej więcej liczbie dotrwaliśmy do końca semestru. Zacząłem snuć między nimi pajęczynę mej opowieści o Włóczniku, samemu układając sobie w głowie kolejne rozdziały do monografii, którą zamierzałem spisać.

Studenci mile mnie zaskoczyli. Nikt z nich nie przypląnął na Finnegany przypadkiem. Opuścili na cały semestr swe macierzyste uczelnie, by móc obcować z wolną, niespętaną urzędniczymi łańcuchami myślą. Kiedy tylko to zrozumiałem, uwolniłem mój wykład z formalnych ram i odtąd nasze spotkania przekształciły się w wielogodzinne dyskusje o literaturze. Penetrowaliśmy zakamarki ludzkiej wyobraźni, fantastyczne odkształcenia świata oraz cuda, które potrafi tworzyć ludzki umysł, jeśli tylko wyswobodzi się z okowów realizmu.

Na moje zajęcia chodzili głównie studenci z Wysp Brytyjskich: para Irlandczyków, Walińczyk i Angielka, a także jeden Grek, którego angielski wprawdzie nieco kulał, za to był nam cennym wsparciem, kiedy tylko sięgaliśmy do tekstów starożytnych. A do dziedzictwa antyku odwoływaliśmy się wielokrotnie, gdyż mówienie o Włóczniku poza horyzontem, jaki zakreślają Homer, Eurypides i Platon, jest takim samym nieporozumieniem, jak omawianie twórczości Kornela Czyczyszyna odartej z kontekstu kastylijskiej powieści pikarejskiej.

## O przegrzebkach

Głęboka intelektualna więź, jaka szybko zadzierzgnęła się na moich wykładach, sprawiła, że mnie i moim studentom przestały wystarczać ramy, które wyznaczał nam harmonogram zajęć. Ponieważ zaś część z nas (poza milczącym Walijczykiem Llewellynem) nie miała już w tym dniu zajęć, dlatego często kończyliśmy nasze dyskusje przy kuflu guinnessa u starego Toby'ego. Wracałem z tych rozmów do swego pokoiku u pani Magee naładowany energią i niemal zawsze siadałem od razu do pracy. I muszę przyznać, że najlepsze stronice moja monografia twórczości Włócznika zawdzięcza właśnie tym dyskusjom z młodymi umysłami, jeszcze ciekawymi świata, jeszcze niezepsutymi przez intelektualny cynizm naszych czasów.

Czasem jednak i intelekt musi odpocząć od zapierających dech w piersiach przestrzeni ducha. Wtedy moi studenci zabierali mnie do niewielkiej portowej knajpki, której wygląd wprawdzie niczego dobrego nie obiecywał, ale za to podawano tam najlepsze na całych Finneganach przegrzebki. Ich smak, zwłaszcza tych panierowanych w bułce, smażonych na maśle i podawanych z gotowanym groszkiem, będę pamiętał przez długie lata.

Przegrzebki łowione u wybrzeży Finneganów należą do największych, z jakimi się spotkałem. Małże dorastają do dwudziestu centymetrów, a ich mięso jest delikatne, soczyste i jędrne. Stanowią one specjał tego archipelagu już od dłuższego czasu, gdyż w uniwersyteckiej kaplicy odnalazłem w bocznej nawie złuszczone, trzynastowieczny fresk przedstawiający Ostatnią Wieczerzę, podczas której przed uczniami na stole leżą charakterystyczne muszle. Oczywiście jest to rodzaj herezji, który tłumaczyłbym jednak raczej nieświadomością anonimowego twórcy, zapewne niepiśmiennego, zwanego Mistrzem z Iony, niż zamiłowaniem do kacerstwa. Motyw muszli przegrzebka zwyczajnego odkryłem również na starych nagrobkach miejscowego cmentarza, a także w tekście świeckiej pieśni z Hebrydów Zewnętrznych, którą odnalazłem w przechowywanym przez bibliotekę uniwersytecką osiemnastowiecznym zbiorze poezji i z której stosowny wers pozwoliłem sobie przetłumaczyć następująco: „I hołd by mu oddali, ale przegrzebki jedli”.

Ileż było śmiechu, kiedy podzieliłem się tym odkryciem z moimi studentami! Odtąd zawsze, kiedy w portowej knajpce siadaliśmy nad dymiącym półmiskiem małży, a ktoś nienasycony dyskusją rzucał nazwisko jakiegoś pisarza lub filozofa, wszyscy chórem odpowiadaliśmy mu powyższym cytatem. Nieraz podczas spacerów powracał on do mnie, zakłócając myśli.

A Filip Włócznik? I hołd by mu oddali, ale przegrzebki jedli – nuciłem pod nosem na melodię zaczerpniętą ze zbioru *cantigas* Alfonsa X Mądrego.



## O zawrotach serca

Nie wspominałem o tym jeszcze, ale zniechęcenie do rodzimego środowiska naukowego nie było jedyną przyczyną mego wyjazdu, który miał mnie zaprowadzić do Oxfordu, a przywiódł na Finnegany. Leczyłem się wówczas po rozpadzie związku, z którym wiązałem duże nadzieje.

Z M. poznaliśmy się jeszcze na studiach doktoranckich, razem przedzieraliśmy się przez stronice Protopopowa, razem odkrywaliśmy kolejne powieści Włócznika i zarazaliśmy innych naszym uwielbieniem dla jego prozy. Był czas, kiedy dzięki nam na krakowskiej polonistyce nie mówiło się o nikim innym. M. była inteligenta, bywała subtelna, mogła się podobać; kochałem ją. Myślę też, że sporo jej pomogłem w pracy naukowej, skierowałem jej umysł na nowe tory, pokazałem nieznane perspektywy.

Zrobiła habilitację, nie byłem jej już potrzebny.

Tak więc statek przywiózł mnie na Finnegany zdruzgotanego, ale też otwartego na nowe możliwości. Pakowałem się pełen nadziei. To ona mnie prowadziła, kiedy starannie wybierałem pozycje z mej biblioteczki, ograniczony limitem bagażu obowiązującym w liniach Ryanair. Ona też sprawiła, że niezwykle pieczołowicie dobrałem garderobę, licząc na to, że na miejscu spotkam kogoś, kto ukoji mój ból. Trafiłem zresztą znakomicie, od razu wpasowując się w stylistykę obowiązującą w St. Brendan. Brakowało mi tylko fajki, ale kiedy kilka tygodni później odkryłem jej niezbędną, bez trudu sprowadziłem ją z Irlandii pierwszym nadarającym się statkiem.

Odtąd siadywałem bez skrępowania u starego Toby'ego, gawędziłem z Lwem Michajłowiczem i razem pykaliśmy kółka, które wolno żeglowały pod niski strop z ciemnego drewna. W takich chwilach rany w moim sercu zasklepiały się i mogłem żyć, jakby moje życie było jeszcze przede mną.

## O mnie

Nie ukrywam, że zawsze podobałem się kobietom. Myślę, że po prostu lubią one przystojnych, wysokich i harmonijnie zbudowanych mężczyzn. Nie potrafię jednak powiedzieć, kiedy to odkryłem. Z początku brałem kobiece zachowanie za zwykłą sympatię, rodzaj matczynego współczucia. Jednak z biegiem lat uświadomiłem sobie, że może chodzić o coś innego. Minęło trochę czasu, zanim nasyciłem się tym odkryciem, i muszę przyznać, że wspominam czasy mej studenckiej młodości z niejakim zawstyżeniem. Był to piękny, błogi okres, choć nie zawsze eros spotykał się wtedy z etosem.

Zawsze jednak przyciągałem kobiety o duszach poplątanych i obolałych, które lgnęły do mnie, niemo wołając o pomoc. Myślę, że to z kolei zawdzięczam swej wrażliwości i naturalnemu ciepłu, które roztaczam. Ludzie to wyczuwają.

## O życiu uporządkowanym

Przeładam zapisane już strony i nie mogę wyjść ze zdumienia. Ja to napisałem? Ja, który tyle mówiłem o porządku, o prowadzeniu dziennika?! Wertuję ze zdumieniem kartki i widzę chaos. Obok siebie wydarzenia z różnych dni, nawet tygodni, pogrupowane bezładnie, czasem w zaburzonej kolejności. Bezkarne harce uwolnionej pamięci: a to przegrzebki, a to Lew Michajłowicz, a to sklep z tweedem – groch z kapustą!

Ta opowieść ma swój początek, środek i koniec, ta historia rozgrywa się na przestrzeni stu pochmurnych dni. Trzeba zacząć od początku, trzeba opowiedzieć ją na nowo: tak, jak się wydarzała.

Ale z drugiej strony, ta garść impresji, którą chaotycznie spisałem, pozwala poznać mój świat, niewielki mikrokosmos Newport, w którym utknąłem na własne życzenie na cały zimowy semestr. Podobają mi się te słowa, niektóre frazy; myślę, że dobrze budują klimat mego dobrowolnego wygnania, pełnego intelektualnego żaru i emocji, których nazwy czają się na końcu języka.

Nie będę więc kreślił, nie usunę tych słów jedną kombinacją klawiszy. Niech dzięki nim czytelnicy zadomowią się na Finneganach, położonych poza horyzontem Europy. Ale trzeba zacząć na nowo, zacząć od początku.

## O przybyciu

Zszedłem na ląd w mieście Newport z początkiem października. Przywiózł mnie statek wycieczkowy, który kursował co tydzień pomiędzy Finneganami a Tory Island. Nie wiem, dlaczego nazywano go wycieczkowym, skoro głównym jego zajęciem było zaopatrywanie miejscowych sklepów w produkty żywnościowe oraz transport poczty. Kilka godzin trwał wyładunek, potem pod pokład wnoszono solone ryby z lokalnej przetwórci i wełnę – te skromne owoce surowego archipelagu.

Miałem ze sobą walizkę na kółkach, w którą musiałem spakować całe moje życie. Jedno kółko wyłamało się na nierównym bruku jeszcze w zaułkach Belfastu, gdzie kilka dni wcześniej szukałem noclegu, więc mój bagaż ocierał się o bruk, wydając nieprzyjemny odgłos.

Na nabrzeżu zebrali się sklepikarze i mieszkańcy Newport, czekający na pocztę i świeżą prasę. Wymieniali pozdrowienia z załogą, którą znali od lat. Wydedukowałem, że zapewne ten rytuał powtarza się co siedem dni i musi być jednym z niewielu wydarzeń, które budzą miasteczko z nadmorskiej drzemki. Ludzie z Finneganów od razu wydali mi się podobni do siebie. Surowe twarze, poważne miny, królujący wszędzie tweed w kolorach ziemi. Mężczyźni nosili kaszkiety, kobiety, chroniąc się przed wiatrem, otulały głowy wełnianymi, kraciatymi chustami.

Zauważono, że jestem nowy na wyspie, wszyscy się tu znali. Towarzyszyły mi zaciekawione, choć powściągliwe spojrzenia. Za mną szedł cichy pomruk, Finnegańczycy przekazywali sobie wieść o nieznanym przybyszu. Starłem się zrobić dobre wrażenie, dlatego uśmiechałem się miło i odpowiadałem na spojrzenia łagodnym skinieniem głowy. Nie znaliśmy się jeszcze, ale chciałem pokazać, że jestem przyjaźnie nastawiony. Czuję się jak podróżnik na obrzeżach świata. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że ta uśpiona prowincja stała się przytułkiem najwybitniejszych umysłów europejskiej humanistyki. Wielcy intelektualiści znaleźli swój dom wśród tych prostych, przyzwyczajonych do niedogodności ludzi.

Nikt mnie nie popychał, wszyscy rozstępowali się przede mną, a ja taszczyłem mą nieszczęsną, okulałą walizkę, chcąc jak najszybciej wydostać się z portu.

Ulice miasta były opustoszałe. Nad wybrzeżem krakały stada mew, a ja niepewnie ruszyłem w głąb miasteczka. Z korespondencji, którą wcześniej wymieniłem z władzami St. Brendan College, wynikało, że bez trudu znajdę wolny pokój na Main Street, gdyż zamieszkujący tam ludzie od lat wynajmują kwatery przyjezdnym wykładowcom. Odnalazłem ulicę bez najmniejszego kłopotu, gdyż od dziecka obdarzony jestem znakomitą orientacją w terenie, i ruszyłem pod górę.

Ponad mną górował gmach dawnego klasztoru, po bokach przycupnęły niewysokie domki. Szary kamień, z którego wzniesiono osadę, sprawiał nieprzyjemne wrażenie. Odejdz, zdawały się mówić wielkie ciosy skał, nie chcemy cię tu! Wyobrażałem sobie, że za gęstymi firankami siedzą miejscowi i obserwują mnie bacznie – dziwnego przybysza z

wysłużoną walizką. My, wędrowni wykładowcy bez domu, zawsze w drodze, zawsze pomiędzy obcymi! Wyprostowałem się, uśmiechem dodałem sobie otuchy i dziarsko ruszyłem dalej. Tak doszedłem do pubu, gdzie postanowiłem wypić piwo i zasięgnąć języka.

Pub był zamknięty. Choć wyrażenie to nie oddaje stanu faktycznego. Lepiej powiedzieć, że nie było w nim właściciela, jednak drzwi pozostały otwarte. Po chwili wahania nacisnąłem więc klamkę i stanąłem w progu. Muszę przyznać, że trochę zmarzłem na pokładzie i z ulgą schroniłem się w ciepło. Wszystko wokoło wyglądało tak, jakby ludzie nagle porzucili niedopite piwo i wybiegli. Na barze i stołach stały kufle oraz szklanki, a w kominku wesoło trzaskał ogień. Zawołałem kilka razy w głąb ciemnego lokalu, lecz nikt nie odpowiedział. Wybrałem zatem jeden z foteli bliżej kominka i grzejąc dłonie, spokojnie czekałem. Może uciekli na mój widok? Może nieznajomy na wyspie był dla nich taką sensacją, że postanowili schronić się na zapleczu? Wyobrażałem sobie, że patrzą na mnie zza kotary, której ciemny strzęp dostrzegałem za barem.

Uznałem za swój obowiązek pokazać się od jak najlepszej strony. Najważniejsze wydało mi się przekonanie gospodarzy o pokojowych zamiarach. Byłem obserwowany, ale wiedziałem o tym. Obserwatorzy natomiast zapewne nie wiedzieli, że ja już o nich wiem. To dawało mi przewagę. Dlatego wolnym ruchem, żeby nikogo nie spłoszyć, wyciągnąłem z plecaka, który służył mi za podręczny bagaż, moją ulubioną powieść Filipa Włócznika, *Tydzień pod cedrami Libanu*, i zacząłem czytać.

Udałem skupienie, wystawiłem nawet z uwagą język, gdyż wiem, że ludzka nieporadność budzi w innych raczej pozytywne uczucia. Cały czas zerkałem dyskretnie w stronę zaplecza, jednak kotara ani drgnęła. Spokojnie przerzucałem szeleszczące stronicę, czasem wodząc palcem po tekście. Komunikat był czytelny: jestem intelektualistą, czytam książki, nie jestem niebezpieczny. Niech zobaczą we mnie zagubionego wykładowcę, który niczym Tales ku uciechu własnej niewolnicy wpada do studni, zapatrzywszy się w niebo.

W końcu jednak zapomniałem o całym tym przedstawieniu i dałem się ponieść lekturze. Powieści Włócznika zasysają każdego, nie można się oderwać. Po kilku stronach zapomniałem, że jestem w opustoszałym pubie, że miejscowi podglądają mnie przez kotarę. Nieskrępowana niczym wyobraźnia polskiego fantasty zaprosiła mnie do tańca, w którym wirowałem wraz z nim, nie bacząc na otaczający świat.

Z lektury wyrwało mnie gwałtowne otwarcie drzwi. Nagle do pubu wtoczyli się rozgadani ludzie, a na ich czele przepasany białym fartuchem mężczyzna, w którym rozpoznałem barmana.

Oczywiście! Podczas gdy ja siedziałem w pustym lokalu, wszyscy jego klienci i właściciel zebrali się na nabrzeżu. Musiałem ich mijać, kiedy kierowałem się w stronę Main Street. Spojrzałem na zegarek. Minęły dwa kwadransy od mego przybycia do pubu. Teraz pozostali goście wracali do niedopitego piwa, zapalali papierosy, sadowili się na skrzypiących krzesłach i wysiedzianych przez lata fotelach. Wokół mnie narastał gwar angielszczyzny wykrzywionej finnegańskim akcentem, którego przez pierwsze dni niemal

w ogóle nie rozumiałem. Tęskniłem wtedy do mowy Dublina, Belfastu i Londynu, którą moje ucho oswoiło przed laty.

Cały czas uśmiechając się przyjaźnie, ruszyłem do baru i zamówiwszy pintę guinnessa, zapytałem o pokoje do wynajęcia. Stary Toby wskazał mi okna naprzeciwko. I tak trafiłem do pani Magee.

Stary Toby zasłużył na osobną opowieść. Ale trzeba się trzymać kolejności.

## O Main Street

Dopiłem piwo, zapłaciłem i podziękowałem za pomoc. Wziąłem walizkę i ruszyłem do wyjścia. Kiedy stałem w progu, Main Street przeszła dziwna para. Wyglądali inaczej niż miejscowi; inne ubrania, inne ruchy, inne gesty. (Warto pamiętać o średnikach, zapomniana sztuka władania średnikiem!). Starzec z długą brodą, zgarbiony, wsparty na lasce, a obok niego młoda kobieta. Szli pod rękę, jak ojciec z córką. Ona odwróciła ku mnie głowę, nasze spojrzenia się spotkały. Nie dostrzegłem twarzy, gdyż wiatr rozwał kobiecie włosy. Patrzyła na mnie zza tej zasłony, przez chwilę tylko, a potem ruszyła dalej.

Chyba się nawet nie zatrzymali, tylko cały czas szli w stronę portu, scena trwała kilka sekund. Main Street była pusta, cała dla nich. Nagle ci wszyscy ludzie, którzy jeszcze niedawno kłębili się przy nabrzeżu, zniknęli.

## O pierwszym spotkaniu

Tych dwoje ludzi, wtedy jeszcze mi nieznanym, w nadchodzących tygodniach miało się stać towarzyszami mej intelektualnej podróży. Byli to Lew Michajłowicz Protopopow i Jadranka Vidović, o których zdążyłem już wspomnieć. Dlaczego wcześniej napisałem, że pierwszy raz zobaczyłem Jadrankę w sklepie z tweedem? Pisząc to, wiedziałem przecież o tamtym spotkaniu, o pierwszym dniu, kiedy stałem w progu pubu starego Toby'ego, dokładnie naprzeciwko witryny sklepu pana Howlina.

Nie chciałem jednak skłamać. Wydawało mi się, że piszę prawdę. W tej scenie, pierwszego dnia, minęła mnie tylko obca osoba. W tamtej rozmawialiśmy chwilę, chorwacka uczona się przedstawiła, wymieniliśmy uścisk dłoni. Skłamałem, choć chciałem pisać prawdę. Trzeba się trzymać faktów, choć czasem fakty są nudne; trzeba się zatem trzymać porządku. Sto dni bez słońca, sto dni faktów, monotonnych i nieciekawych. Gdzie jest prawda? Filip Włóczyk, ten mistrz mówienia prawdy przez pryzmaty fantazji i krzywe lustra imaginacji, na pewno nie miałby takich problemów.

Oto, ile dzieli twórcę od skromnego komentatora.



## O pani Magee

O mojej gospodyni już pisałem, nie będę więc tego powtarzać. Ale trzeba się trzymać pewnego porządku. Po pierwszej pincie guinnessa poznałem tę zacną wdowę, z trudem rozumiejąc, co do mnie mówi. Mój dziennik, w którym pełno faktów, a niewiele opowieści, podpowiada mi, że tydzień zabrało mi przyswojenie sobie finnegańskiego akcentu. Co bym zrobił bez tych notatek! Na szczęście owego dnia z panią Magee musiałem wymienić tylko kilka zdań, dogadać się co do ceny i ogólnych warunków.

I choć zapewne swoimi ciągłymi prośbami o powtórzenie nie zrobiłem na tej zacnej kobiecie dobrego wrażenia, a w każdym razie nie wyglądałem na wrażliwego intelektualistę, to przecież wina nie leży po mojej stronie. Mojej czystej, wyrafinowanej angielszczyźnie niewiele można zarzucić, natomiast finnegański akcent jest obiektem niewybrednych żartów nawet pośród Irlandczyków, z których wymowy śmieje się przecież cała Anglia. Ukryłem jednak swe oksfordzkie przyzwyczajenia i starałem się dostosować do tej wykoślawionej mowy, by nie ranić lokalnego patriotyzmu tych prostych ludzi.

Pamiętam, że kwadrans później zamknąłem drzwi do pokoju, który miał być moim azylem przez najbliższe cztery miesiące, zdjąłem płaszcz, buty i rzuciłem się na czystą, wykrochmaloną pościel.

Dziennik z tego dnia nie mówi nic poza dwoma zdaniem: „Przyjechałem. Od jutra zacznę pisać dziennik, obiecuję”. Ale pierwszy dzień na wyspie pamiętam i bez tego. Czy na pewno wtedy widziałem Jadrankę? Tyle razy przecież chodziłem Main Street, tyle razy wychodziłem z pubu starego Toby’ego. Może to było następnego dnia? A może to nie ją widziałem u boku starego Protopopowa? Jego samego na pewno nie mogłem z nikim pomylić.

Uczciwie trzymając się kolejności, nie mogę napisać nic więcej o pani Magee. Nie tylko dlatego, że już ją opisałem. Ale po pierwszym spotkaniu, kiedy staliśmy w wąskim przedpokoju obok schodów – wszyscy je znamy z angielskich filmów – nie dowiedziałem się o niej nic.

## O Roku bez końca

*Rok bez końca* to pierwsza powieść Filipa Włócznika, którą czytałem, choć już trzecia w jego dorobku literackim. Nie pamiętam, kto mi ją polecił. Na pewno żaden ze znajomych, to było w czasach, kiedy Włócznika jeszcze nikt nie polecał. Ja go odkryłem, jeśli można tak powiedzieć.

Ktoś uzna, że miałem szczęście, kupując przypadkiem jego książkę. Ale to nie był ślepy traf, lecz lata doświadczenia, które wyrabiają w człowieku instynkt łowcy. Potrafi się wtedy wyczuć, gdzie zwierzyna siedzi i kiedy warta jest upolowania. Tak było z Włócznikiem. Zaufałem nosowi i się nie zawiodłem. Później jeszcze wielokrotnie miałem odnajdywać perły w gęstym szlamie literackiej produkcji. Ale wtedy wyłowilem *Rok bez końca* i do dziś muszę przyznać, że Filip Włócznik jest moim największym odkryciem.

Powieść została napisana z perspektywy Polaka urodzonego na Madagaskarze. W alternatywnym świecie, który kreuje Włócznik, wyspa ta jest od czasów międzywojennych polską kolonią. Nie pora teraz, by streszczać wszystkie geopolityczne okoliczności, które doprowadziły do tego faktu, a także wyjaśniać, jak kolonia mogła przetrwać w czasach komunizmu. Dość powiedzieć, że autor tłumaczy to wszystko bardzo przekonująco, wciągając czytelnika w swoją grę już od pierwszej strony.

Tak więc na Madagaskarze urzędowym językiem jest polski, obowiązuje to samo szkolnictwo, kanon lektur, waluta i system polityczny. Celowo akcentuję teraz podobieństwo kulturowe, a nie polityczne, gdyż nasz bohater, mimo że wzrasta wśród cynamonowych gajów i lemurów, recytuje z pamięci strofy *Pana Tadeusza* i zna jak własną kieszeń Warszawę z powieści Prusa. Jest nawet w dalszych rozdziałach piękna scena, kiedy bohater chodzi ulicami współczesnej Warszawy i nie poznaje tego miasta. Widzi inną siatkę ulic i płacze, gdyż fikcja literacka rozmija się z rzeczywistością; wielka scena.

Nie jest nigdzie powiedziane, czy bohater jest biały, czy czarny. Autor celowo zaciera tu ślady, niczego nawet nie sugerując. Jedyne raz, kiedy opisuje jego cerę, robi to w zamierzony sposób powściągliwie: „W cieniu markizy jego twarz była nieprzenikniona”. Bohater, który nosi imię Jan, przybywa w wieku lat dwudziestu do Polski, aby w ojczyźnie swoich przodków studiować polonistykę. Nie muszę dodawać, że ten wyraźny ukłon Włócznika w stronę mojej ukochanej dziedziny odbieram bardzo osobiście.

I tu Jan trafia na eskalację konfliktu politycznego, który doprowadza do wojny domowej. Ludzie wychodzą na ulice, niegdysiejsi przyjaciele stają się wrogami. Rozpoczyna się krwawa wojna (a ja byłem pierwszym recenzentem, który zwrócił uwagę na analogię z konfliktem bałkańskim!). Jan musi się opowiedzieć po którejś stronie, choć dla niego ten spór jest wymyślony, nierealny. Realna jest Polska, którą zna z opowieści i literatury.

W końcu jednak przystaje do oddziału partyzanckiego i zaczyna walczyć. Zdaje

sobie sprawę, że zachowując bezstronność, wyrzekłby się polskości; że chcąc poczuć się w pełni Polakiem, musi znienawidzić drugą stronę konfliktu – a więc połowę Polaków. W tym punkcie Włóczykiew wznosi się na wyżyny literatury. Kreśli scenę decyzji przejmująco choć oszczędnie. Zaznaczyłem zresztą w swym skromnym omówieniu, że prostota środków wzmacnia wydźwięk opisywanego wydarzenia. Do dziś noszę w sobie zdanie, które kończy pierwszą część powieści: „Jan raz jeszcze spojrzął na osłoneczone dachy spokojnego miasta i zanurzył się w mrok lasu”. Słońce i mrok, jasność i ciemność – subtelne aluzje do starożytności Platona.

Włóczykiew wspaniale pokazuje tworzenie się mitów narodowych, a perspektywa obserwatora z zewnątrz, który jednak poprzez tradycję pozostaje zanurzony w to, co dzieje się w teraźniejszości, pozwala mu grać na wielu emocjach naraz. Trafnie to wszystko wychwyciłem i opisałem w swej recenzji, cytowanej zresztą wielokrotnie w literaturze przedmiotu.

Później przygotowałem jeszcze szersze omówienie, które wygłosiłem na słynnej zielonogórskiej konferencji. Była to sesja plenarna, na odczyt przyszły wszystkie autorytety zajmujące się polską fantastyką. Referat przyjęto z entuzjazmem, a moje tropy interpretacyjne stały się kanonem.

## O pierwszej nocy

Dlaczego piszę o powieści Włócznika? Gdyż to po nią sięgnąłem, kiedy się przebudziłem pierwszej nocy w Newport.

W pokoju było ciemno, zza zasłony dochodziło blade światło latarni ulicznych, miasto spało otulone gęstą mgłą. Z początku się przeraziłem; nie wiedziałem, gdzie jestem. To naturalne, kiedy nagle budzimy się poza domem, długo dociera do nas świadomość, że go opuściliśmy. Spojrzałem na zegarek, trzecia w nocy. Byłem głodny, ale o tej porze na żadną strawę nie mogłem liczyć. Poczułem się samotny, obcy na tej wyspie poza horyzontem, pomiędzy ludźmi, których mowy nie rozumiałem, dobrowolny wygnaniec, tułacz humanistyki.

Czułem się jak Jan z powieści mojego mistrza. On i ja przybyliśmy z nadziejami na ład, który przyjął nas inaczej, niż oczekiwaliśmy. On i ja byliśmy daleko od domu, rodzinnych stron, zapachów znanych z dzieciństwa. Tacy samotni, tacy opuszczeni. Sięgnąłem więc po *Rok bez końca*, poznaczony żółtymi karteczkami, tymi niemymi świadkami uważnego czytania. Znając tekst znakomicie, szybko odnalazłem rozdział poświęcony wyobcowaniu Jana. Zanurzyłem się w lekturze i płakałem.

Oto, co robi z nami wielka literatura! Odsłania i opisuje najskrytsze doświadczenia, których zwykli śmiertelnicy nie mają odwagi nazwać. Powiem to otwarcie: których my, zwykli śmiertelnicy, nie mamy odwagi nazwać. Wielka proza pokazuje nam naszą nagość, bezbronność, a my perwersyjnie oglądamy siebie obnażonych. I – oto największy paradoks sztuki! – zamiast wstydu czujemy spokój.

Tak i ja, popłakując nad losem Jana, widziałem w jego historii profetyczną zapowiedź mego losu. I wtedy, w samym mrocznym sercu samotności miasta Newport, znalazłem ukojenie. Błogosławiony sen nadszedł łagodnie i cicho. Zasnąłem z powieścią Włócznika w dłoni, po chwili książka wysunęła się z rozluźnionych przez Hypnosa palców i opadła na miękkie, wełniane dywanik pod łóżkiem.

## O pierwszym przebudzeniu

Tak zastał mnie poranek. Obudziłem się, słysząc pukanie do drzwi; pani Magee przyniosła śniadanie. Odtąd robiła to zawsze, choć nie obejmowała tego nasza umowa. Dobra pani Magee! Bez jej jajek na bekonie, fasoli i krzepiącego czarnego puddingu każdy dzień zaczynałby się znacznie gorzej.

Napisałem co prawda wyżej, że sam sobie przygotowywałem śniadania, lecz nie ma w tym żadnej sprzeczności. Na Finneganach przeżyłem sto dni i każdy był inny od poprzedniego. Otóż w połowie mego pobytu sędziwa gospodyni zachorowała i jej drobne kroczyki już nie witały mnie każdego ranka; byłem zdany na samego siebie (nie zapominajmy o średnikach!). Podczas gdy pani Magee wygrzewała swą chorobę pod ciepłymi kołdrami, które na Finneganach wypycha się pierzem maskonurów, ja co rano, przemierzając po nocy spędzonej w moim niedogrzanym pokoju, przemierzałem ulice Newport w poszukiwaniu żywności. Tym bardziej więc cenię sobie wspomnienia tych pierwszych tygodni na wyspie, kiedy dane mi było rozpoczynać dzień od jajek na bekonie i filiżanki gorącej herbaty.

Dobra, biedna pani Magee, zgasła tak nagle! Do końca wierzyła, że jej mąż zginął w pogoni za gigantycznym kaszalotem, podczas gdy powtarzana w pubach Newport plotka mówiła, że uciekł do Dublina, gdzie od lat miał kochankę i nieślubne dzieci.

## O poznawaniu wyspy

Pierwszy dzień po przybyciu postanowiłem poświęcić poznaniu wyspy. Z map, które udało mi się zdobyć, wynikało, że można ją obejść spacerem w kilka godzin. Pokrzepiony śniadaniem pani Magee radośnie ruszyłem w głąb nieznanego.

Wyspa, na której leży Newport i St. Brendan College, jest największa w archipelagu Finneganów i mapy nazywają ją Wielkim Finneganem. Na południe od niej znajduje się Mały Finnegan, reszta zaś to niewielkie wysepki obdarowane przez miejscowych imionami iroszkockich świętych, którzy nie są czczeni nigdzie indziej i najpewniej nie znajdują się w odpowiednich rejestrach Watykanu. Można byłoby tu przytoczyć liczne opracowania dotyczące wczesnośredniowiecznego konfliktu Kościoła iroszkockiego ze Stolicą Apostolską, ale ufam, że wyrobiony czytelnik już wcześniej sięgnął do odpowiednich źródeł, nie ma więc potrzeby przytłaczać opowieści balastem informacji.

Dość powiedzieć, że na każdej z wysp znajdują się ruiny klasztorów, spośród których tylko ten górujący nad Newport, przejęty po synodzie w Whitby przez benedyktynów, przetrwał do dzisiejszych czasów. Jednak miejscowa ludność utrzymuje dawne klasztorne kaplice, poświęcone świętym pustelnikom, którzy przed wiekami wybrali te niegościnne spłachetki lądu, przemieniając je w miejsca kontemplacji, modlitwy i pokuty.

Czytałem, że pod koniec sierpnia na Małym Finneganie odbywa się uroczysty odpust na cześć błogosławionego Kileny z Iony. Wyobraziłem sobie tę scenę. Rozświetlone pochodniami rybackie kutry spływają z całego archipelagu i cumują u skalistego wybrzeża, tam, gdzie wykuta w skale mieści się dawna pustelnia świętego męża. Na największej z łodzi ojciec Dignam, proboszcz finnegańskiej parafii św. Piotra Rybaka, odprawia mszę. Następnie w grocie składa się spisane na owczych skórkach prośby i modlitwy. Zwinięte listki pergaminu zwisają na wplecionych z sieci nitkach pod sklepieniem. Lekko kołyszą się na wietrze, szepczą między sobą w gaelickiej mowie.

Ponoć obyczaj ten sięga dziesięciu wieków, a miejscowi rybacy wierzą, że ofiarowane w ten dzień prośby zostaną wysłuchane. Piękne i wzruszające widowisko, przykład szczerzej i prostej wiary, której obce są współczesne kryzysy i burze. Tu, na położonych za horyzontem Finneganach, miejscowi pielęgnują wierzenia swoich przodków i wielbią Boga nie mniej żarliwie niż pradawni mnisi z Iony.

Archipelag rozciąga się na dwadzieścia mil, a odległości między niewielkimi wyspami są znaczne. Z Toehill, największego wzniesienia Finneganów, leżącego na północnym krańcu wyspy, która stała mi się domem, można ogarnąć je wszystkie. Miejscowi mówią, że wyglądają wtedy jak zęby smoka wyłaniające się spod powierzchni wody. I choć metaforze tej brak subtelności, nie sposób się z nią nie zgodzić.

Wiele jeszcze można powiedzieć o miejscowej faunie i florze, gdyż te surowe wyspy stały się matecznikiem wielu endemicznych gatunków ptaków morskich i roślin, lecz już dość o tym, co wyczytałem. Czas zacząć opowiadać o tym, co naprawdę

zobaczyłem.

Spacer po północnych pustkowiach wyspy zostawiłem sobie na koniec mej całodzienniej wyprawy, zaczynając ją od obejścia Newport. Port otwiera się na południe, osłaniają go dwa cyple. Dlatego w dolnej części osady mniej wieje i klimat jest łagodniejszy. Nad portem unosi się jednak charakterystyczny zapach ryb, który nie każdemu może odpowiadać. Pierwszym budynkiem przy Main Street jest wspomniany już kościół św. Piotra Rybaka, gdzie co tydzień zbiera swą owczarnię ojciec Dignam, wychowany w Dublinie duszpasterz, który z sobie tylko wiadomych powodów wybrał te zapomniane przez świat wyspy na miejsce swojej działalności. Finnegańczycy powiadają zresztą, że to nie on wybrał to miejsce, ale ono jego, gdyż został tu zesłany przez biskupa za winy, o których nikt nie chce głośno rozprawiać, nawet w pubie starego Toby'ego.

Sam kościół to budowla pochodząca z XVIII wieku, surowa i nieciekawa, prezentująca typowy dla Irlandii przysadzisty, późny gotyk. Na uwagę zasługuje jedynie ambona w kształcie łodzi, ponoć wykonana z wręgów i poszycia skamieniałego snekkara, który znaleziono na początku XX wieku w rozkopanym kurhanie na północy wyspy. Choć ja zwróciłem jeszcze uwagę na zniszczone epitafia wmurowane w ściany świątyni. Żegnały one rybaków i wielorybników, którzy nie wrócili z morza; godny zadumy dowód ludzkiej pamięci i zarazem szacunku dla groźnego żywiołu.

## O ludziach archipelagu

Spacerowałem wolno ulicami Newport, ciekawie przyglądając się mieszkańcom. Uśmiechali się do mnie i nie chowali w swych domostwach, dlatego mogłem poczynić pewne obserwacje, które po powrocie do pokoiku zanotowałem. Dziś wracam do nich ze wzruszeniem. Pomyśleć, że nawet podczas prozaicznego spaceru ulicami osady nie uwolniłem się od szlachetnej ciekawości badacza, która kazała mi uważnie przyglądać się ludziom i ich obyczajom! Te notatki stanowią jeden z licznych dowodów, że jestem urodzonym naukowcem, dociekliwym i nieustępliwym w dążeniu do prawdy. Dla ludzi mego gatunku nie istnieje zresztą słowo „wypoczynek” lub czas „wolny”. Pozostajemy badaczami przez całe swoje życie.

Miejscowi reprezentowali typ raczej krępy, o zatrzaśniętych ustach i głęboko osadzonych oczach. Najczęściej mieli ciemne włosy, choć zdarzali się rudzi. Zauważyłem, że mężczyźni dość młodo łyseją, w ten charakterystyczny sposób, który pozostawia jeszcze na wiele lat kłopotliwą kępę na ciemieniu, oddzieloną od przerzedzonej tonsury okalającej potylicę. Już trzydziestolatkowie dotknięci byli tą przypadłością – raczej bruneci niż pozostali. Zakrywali jednak swoją czaszkę tweedowymi kaszkietami, które zdawały się na wyspie wszechobecne.

W późniejszych tygodniach, kiedy nabrałem już niejakiej orientacji w sekretach tej męskiej tkaniny, mogłem uzupełnić swoje notatki o fakt, że tak na kaszkietach, jak i na marynarkach dominował wzór nazywany u nas jodełką. Nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego cieszy się taką popularnością, lecz gdy dowiedziałem się od pana Howlina, że na Wyspach Brytyjskich nazywają go „herringbone”, a więc „ość śledzia”, wszystko stało się jasne. Ten rybacki ludek umiłował sobie wzór, który nawet z dala od morza i kutrów przypominał im o ich profesji i powołaniu. Stąd dominacja popularnego wzoru „w śledzik” (to moja własna, skromna próba tłumaczenia tego terminu).

Ogorzałe twarze miejscowych okolone były niestarannym zarostem, zaś braki w uzębieniu należały do powszechnych. Niezręcznie o tym mówić, ale najwyraźniej opieka stomatologiczna nie była na Finneganach zbyt dobra. Na szczęście nie miałem okazji się o tym przekonać na własnej skórze.

Ta niezbyt przyciągająca powierzchowność kryła w sobie jednak dusze radosne i skore do zabawy. Pozorna surowość, wynikająca zapewne raczej z rysów twarzy niż skłonności charakteru, znikąca już przy pierwszym spotkaniu. Miejscowi, częstowani papierosami, chętnie opowiadali o lokalnych obyczajach, praktykowanych po domach pogańskich obrzędach oraz trudzie pracy rybaka. Ugoszczeni piwem, zaczynali dyskutować o futbolu i rugby, które to sporty umiłowali ponad wszystko. Muszę wyznać, choć do tej pory udawało mi się przed tym powstrzymać, że ponad barem pubu starego Toby’ego zawieszony był telewizor, który wieczorami przyciągał tych zapalonych kibiców. I choć wolałbym naturalnie, by miejsce to było areną intelektualnych rozmów i ciszy, która służy zadumie nad najważniejszymi sprawami, to jednak nie mogłem ukryć



wzruszenia, kiedy widziałem schodzących się do lokalu mężczyzn, zmęczonych całodziennym trudem na morzu, którzy witają się, zamawiają piwo i z przejęciem kibicują ukochanym drużynom.

Muszę z całą stanowczością powiedzieć, że przez cały mój pobyt na Finneganach nie spotkała mnie ze strony miejscowych żadna przykrość, żaden objaw agresji. Nawet po spożyciu alkoholu byli oni życzliwi i łagodni oraz skłonni do pomocy. Może trudno zrozumieć, że ci walczący z okrutnym żywiołem morza mężczyźni potrafią być potulni jak owieczki, lecz taki właśnie obraz Finnegańczyków pozostał w mojej pamięci.

Kobiety rzadziej opuszczały swe domostwa, zajmując się najprawdopodobniej pracami kuchennymi, co już pierwszego dnia wywnioskowałem po smużkach siwego dymu wydobywających się z kamiennych kominów. Czasem jednak o poranku widywałem je na targu rybnym, czasem tłoczyły się na nabrzeżu, w dniach gdy w porcie cumował statek z Hebrydów. Chwile te spędzały nie tylko na nabywaniu produktów niezbędnych w gospodarstwie, lecz także na rozmowach z sąsiadkami oraz wymianie najnowszych informacji i plotek. Można powiedzieć bez przesady, że portowe nabrzeże stało się lokalną agorą, gdzie spotykali się nie tylko ludzie, ich opowieści, idee, problemy.

Dom, jak się zdążyłem wielokrotnie przekonać, był miejscem pilnie strzeżonym przez miejscową ludność. Gęste zasłony, drzwi wejściowe uchylane tylko na moment – wszystko to służyło ochronie tej kruchej wartości, jaką jest prywatność. Miejscowi niechętnie zapraszali do siebie obcych, a za takich uważali nas, społeczność akademicką St. Brendan. Kiedy już dochodziło do spotkań, miały one miejsce w przestrzeni publicznej. Do wyjątków należały osoby, które wynajmowały pokoje wykładowcom, tak jak pani Magee. Kiedy już jednak los wpuścił w ich obejścia przybyszów spoza archipelagu, przyjmowano ich serdecznie i ciepło, o czym miałem już okazję opowiedzieć.

Rzecz, która od razu rzuciła mi się w oczy, był niemal zupełny brak dzieci na ulicach Newport. W mieście przeważały osoby starsze i w średnim wieku; spotkałem tam zaledwie kilka osób jednoznacznie ode mnie młodszych. Ta ciekawa struktura demograficzna miała zapewne swoje uzasadnienie w odludnym położeniu Finneganów.

Świat globalizacji niszczy takie niewielkie wspólnoty, młodzi odpływają na większe wyspy, do miast, metropolii, by tam szukać szczęścia. Pełni nadziei opuszczają domy ojców, szczęśliwi, że wyrwali się z głębokiej prowincji. Jednak życie w blaskach wielkiego miasta nie jest usłane różami, o czym z pewnością wielu spośród finnegańskich marzycieli miało okazję boleśnie się przekonać.

## O uniwersytecie

Tak spacerowałem sobie po uliczkach Newport, zaglądając ciekawie w każdy zaułek i rejestrując najdrobniejsze nawet fakty, aż dotarłem do masywnego budynku St. Brendan College. Wiedziałem, że to w końcu musi nastąpić. Przez okoloną romańskim portalem bramę wszedłem na zielony irlandzką trawą dziedziniec i z radością począłem rozglądać się po miejscu, które miało mi być przystanią przez długie miesiące semestru zimowego.

Jak już miałem okazję wspomnieć, uniwersytet zajmował budynki dawnego klasztoru. Dziedziniec otaczały przeszklone krużganki, którymi przechadzali się studenci i wykładowcy. Jedną jego ścianę zajmował kościół, dziś pełniący funkcję uniwersyteckiej kaplicy, zaś pozostałe cztery boki utworzone zostały z klasztornych zabudowań. Większe pomieszczenia na parterze, które niegdyś pełniły funkcję refektarza i kapitułarza, zamieniono na sale wykładowe. Mniejsze były przytulnymi pokojami, w których odbywały się seminaria. Na wygodnych fotelach wśród książek zasiadali tam otoczeni studentami uczeni i dyskutowali wspólnie o najważniejszych problemach współczesnej humanistyki. W takiej właśnie sali, przesiąkniętej zapachem starych tomów i fajkowego dymu, miałem się spotykać z moimi wiernymi uczniami, rozprawiając godzinami o twórczości Filipa Włócznika. Ileż razy zdarzyło nam się później przekroczyć czas przewidziany w harmonogramie na zajęcia, kiedy skupieni nad szczególnie ekscytującym problemem, zapominaliśmy o Bożym świecie!

Na pierwszym piętrze znajdował się gabinet dziekana, a także dziekanat i kilka biur dla pracowników administracyjnych. Jedno skrzydło wypełniała imponująca biblioteka, a drugie, odgrodzone od reszty krużganku drzwiami, przeznaczone było na mieszkania dla wybranych wykładowców. Jak zdążyłem się rychło zorientować, te przerobione z klasztornych cel apartamenty zajmowali dziekan O'Grady, Lew Michajłowicz Protopopow oraz szkocki semiotyk Angus Fletcher, z którym jednak przez cały mój pobyt zamieniłem ledwie kilka zdań. Wszyscy oni należeli do stałych wykładowców St. Brendan i od lat przebywali w Newport.

Reszta – w tym grupa tych, którzy podobnie jak ja przyjechali na Finnegany na semestr lub dwa – mieszkała w miasteczku poniżej uniwersytetu. Studenci – co interesujące, głównie pochodzący spoza archipelagu – mieli przygotowany akademik w jednym z położonych nieopodal dawnych budynków gospodarczych klasztoru. Tam właśnie wkraczali w dorosłość, przełamując kolejne obyczajowe tabu. Dobrym akademickim zwyczajem było nieprzeszkadzanie im w tym radosnym dorastaniu, stąd w opisie akademika skazany jestem na cudze opinie i zdawkowe opowieści.

Wszystkie te pomieszczenia, korytarze i sekretne przejścia miałem po wielokroć przemierzać, prowadząc dysputy lub oddając się rozmyśleniom. Niestety, muszę przyznać ze wstydem, że z bogatej uniwersyteckiej biblioteki korzystałem nader rzadko, choć zawierała ona wiele ciekawych pozycji, pomiędzy którymi jaśniał umieszczony w

specjalnej gablocie Ewangeliarz z VII wieku, nazywany w literaturze przedmiotu *Book of Finnegans*. Ten bogato iluminowany rękopis należy, obok *Book of Kells*, do najcenniejszych zabytków piśmiennictwa iroszkockiego. Jednak poza takimi rarytasami biblioteka St. Brendan nie zawierała książek przydatnych w mojej pracy. Niestety, w anglojęzycznych badaniach nad współczesną literaturą postać Filipa Włócznika nie pojawia się zbyt często, nad czym ubolewam i co mam nadzieję zmienić.

## O pustkowiach

Wbrew pozorom, które mogły sprawić szczegółowe i pełne treści opisy mojego spaceru, krótki finneganski dzień trwał jeszcze w najlepsze, kiedy opuściłem gościnne mury St. Brendan i ruszyłem na północ, gdzie rozciągały się pustkowia. Pamiętam, jak na początku moich wspomnień dałem się ponieść fantazji, pisząc, że zaraz za kompleksem dawnego klasztoru spadało w dół strome urwisko, o które roztrzaskiwały się z hukiem spienione fale Atlantyku.

Nie jest to ścisły opis topografii wyspy, lecz swoiste literackie przetworzenie, które teraz zamierzam sprostować. Nie zamierzałem wprowadzać czytelnika w błąd, miałem jedynie na względzie stworzenie na samym początku tej historii odpowiedniego klimatu, który pozwoli gładko wejść w dalszą opowieść. W mojej opinii obraz urwiska znakomicie tę rolę spełniał.

Opisany element krajobrazu znajduje się w rzeczywistości kilka mil dalej na północ, zaś pomiędzy nim a uniwersytetem rozciągają się zielone wzgórza, jary i dolinki, gdzie do późnej jesieni wypasane są owce. Ich białe kłębki znaczą zieloną trawę, tworząc jeden z najbardziej typowych krajobrazów Finneganów. Na tym niegościnnym terenie rozsiane są pojedyncze zagrody, raczej służące za miejsce noclegowe dla trzody niż jej pasterzy. Gdzieś tam pomiędzy zieleni sterczą ostre skały, a na klifach i w zatoczkach przysiadają stada maskonurów i mew. Ich krzyk, z początku drażniący, z czasem tworzy niemal niezauważalne tło dźwiękowe, które nie przeszkadza rączym myślom, pędzącym przez świeże powietrze przesycone wonią morza.

Na samej północy wznosi się wzgórze Toehill, którego szczyt wieńczy, niczym paznokiec, surowa skała. Zaś u jego południowych zboczy znajduje się samotne, kamienne gospodarstwo. Owego dnia, który wypełniłem spacerem po okolicy, nie odważyłem się zejść wąską ścieżką na dno doliny. Położony na pustkowiach dom przywołał liczne skojarzenia z prozą dziewiętnastowiecznej Anglii. Brakowało tylko wrzosowisk i samotnych drzew, ale tych na Finneganach nie udało mi się spotkać. Nie, nie lękałem się posępnego domostwa i jego demonicznych mieszkańców, lecz rozmięklej od deszczu stromej ścieżki, na której nie chciałem się poślizgnąć. Poza tym mój spacer trwał już na tyle długo – wypełniony wrażeniami i licznymi obserwacjami antropologicznymi – bym zdążył poczuć głód.

Zrobiwszy więc kilka zdjęć telefonem komórkowym, zawróciłem w stronę Newport. Dopiero wiele dni później, kiedy zrzucałem zdjęcia na komputer, dostrzegłem, że na wschodnim klifie stała pomiędzy morskim ptactwem kobieta. Obrócona profilem, przesłonięta rozwianymi włosami, nie dała się rozpoznać nawet przy najsilniejszym powiększeniu. Nie zauważyłem jej podczas spaceru, nie dostrzegłem, uważnie kadrując plan. Odkrycie jej na fotografiach sprawiło, że przez plecy przeszedł mi dreszcz.

Pierwszy obiad u pani Magee był pożywny, lecz rozczarowujący. Od tamtej pory szukałem odpowiednich słów, by zrezygnować z jej kuchni.

## O tym, co już było

Następnego dnia odwiedziłem sklep pana Howlina, wypełniony przez tweedy, spomiędzy których wyłoniła się Jadranka Vidović. O tym wydarzeniu opowiadałem już obszerniej, więc tylko wspominam to dla porządku, żeby zachować żelazny rygor opowieści. Czasem lepiej pewne sprawy powtórzyć, postawić kropkę nad „i”, niż posiać w umyśle czytelnika wrażenie chaosu i bezładu.

## O członkach

Następnego dnia z kolei miało miejsce pierwsze spotkanie u dziekana, w którym miałem zaszczyt uczestniczyć. Członkowie St. Brendan College zbierali się tak co tydzień, a od owego razu i ja dołączyłem do tych owocnych i wypełnionych ożywionymi dyskusjami konwentykli intelektualnych.

Język polski nie posiada niestety właściwego odpowiednika dla zakorzenionego w anglosaskiej tradycji uniwersyteckiej słowa *fellow*. Poznałem dobrze jego znaczenie i chlubię się tym, że kilka razy w swoim życiu mogłem odnieść to słowo do siebie. *Fellow* to coś więcej niż „członek”, ten nędzny semantyczny substytut, którym muszę się tutaj posługiwać. Gimnastykuję się od dłuższego czasu, aby go nie używać zbyt często, i do tej pory mi się to udawało. Mówiłem ogólnie o wykładowcach, o wspólnocie uniwersyteckiej, ale trzeba nazwać sprawy po imieniu: byliśmy *fellows*, członkami St. Brendan. Odtąd – mimo mojej głębokiej rezerwy natury językowej – „członek” będzie mi towarzyszył na co dzień, na dobre i na złe.

Skoro porzuciłem już dla tej lingwistycznej dygresji moją opowieść, to za jednym zamachem uporam się z jeszcze jednym problemem, który mnie napawa zgryzotą. Cały czas bowiem opowiadam o uniwersytecie – używając tego określenia na St. Brendan College – bojąc się powiedzieć „kolegium”, gdyż słowo to znaczy po polsku coś zgoła innego. I choć czasem używa się go, szczególnie w łacińskiej wersji *collegium*, na określenie instytucji akademickich, zwłaszcza zaś wydziałów medycznych, to jednak większości czytelników kojarzy się z czymś innym. A ileż byśmy zaoszczędzili kłopotów, gdybyśmy zamiast o „wydziałach” mówili o kolegiach, w których pracowaliby nie „członkowie”, lecz prostu „koledzy”! W ten sposób, nawiasem mówiąc, zwykł zwracać się do mnie Lew Michajłowicz Protopopow i mam nadzieję, że niebawem nadarzy się okazja, aby o tym szerzej opowiedzieć.

Tymczasem zamiast na kolegę jestem skazany na członka, jakież to smutne. Dodatkowe zamieszanie pojawia się, kiedy muszę pisać jednocześnie o uniwersytecie i o dziekanie jako jego głowie. W Polsce bowiem dziekani kierują pracą wydziałów. Otóż, by raz na zawsze rozwiać wszelkie wątpliwości i do nich już nie wracać, powiem, że pracami St. Brendan College kieruje dziekan, Patrick O’Grady, zaś „spotkania u dziekana” są to po prostu nasze rady wydziału lub zebrania katedry. Zważywszy jednak, że wszystkich członków St. Brendan jest niespełna dwudziestu, posiedzenia te nabierają niezwykle kameralnego i familiarnego charakteru.

## O sztuce kaznodziejskiej

Muszę powiedzieć, że mi ulżyło. Zrzuciłem z siebie ten ciężar językowej niezręczności, który zawisł nade mną od początku spisywania tych wspomnień. Do tej pory nieco pętał mnie; teraz mam nadzieję, że moja opowieść rącho ruszy do przodu, niewstrzymywana już wędzidłem niedomówień.

Zwłaszcza że mam do opisanego wydarzenie niezwykle i dla mnie samego doniosłe: mój pierwszy udział w zebraniu u dziekana, na którym miałem poznać kolegów i koleżanki z St. Brendan. Od przyjazdu zdawałem sobie sprawę, że tego dnia spojrzenia wszystkich skoncentrują się na mnie. Byłem nowy, każdego ciekawiło to, co ze sobą przywożę. Społeczność akademicka bywa nieufna, dlatego postanowiłem od samego początku wyłożyć karty na stół. Pokazać, kim jestem i zapewnić, że gramy w jednej drużynie.

Nasza wspólnota akademicka była zbieraniną postaci tak barwnych i nietuzinkowych, że prezentowanie ich wszystkich w tym miejscu odbyłoby się ze znaczną szkodą dla ich bogatych osobowości. Stłoczeni obok siebie w jednym akapicie, zmieszaliby się w umyśle czytelnika w jedną postać, w nierozróżnialny tłum akademików o kilkunastu głowach i kilkudziesięciu kończynach. Tego chcę uniknąć za wszelką cenę, gdyż ludzie ci zasługują na inne potraktowanie. Taki opis, podobny do zapisu w książce telefonicznej lub na liście zakupów, obrażałby ich nawet wtedy, gdyby te słowa do nich samych nigdy nie dotarły. Dlatego pominię tu listę obecności, rezerwując dla każdej postaci miejsce w osobnej, celnej charakterystyce. Te planowane w innym miejscu miniaturki literackie wprowadzą zresztą w moją opowieść pewien ożywczy ton. O niektórych z wykładowców zresztą już napisałem, innych wymieniłem z nazwiska. Na resztę przyjdzie odpowiednia pora.

Zebraliśmy się w obszernej sali posiedzeń, która przylegała do gabinetu dziekana O'Grady'ego. Zasiadliśmy wokół długiego stołu i dziekan rozpoczął spotkanie. Muszę przyznać, iż mile polechtało mnie, że zaczął od przedstawienia mojej osoby jako nowego członka (*fellow*) akademickiej wspólnoty St. Brendan College. Sądziłem, że posiedzenia tak znakomitego grona rozpoczynają się od wielu ważniejszych spraw, dysput naukowych i niecierpiących zwłoki rozstrzygnięć, a dopiero potem przychodzi czas na kwestie tak nieistotne, jak pojawienie się nowego wykładowcy. Tu jednak było inaczej. Dziekan odłożył wszystkie ważne kwestie na bok, bym mógł poczuć się w St. Brendan jak w rodzinie. Oto cecha wielkich ludzi: umiejętność dostrzeżenia i spełnienia nadziei drugiego człowieka. Kiedy wyczerpująco została przedstawiona moja droga naukowa, dorobek i osiągnięcia, oddano mi głos.

Byłem przygotowany.

– Nazywam się Lesław Srebroń i przybyłem tu z dalekiego Krakowa.

Tak zacząłem i umilkłem znacząco. Teraz muszę poprosić czytelnika o wybaczenie, że do tej pory nie ujawniałem swego nazwiska. Przedstawiłem już wielu bohaterów tej

opowieści, sam pozostając nieznanym. Ale od początku wiedziałem, że moje imię padnie na tych kartach po raz pierwszy właśnie wtedy, gdy będę opisywał przemowę do zgromadzenia akademików St. Brendan. Niech zatem czytelnik usłyszy moje imię w tym momencie historii, w którym usłyszeli je wielcy uczeni zgromadzeni na Finneganach.

– Nazywam się Lesław Srebroń i przybyłem tu, ponieważ wiem, jak drogi jest wam wszystkim los kultury europejskiej...

Nie będę przytaczał tej przemowy dosłownie, zwłaszcza że porwał mnie wtedy duch oratora i miałem wrażenie, że to raczej nie ja mówię, lecz coś przemawia przeze mnie. Byłem jak w transie i zrozumiałe jest, że teraz nie potrafię przytoczyć tych słów *in extenso* bez pomocy wyobraźni. A opowieść ta ma być zapisem prawdy, a nie popisem możliwości fantazjowania. Tę sztukę zostawiam lepszym od siebie, takim jak Filip Włócznik.

Mówiłem jednak o kryzysie kultury europejskiej, o postępującej gangrenie naszej cywilizacji. Twarze słuchających posmutniały. Bo choć przecież znali już tę diagnozę od dawna, to każdorazowe jej przywołanie musiało boleć. Ale czułem, że musi boleć, jeśli chcemy, by potem było lepiej; dlatego nie szczędziłem opisów upadku i postępów choroby. Kiedy twarze stały się posępne, a zebrani pouciekali wzrokiem i zapadli się w sobie, postanowiłem tchnąć w ich serca optymizm. Zbudowałem przed ich oczami wyrazistą metaforę, której zręby opracowałem jeszcze w Polsce.

Otóż w mrocznych wiekach, które spadły na Europę po upadku Imperium Romanum, wydawało się, że dawny świat nie ocaleje. Hordy barbarzyńców niszczyły budowle, na gruzach bibliotek palono ogniska, plugawiono świątynie i dzieła sztuki. Ale kiedy nad kontynentem zawisły ciemne chmury i zdawało się, że nic nie potrafi ich rozgonić, w dalekiej Irlandii pojawili się mnisi, którzy postanowili ocalić gasnące dziedzictwo. Wyprawiali się na kontynent po księgi, które potem kopiowali w swych iroszkockich klasztorach. Centrum ówczesnego świata kultury stała się Iona, niewielka wysepka położona u wybrzeży Zielonej Wyspy. Tam wielki opat Columcille, zwany Kolumbą Starszym, dodawał otuchy mnichom i prowadził wielkie prace. Kiedy w Europie szalała pożoga, na Ionie ratowano wszystko, co dało się ocalić, nie oglądając się na prawidła historii i nieubłaganą, jak by się mogło wydawać, logikę dziejów. I dzięki temu ocalono antyczną poezję, ocalono filozofów i teologów. Ich prace przetrwały w pięknie iluminowanych kopiach i kiedy nadszedł czas, inny iroszkocki mnich, Kolumban Młodszy, wyruszył z jedenastoma towarzyszami do kraju Franków, a potem dalej, w Alpy, gdzie zakładał kolejne klasztory, dzięki którym w Europie wyrosło na nowo to, co zostało przez Iroszkotów wprzód ocalone.

Mówiłem jak natchniony, aż zauważyłem, że twarz siedzącego naprzeciwko mnie dziekana O'Grady'ego pokrywa się lekkim rumieńcem. Kilkakrotnie chrząknął też, zakłopotany. Rozumiałem znakomicie tę reakcję. Przywołanie jego przodków i ich doniosłej roli musiało go wzruszyć, ale i zawstydzić. Oto ten przybysz z Polski zna dzieje jego narodu, doskonale wie, jak wiele sam zawdzięcza obu Kolumbanom i ich uczniom. Dziekan O'Grady czuł się mile doceniony. A ja byłem szczęśliwy, że mogłem w ten sposób oddać hołd kulturze Zielonej Wyspy i złożyć go na jego ręce.



I oto sytuacja się powtarza, ciągnąłem swój wywód. Odtrąbiono już na kontynencie zmierzch cywilizacji Zachodu, odprawiono czuwanie przy zwłokach i ceremonie pogrzebowe. Ale my, zgromadzeni na Finneganach, nie poddajemy się, lecz walczymy! Walczymy naszymi intelektami, walczymy, pisząc kolejne książki i prowadząc ważne dysputy. Zachód nie umrze, dopóki trwać będziemy na posterunku w St. Brendan, na zapomnianych przez ludzi Finneganach! Iona była pierwszym kawałkiem lądu, z którego nie widać Irlandii. Tam osiadł wielki Columcille. Z Finneganów nie widać żadnego fragmentu Europy. Ale mamy ją w naszych sercach, w naszych umysłach. I ocalimy ją, wbrew wszystkiemu! Po raz drugi pokażemy, że intelekt ludzki potrafi pokonać morderczą logikę dziejów!

Chwaliłem geniusz zgromadzonych wokół stołu, wyrażałem nadzieję, że ich wielkość pomoże stawić czoła wyzwaniom. Wywołało to niejaki zakłopotanie, zupełnie zresztą zrozumiałe. Szacowni uczeni chrząkali, patrzyli na zegarki, udawali, że to nie o nich mowa. Przemawiałem jednak dalej, podziwiając ich skromność. Oto prawdziwa miara wielkości ducha!

Kiedy skończyłem, zapadła cisza. Czułem, że moje płomienne słowa zapadły głęboko w pamięć zgromadzonych, dotarły do najgłębszych zakamarków ludzkich serc. Wiedziałem, że nie mówię zebranym uczonym nic nowego. Przecież przybyli do Newport na długo przede mną i od lat swoją ciężką pracą podtrzymywali płomień gasnącej kultury Zachodu. Stanowili awangardę humanistyki, elitę elit, *crème de la crème* nauki. Nie musiałem ich przekonywać. Ale chciałem, by poczuli, że jestem jednym z nich.

Wreszcie ciszę przerwał Patrick O'Grady:

– Tak... już dawno w tych murach nie słyszano kazania.

Byłem mu wdzięczny. Tym dobrotliwym porównaniem trafił w sedno. Potrzebowaliśmy wszyscy żaru kaznodziejów! Cieszyłem się, że dzięki moim skromnym umiejętnościom choć przez chwilę podsycałem ten żar. Podziękowałem gorąco i dyskretnie otarłem łzę, gdyż nie mogłem ukryć wzruszenia.

Zapewne dziekan miał jeszcze w porządku dziennym wiele ważnych kwestii, ale uznał, że po moim wystąpieniu nie powinno się otwierać nowych tematów. Zebranie dobiegło końca.

Byłem mu wdzięczny.

## O *Pochodzie penisa*

Zapadła cisza, każdy pogрузił się we własnych myślach. Czułem, że moja przemowa trafiła wszystkim do serca. Czułem, że poruszyła w moich kolegach struny powołania. Wiedziałem, że wypowiedziane słowa, choć może nieco chropawe ze zdenerwowania, trafiły na podatny grunt.

Dziekan O'Grady chwilę pobębnił palcami po blacie wielkiego stołu, wokół którego zasiadaliśmy, po czym zakończył zebranie, zapraszając wszystkich na obiad do Brendan's Toe. Wspominałem już chyba, że te obiady były wieloletnią tradycją finnegańskich akademików, która zresztą bardzo mi podeszła i z ochotą ją kultywowałem przez cały semestr, który dane mi było spędzić pomiędzy tymi szlachetnymi umysłami.

Wszyscy wstali i zaczęli wychodzić na korytarz, żartując przy tym, jak to ludzie uniwersytetu. W drzwiach podeszła do mnie Sadhbh O'Sullivan i łagodnie odciągnęła mnie od towarzystwa. Podziwiałem ją od lat za odwagę i inteligencję. Jej badania odbiły się szerokim echem w całej Europie, a sława dotarła za ocean. Ta profesor dublińskiego Trinity College zasłynęła przed laty kontrowersyjnym kursem, zatytułowanym *Pochód penisa przez dzieje w świetle Heglowskiej fenomenologii ducha*. (Oficjalnie spolszczony, ten tytuł brzmi oczywiście nieco inaczej, ale pozwalam sobie tutaj na to małe odstępstwo, opierając się na własnych skromnych zdolnościach translatorskich). Ten pionierski cykl wyznaczył nowe trendy, wytyczył kierunki badań, które miały się rozwinąć wiele lat później. Wystarczy sprawdzić indeks cytowań. Słynny *Pochód penisa*, który Sadhbh ogłosiła drukiem na początku lat dziewięćdziesiątych, jest jednym z najczęściej przywoływanych tekstów w zorientowanej genderowo humanistyce obydwu półkul.

Nie muszę chyba dodawać, że w katolickiej Irlandii tak śmiały projekt spotkał się z licznymi protestami konserwatywnych środowisk. Pamiętam, że na jednej konferencji nazwano O'Sullivan „Sinéad O'Connor irlandzkiej humanistyki” – wielbioną przez słuchaczy i wyklinaną z ambon. Rzeczywiście, było między nimi pewne podobieństwo, ta sama odwaga, ten sam czysty talent. Kariera Sadhbh zawisła na włosku i wiem, że przez lata musiała prowadzić swój kurs poza granicami rodzinnego kraju. To przymusowe wygnanie było dla niej zapewne trudne: tułaczka po amerykańskich uniwersytetach stanowych, dwa lata w Nowej Zelandii – to wszystko nie mogło pozostać bez śladu. Kto wie, czy wtedy nie przetrącono jej intelektualnego kręgosłupa, tłamsząc brutalnie startującą do pełnego rozkwitu karierę? Kto wie, jaki talent objawiłby się światowej humanistyce, gdyby nie wszystkie te szykany? O'Sullivan zniosła je z godnością, ale zapłaciła wysoką cenę. Niech wymownym dowodem tego będzie fakt, że ze swym wykładem mogła powrócić do domu dopiero w XXI wieku! Ale wróciła na Zieloną Wyspę w chwale. Na dublińskim lotnisku witały ją tłumy studentów i dawnych wielbicieli jej intelektu.

I teraz z tym samym cyklem przyjechała do St. Brendan. *Pochód penisa* dotarł na Finnegany. Kiedy ją poznałem, była kobietą dojrzałą, w kwiecie wieku. Znajdowała się u

szczytu twórczych możliwości, chętnie dzieląc się swym bogatym doświadczeniem ze studentami i kolegami z St. Brendan.

Sadhbh uwiesiła mi się na ramieniu. W lot pojąłem, że pewnie boli ją noga, zapewne nadwerżona podczas spacerów wilgotnymi nabrzeżami Newport. A ponieważ wiem nie od dziś, że kobiety nie lubią rozmawiać o swych słabościach, zwłaszcza kobiety tak silne jak Sadhbh O’Sullivan, dlatego taktownie milczałem, nie pytając o powód kontuzji.

Zwolniłem jednak i szliśmy spokojnie kruzgankiem. Oddaliśmy się od grupy wykładowców, która po wyjściu z gabinetu dziekana jeszcze dyskutowała z ożywieniem. Celowo pozostawiłem moich kolegów i koleżanki, żeby dać im sposobność nieskrępowanej rozmowy o mojej przemowie. Wiedziałem już, jakie zrobiła na nich wrażenie, dlatego wołałem dyskretnie usunąć się w cień, stwarzając tym samym przestrzeń do swobodnych komentarzy i niehamowanych pochwał.

Podjeżdżałem, dlaczego Sadhbh odciąga mnie od reszty. Czułem, że chce mi na osobności wyrazić uznanie, które wypowiedziane publicznie może być krępujące tak dla chwalonego, jak i chwalonego. Kiedy odeszliśmy na tyle, by gwar rozmów ucichł, odważna córka Irlandii zatrzymała się i zapytała niskim głosem:

– Co powiesz na to, byśmy lepiej poznali się podczas kolacji? Zapraszam dziś do mnie, przyrządzę dorsza.

Ucieszyła mnie ta propozycja, gdyż stwarzała znakomitą możliwość do dyskusji nad kondycją współczesnej kultury. Cieszyłem się też, że moje skromne przemówienie tak trafiło do Sadhbh. Już miałem się zgodzić, kiedy uświadomiłem sobie, że przecież tego wieczoru będę najedzony po obiedzie w Brendan’s Toe, na który właśnie się wybieraliśmy! I choć paliłem się do dyskusji z profesorem O’Sullivan, to nie mogłem dopuścić, żeby soczysty dorsz się zmarnował.

– Na pewno będzie okazja innym razem – powiedziałem pocieszająco.

– Tak łatwo ci nie odpuszczę. – Uśmiechnęła się i odeszła.

## O wielkim intelekcie

Nigdy nie zapomnę pierwszej rozmowy z Lwem Michajłowiczem Protopopowem. A pamięć mnie tu nie może zwieść, gdyż wszystko dokładnie zanotowałem. Dziś, gdy czytam tę relację w moim „dzienniczku pokładowym” (jak na własny użytek nazywam notatki z Finneganów), muszę wyznać, że scena ta staje mi przed oczami jak żywa.

Działo się to w pierwszym tygodniu mojego pobytu na wyspie. Zostaliśmy już sobie przedstawieni z Protopopowem podczas cotygodniowych spotkań u dziekana. Miałem wrażenie, że stary uczyony nawet mnie nie zauważył, pogrążony we własnych myślach. Przez następne dwa dni bałem się podejść i porozmawiać, świadomość jego wielkości mnie paraliżowała. Ileż razy zbierałem się w sobie, kiedy mijałem go na uniwersyteckich korytarzach albo na Main Street, po której spacerował wsparty na ramieniu Jadranki! Miałem ułożone w myślach słowa powitania, skromny panegiryk, który pozwoliłby mi już na wstępie wyrazić uznanie i oddanie, jednocześnie nie zawstydzając Lwa Michajłowicza. Tego chciałem uniknąć za wszelką cenę. Znałem bowiem skromność wielkich ludzi, ich zakłopotanie w przyjmowaniu pochwał i komplementów. Sam zresztą też, nie będąc ani wielkim, ani wybitnym, ćwiczyłem się w skromności, obierając sobie za wzór takich ludzi jak Protopopow.

Był wieczór, zaszedłem więc do pubu starego Toby’ego, by pokrzepić się kufelkiem guinnessa. Uwielbiałem tę gęstą pianę, laną przez kilka minut, która nie rozplywa się od razu, tylko trwa w naczyniu aż do końca, łagodnie osadzając się na ściankach. Lubiłem tę goryczkę, ten mocny, intensywny smak, który jest od stulecia kompasem dla piwowarów na całym świecie, nieosiągalnym szczytem browarniczego kunsztu. Lubiłem ten ciemny, kawowy kolor, który za każdym razem – a piłem tego szlachetnego stouta pod każdą niemal długością geograficzną – przypominał mi o Zielonej Wyspie i tętniących życiem pubach przy Temple Bar.

Lwa Michajłowicza nie było w środku, choć skrycie liczyłem na jego obecność. Na jego ulubionym miejscu siedział ktoś inny, jeden z tych miejscowych rybaków lub pasterzy owiec, którzy żyli obok, nieświadomi geniuszu rosyjskiego teoretyka literatury. Płomień wesoło trzaskał w kominku, w pubie było gwarno. Zostałem przy barze i pogrążyłem się we własnych myślach, a wtedy on sam pojawił się koło mnie i usiadł, zamawiając guinnessa. Zacząłem go niezdarnie witać, przeproszać, że nie zauważyłem, jak wchodził, i w tym potoku bezładnych zdań uświadomiłem sobie, że cały mój plan, by godnie go powitać, właśnie rozplywa się niczym kostka masła na gorącej patelni.

– Nie szkodzi, panie kolego – powiedział po polsku bez cienia obcego akcentu.

Zaniemówiłem z wrażenia. Wiedziałem, że Protopopow włada biegle siedmioma językami, a rozumie kolejne czternaście, ale nie przypuszczałem, że wśród nich znajduje się moja mowa ojczysta. Byłem wzruszony. Za bardzo wzruszony, by zareagować inteligentnie.

– Znakomicie pan profesor mówi po polsku!

– Miałem nianię z Radziwiłłów.

– Z Radziwiłłów?

– Takie czasy. Ja nie zostałem paziem u Romanowów, ona księżną.

Zapadła cisza. Szukałem słów, by zacząć po raz drugi naszą rozmowę, by wyrazić zachwyt, złożyć hołd. A kiedy cisza zawisła między nami, drgając boleśnie mimo gwaru wokoło, ten genialny uczoney jednym zdaniem rozładował całe moje napięcie.

– Lubię przed snem wypić kilka piw, dobrze robią na nerki.

Byłem mu wdzięczny.

– Potem leję jak wół – dokończył.

Znów cisza, tym razem krótsza. Zebrałem się w sobie.

– Czytałem pana prace...

– Tak?

– Podziwiam pana...

– Bez przesady, zachowajmy podziw na właściwą okazję. Pan wybaczy, ale muszę do toalety. Wielki umysł, taktowny i subtelny! Zauważył moje skrępowanie i postanowił się nie narzucać; w lot uznał, że nasza znajomość potrzebuje czasu. Nie byłem na to spotkanie gotowy, a on to wyczuł i dyskretnie się wycofał. Ilekroć wracam do tej konwersacji, do tych słów spisanych na gorąco na kilku serwetkach, a potem przepisanych do „dzienniczka pokładowego”, nie mogę się nadziwić jego finezji. Tylko wielkie umysły potrafią poprowadzić rozmowę tak, aby nie sprawić najmniejszej przykrości zakłopotanemu rozmówcy.

Lew Michajłowicz nie zraził się moim niezręcznym komplementem dotyczącym jego znajomości polskiego. A przecież powiedzieć uczoneму tej klasy coś takiego, to jakby chwalić Kurosawę, że potrafi kręcić filmy, jakby dziwić się w obecności Audena, że potrafi trzymać pióro, lub zachwycać przy Kokoschce, że pędzel nie wypada mu z ręki! Większej gafy nie mogłem popełnić i nie dziwiłbym się, gdyby ten wielki uczoney nie odezwał się do mnie ani słowem aż do końca mego pobytu na Finneganach.

Ale nie, Lew Michajłowicz dobrodusznie wybaczył mi nieporadność i od razu wysłał sygnał, że chce prowadzić ze mną rozmowę o najpoważniejszych sprawach. Jak bowiem można inaczej zinterpretować tę wtrąconą mimochodem wzmiankę o niani? Ileż w tym prawdy, ileż gorzkości! W jednym zdaniu cała trudna historia naszych bratnich narodów, skondensowane dzieje rewolucji i mroków totalitaryzmu. Nie znałem i nie znam po dziś dzień bardziej błyskotliwej syntezy dwudziestego wieku niż to jedno zdanie mądrego i sędziwego Protopopowa. To znamienne, że wypowiedziano je nie w najświetniejszych uniwersytetach Starego Kontynentu, ale na obrzeżach Europy, na niewielkiej wysepce chłostanej wściekłością Atlantyku. Ten kontrast, kiedy już go dostrzegłem, zawsze chwycił mnie za serce.

I potem znowu moja niezdarność, pochwały uczniaka, pytanie o wielkie dzieła; do dziś się rumienię. A co na to Protopopow? Łaskawie puścił nieudolny komplement mimo uszu i wziął na siebie ciężar dalszej rozmowy. Żeby nie czuł się nadto upokorzony, sam się przede mną uniżył. Ja o ideach, a on o starości, nerkach, nietrzymaniu moczu. Tak

ratują bliźnich ludzie nie tylko wielkiego intelektu, ale i formatu etycznego. Zgasił mój wstyd swoim zawstyżeniem, nie pozwolił, bym czuł się zakłopotany. A byłem zażenowany sam sobą przez cały następny dzień. Protopopow jedną błyskotliwą frazą rozbroił rosnące między nami napięcie, a potem wycofał się dyskretnie, abym mógł dojść do siebie. Odebrałem to jako wyraźny sygnał: pierwsze lody zostały przełamane. Teraz możemy rozmawiać jak uczeni, bez zbędnych wstępów i zagajień.

Wielki umysł, wielki człowiek. Jestem dumny, że mogę powiedzieć: były takie czasy, kiedy razem z Lwem Michajłowiczem Protopopowem wykładaliśmy na jednym uniwersytecie.

## O studenckiej braci

Tak niewiele miejsca poświęciłem do tej pory moim studentom, a to dzięki nim mogłem spędzić te błogie miesiące na Finneganach. Przybyłem tam przecież przede wszystkim jako wykładowca, a nie naukowiec. Ale tak to już los dialektycznie splótł w człowieku nauki dwie namiętności, że odtąd ten zawsze już poddany jest ich niszczycielskiej sile. Oddając się za bardzo nauce, zaniedbuje nauczanie; nauczając z pasją, często zapomina o badaniach. Odkąd istnieją uniwersytety, praca dydaktyczna i naukowa walczą o dominację, a serce uczonego staje się areną tej wojny. Raz jedna jest żoną, druga kochanką, a innym razem wręcz przeciwnie.

A ja spostrzegłem, że opisując dokładnie wyspę, lokalną ludność oraz akademicką społeczność, zaniedbałem haniebnie moich uczniów, bez których energii nie przetrwałbym tych stu dni bez słońca. Karmiłem się ich witalnością, a teraz pomijam w tej opowieści.

Są błędy nie do naprawienia i życie każdego człowieka jest nimi naznaczone w tragiczny sposób. Ten jednak da się łatwo naprawić. Wystarczy opowieść.

Na pierwsze spotkanie ze studentami szedłem z bijącym szybciej sercem. Dziarsko wspinałem się pod górę Main Street, unosząc pod pachą powieści Filipa Włócznika, ale głowę miałem pełną wątpliwości. A co się stanie, kiedy na mój kurs zgłosi się za dużo słuchaczy i nie będę mógł każdemu z nich poświęcić należytej uwagi? A co, kiedy trafię na grupkę zapalonych wielbicieli twórczości Włócznika i moje wykłady okażą się zbędne? Stawiałem sobie wiele takich pytań, podobnie jak aktor przed premierą, gdy czeka w garderobie na ostatni dzwonek. Wiem, że o tym już wspominałem, ale to pełne niepokoju trzepotanie w brzuchu, które towarzyszy rozmaitym pierwszym razom w życiu, jest tak piękne, że warto je opisywać po wielokroć. Aby jednak nie zmęczyć zanedo czytelnika, podzieliłem moje obawy na dwie grupy i dzięki temu mogłem dokonać tej niesfornej repriży.

Na szczęście te i inne moje lęki szybko się rozwiąły. Na wykład przyszło, jak już powiedziałem, siedem osób. Pięć zostało do końca, byli to: Shauna i Ciaran, zakochana w sobie para Irlandczyków z hrabstwa Donegal; pochodząca z Yorku Margaret; Walijczyk Llewellyn; i nasz radosny Dionis, rodowity Grek z Iraklionu. Celowo nie wymieniam ich nazwisk, gdyż zbytnia formalność w prezentacji uczniów zafałszowałaby obraz familiarnej atmosfery, jaka od pierwszego razu zagościła na naszych spotkaniach. Pozostałe dwie osoby z sobie wiadomych powodów uznały, że cykl zajęć poświęcony polskiemu fantaście nie jest tym, czego szukają w St. Brendan, i dość szybko odplynęły ku innym wykładowcom. Ich strata.

Powitałem wszystkich serdecznie, powiedziałem kilka słów o sobie, starając się nie budować na siłę dystansu, jaki na ogół cechuje relację mistrz-uczniowie. Wiem, że jest on potrzebny i sam jestem wdzięczny losowi, że dał mi w mej młodości pełnych szlachetnej rezerwy profesorów, których mogłem nazywać mistrzami. Takim i ja chciałem być dla mych finnegańskich słuchaczy, ale doświadczenie nauczyło mnie, że autorytetu nie buduje

się na sztywnych formach, lecz na prawdziwej mądrości. Do tego anglosaski obyczaj akademicki nieco różni się od tego, który praktykowany jest jeszcze gdzieś na polskich uniwersytetach. Jako człowiek bywałem w świecie miałem tego świadomość.

Krótko przedstawiłem program kursu, podałem tytuły lektur i wtedy dopiero zorientowałem się, że rośnie między nami bariera trudna do przekroczenia. Przecież dzieła Filipa Włócznika nie są tłumaczone na angielski! Moi studenci, pomiędzy których puściłem przyniesione z domu powieści, wpadli w popłoch. Nawet nie zaglądali do wnętrza książek, tylko lękliwie przekazywali je kolegom, jakby chcąc od siebie oddalić to, czego nie rozumieją. Uspokoilem ich więc od razu, żeby się nie wstydzieli nieznajomości mojego ojczystego języka. Aby dodać im otuchy, wyrecytowałem nieśmiertelne strofy z poezji Dugalda Buchanana, celowo robiąc w wymowie gaelickiego większe błędy niż zazwyczaj. Przyjęli to salwą śmiechu, napięta atmosfera została przekłuta. Czułem, że tą planową nieporadnością zaskarbiam sobie ich względy. Uspokoilem studentów, zapewniając, że będę streszczał wielkie fabuły Włócznika. Może będziemy mieli z tego powodu mniej czasu na interpretację tekstów, ale za to po kursie studenci uzyskają solidne podstawy, by zajmować się twórczością Włócznika głębiej.

Osobny problem stanowiła nieznajomość kontekstu polskiego. Wprawdzie proza mojego ukochanego pisarza nie była przesadnie zanurzona w tło historyczno-polityczne kraju, z którego wywodzi się autor, jednak podstawowa orientacja w dziejach najnowszych i narodowej symbolice byłaby wielce przydatna. Starłem się, jak mogłem, uzupełniać te luki w wiedzy moich uczniów. Już podczas pierwszego wykładu zauważyłem jednak, że oni sami także uczestniczą aktywnie w zajęciach, wynajdując w Internecie potrzebne informacje. Oto pokolenie ery komputerowej! Zauważyłem też u nich inną szlachetną cechę, mianowicie solidarność. Oto bowiem kiedy tylko któreś z nich znalazło potrzebną informację, od razu dyskretnie, żeby mi nie przeszkadzać, przesyłało ją esemesem pozostałym. Dzięki temu zajęcia szły sprawnie już od pierwszego razu i nawet nie zauważyłem, kiedy minęły.

Odtąd spotykać się mieliśmy regularnie: oni skupieni nad ekranami swych laptopów, a ja przemawiający ponad ich głowami, zapatrzony w portrety irlandzkich uczonych, które wisały na przeciwległej ścianie. Do dziś pamiętam ich twarze: i studentów, i uczonych.



## O karygodnej pomyłce

Wspomniałem o dwójce studentów, również Irlandczykach, którzy po pierwszym wykładzie zrezygnowali. Aby jednak obraz tej historii nie był zaburzony, winien jestem pewne dopowiedzenie. Chłopak, proszę wybaczyć, że nie zapamiętałem jego imienia, wybrał ostatecznie kurs Jadrunki Vidović. Bardzo szanuję tę chorwacką uczoną, lecz doprawdy nie potrafię zrozumieć, jak motyw winorośli może wygrać z geniuszem Filipa Włócznika. Ale każdy podejmuje decyzje na własny rachunek; dodam, że każdy też na własny rachunek musi płacić za swe błędy.

Drugą osobą, która nie pojawiła się już na kolejnych wykładach, była urodziwa Saoirse. Imię to wryło mi się w pamięć zarówno z powodu kaligraficznych umiejętności, które nosząca je osoba ujawniła, podpisując się na liście obecności, jak też z powodu innego wydarzenia, które zamierzam tu opisać. Czynię to z pewną niechęcią i ku przestrodze młodych wykładowców (do grona których od lat już nie śmiem się zaliczać).

Saoirse od początku zajęć prowokowała mnie niedwuznacznie. Mimo jesiennej pogody ubrana była w wyzywająco krótką spódniczkę i bluzkę z głębokim dekoltem, który bardziej odsłaniał, niż skrywał pokryte cętkami piegów piersi. Założyła nogę na nogę i kiwała nią wolno, a jej wargi wydymały się raz po raz od balonów z żutej gumy, które nadmuchiwała. Podczas gdy inni studenci z zaangażowaniem szukali w sieci informacji na temat najnowszej historii Polski, chyżo skacząc pomiędzy stanem wojennym, Okrągłym Stołem a pamiętnymi wydarzeniami Marca '68, Saoirse bez przerwy patrzyła to na mnie, mrużąc wielkie zielone oczy, to błędziła wzrokiem po suficie i niby bezwiednie gładziła się długimi palcami po odsłoniętej szyi. Kiedy pozostali z nabożeństwem przekazywali sobie powieści Filipa Włócznika, ponętna Irlandka bawiła się nonszalancko długopisem, obracając go między palcami tylko po to, by upuszczać go raz po raz na miękkie dywan i schylać się poń ostentacyjnie, czyniąc swój dekolt jeszcze głębszym.

Jednak mnie, wyleniałego lwa sal wykładowych Europy, nie da się zbyt łatwo wyprowadzić z równowagi. Kiedy więc zakończyłem wykład i studenci zbierali się do wyjścia, poprosiłem Saoirse o pozostanie. Przyjęła moje polecenie z udawaną nudą i westchnęła głośno, wznosząc oczy ku gotyckiemu stropowi. Albowiem w sali, w której się znajdowaliśmy, jak zresztą w całym skrzydle dawnego klasztoru, pierwotnie romańskie łuki zawaliły się w XI wieku i budowniczości musieli przesklepić je, wyprowadzając z filarów już gotyckie żebrowanie.

W pomieszczeniu zrobiło się pusto. Pozostaliśmy tylko ja i Saoirse, która czekając na reprimendę, usiadła jednym pośladkiem na moim biurku i lekko machała nogą, dalej prowadząc swoją grę. Zamknąłem drzwi i przemówiłem do tej młodej ósóbki tonem zdecydowanym. Powiedziałem, żeby wiedziała na wstępie, iż z zasady nie sypiam ze studentkami i jej prowokacje nie działają na mnie tak, jak to sobie zamierzyła. Jeśli myśli, że jej erotyczne zabiegi robią wrażenie – albo przynajmniej rozpraszają w prowadzeniu

zajęć – to grubo się myli. Nie jestem zainteresowany tym, co ma pod spódnicą, więc proszę ją uprzejmie, jeśli mamy dalej współpracować, aby wybiła sobie z głowy myśli o łóżkowych igraszkach. I żeby było jasne, granicą naszych kontaktów cielesnych będzie odtąd co najwyżej formalny uścisk dłoni. Aby od razu rozwiać wszelkie wątpliwości, powiedziałem też, że przez niesypianie ze studentkami rozumiem nie tylko *coitus*, ale też całowanie, pieszczoty przez ubranie, przebywanie ze sobą w stanie częściowego lub całkowitego neglizju, wszelkie odmiany pettingu, stymulację oralną oraz alternatywne formy penetracji.

Czułem się w obowiązku jasno określić granice naszych relacji, żeby nie było pomiędzy nami żadnych dwuznaczności i niedopowiedzeń. Jeśli coś nas może łączyć, to wspólne oddanie prozie Filipa Włócznika. Może mnie też szanować jako wykładowcę, podobnie jak ja mam prawo cenić ją jako studentkę – jeśli tylko zasłuży na to systematyczną pracą. Tylko tyle i nic ponadto.

Kiedy kończyłem, dostrzegłem w przerażonych oczach dziewczyny to, czego obawiałem się najbardziej. Saoirse, ta mała wyzywająca Irlandka, zakochała się we mnie! Kiedy dałem jej do zrozumienia, że nic z tego, czego pragnęła, się nie zdarzy, dziewczyna rozplakała się i wybiegła z sali.

Było mi jej żal; przecież to nie jej wina, że obdarzyła uczuciem swego profesora. Czasem jednak trzeba być stanowczym, choć dla innych może to okazać się bolesne. Czasem trzeba na samym początku powiedzieć raniące „nie”, by nie rozbudzać nadziei na iluzoryczne „tak”.

Od tamtej pory nie zobaczyłem już Saoirse na moich zajęciach. Chwaliłem w duchu jej rozsądek, gdyż ciągle widywanie mojej osoby musiałoby stanowić dla niej mękę. Staralem się nakłonić innych studentów, by czasem podzielili się z nią notatkami z naszych spotkań, by nie czuła się zupełnie odcięta od twórczości Filipa Włócznika. Przecież na pierwszy wykład przysłała dla niego, a nie dla mnie. Dopiero wtedy przeniosła swe uczucia z bohatera kursu na prowadzącego.

Widywałem ją czasem na korytarzach St. Brendan i na ulicach Newport. Rumieniła się, gdy mnie mijała, a ja nie reagowałem na to, by nie wprowadzać jej w jeszcze większe zakłopotanie.

Jak zaznaczyłem, historię tę opowiadałem z niejakim zażenowaniem, lecz mam nadzieję, że jej perswazyjna forma pozwoli uniknąć wielu niedoświadczonym dydaktykom karygodnych pomyłek. To, że studentki często błędnie lokują swe uczucia, nie powinno nas dziwić, gdyż tłumaczy je młodość. Jednak fakt, że czasem wykładowca odpowiada na ten błąd swą pełną afirmacji reakcją, nie daje się usprawiedliwić w żaden sposób. Dlatego opowiadałem tę historię ku przestrodze. Nie wolno nam nigdy zejść z jasnej drogi, którą wskazuje akademicki etos!

## O ojcu Dignamie

Zasłyszane w pubie starego Toby'ego plotki o proboszczu od Świętego Piotra Rybaka wielce mnie zaintrygowały. Miejscowi mówili o tym niechętnie, półgębkiem, milkli zawstydzeni. Nikt nie chciał zdradzić powodu, dla którego ten dzielny kapłan został zesłany na tak dotkliwe wygnanie. Finnegany bowiem to miejsce, w którym trzeba się albo urodzić, albo je samemu wybrać. Tylko wtedy można tu znaleźć spokój ducha.

Powściągliwość dzielnych Finnegańczyków w tej sprawie dała mi do myślenia. Milczeli jak grób nawet po kolejnej pincie piwa, kiedy krok staje się chwiejny, mowa mniej wyraźna, a duch śmielszy. Mając dużo czasu na rozmyślania, postanowiłem przeprowadzić małe śledztwo. Wiedziałem już, że od miejscowych nic nie wyciągnę. Wypytywanie samego ojca Dignama uznałem za niestosowne. Postanowiłem więc odwiedzić kościół podczas niedzielnej mszy i uważnie wsłuchać się w słowa kazania. Miałem bowiem poważne podejrzenia, że tajemnica, która narastała wokół mnie, kryje winę najcięższego kalibru. Miejscowy duszpasterz musiał w Dublinie wkroczyć na drogę herezji.

Musiała to być herezja poważna i sięgająca samego serca wiary katolickiej. Nie mogło zatem chodzić o jakąś drobną herezję eklezjalną lub publicystyczne krytykowanie polityki seksualnej Watykanu. Nie, ojciec Dignam musiał mierzyć się z problemami o wiele poważniejszymi. Podejrzałem, że chodzi o jakąś poważną herezję chrystologiczną, co najmniej odważną polemikę z dogmatem chalcedońskim. Zastanawiałem się tylko, czy wielebny Dignam zakwestionował raczej boskość, czy człowieczeństwo Jezusa.

Kiedy w niedzielny poranek szedłem do kościoła, moje podejrzenie było już mocno ugruntowane. Żadne inne wykroczenie kanoniczne nie mogło spowodować tak poważnych konsekwencji. Finnegany musiały skrywać wielkiego herezjarchę, a może i nawet niedoszłego schizmatyka! Hipoteza ta rozpałała moją wyobraźnię i uważnie wysłuchałem całej mszy, licząc, że kapłan jakoś się przede mną zdradzi.

Ale wygnany prezbiter był sprytny i wiedział, jak się maskować. Oczywiście kluczowym punktem mojego śledztwa była homilia, gdyż to w niej można najłatwiej przemycić własne stanowisko w kluczowych kwestiach wiary. Nie podejrzewałem oczywiście ojca Dignama o bezczelną agitację. Założyłem, że skoro nie poszedł drogą apostazji, lecz przyjął z pokorą sankcje kanoniczne, to nie po to, by na głębokiej prowincji głosić nieoświeconej trzódce wysublimowane teologiczne spekulacje. Liczyłem jednak, że mimowolnie, przesiąknięty własną herezją, miejscowy duszpasterz zdradzi się z kacerskimi poglądami.

Ale ojciec Dignam był sprytniejszy, niż mi się wydawało. Zamiast ryzykować demaskację – która mogła przecież zaowocować życzliwym donosem do kurii – zasłonił się listem Episkopatu Irlandii. Gładkie formuły biskupów o trudnościach związanych z kryzysem gospodarczym, religijnym i duchowym nie zawierały w sobie nic, co mogłoby

podważyć prawowierność lokalnego proboszcza.

Ta przebiegłość utwierdziła mnie w moich podejrzaniach.

Ktoś zupełnie niewinny nie próbowałby przecież ukryć swych poglądów, tylko głosiłby je otwarcie. Ojciec Dignam wiedział jednak, iż chwila nieuwagi może spowodować, że wymuskną mu się słowa, których będzie żałował. Spokojna mowa biskupów była więc zasłoną dymną. Wyszedłem z kościoła z postanowieniem, że przyjrę się sprawie, robiąc pogłębioną kwerendę internetową. Nie wykluczałem, że kiedy upewnię się ostatecznie co do swych hipotez, porozmawiam z proboszczem od Świętego Piotra Rybaka, gdyż okolice teologicznej spekulacji nie były mi zupełnie obce. Na razie zostawiłem wielkiego herezjarchę jego własnej trzódce.

## O obyczajach lokalnych

W kościele poczyniłem przy okazji pewne obserwacje natury antropologicznej, które uzupełniły mój obraz bogatej obyczajowości lokalnej społeczności. Otóż w podejściu do kultu religijnego na Finneganach istniała ścisła rozdzielność płciowa. Podczas gdy kobiety uczestniczyły w niedzielnej mszy, mężczyźni spędzali ten czas w pubach. Po zakończonym nabożeństwie rozpoczynał się rytuał, który nazwałem „obrzędem przywracania całości”. Pod tą nazwą o strukturalistycznej proveniencji krył się zbiór ciekawych zachowań.

Kobiety pod kościołem zbierały się w niewielkie grupki i chwilę rozmawiały. Z początku wymieniały nieistotne wieści, by po chwili przejść do pomstowania na swych mężów. To pomstowanie – jak mogłem się przekonać jeszcze wielokrotnie – miało w sobie coś z rytualnego *teatrum*, pewną nadmiarowość gestów i powtarzalność form słownych. Tę część obrzędu kończyła licytacja pomiędzy kobietami, który mąż pije więcej.

Po niej następowało procesyjne przejście do lokalnych pubów, w których kobiety stawały w progu i głośno wywoływały po imieniu swych ślubnych. Tu z kolei następował moment zwyczajowego przekomarzania się, gorączkowe z pozoru, ale starannie wystudiowane zamawianie tzw. ostatniego piwa (*last beer*), po czym mężczyźni wychodzili z lokalu. W tym czasie kobiety czekały zbite w grupkę przed witryną pubu, czasem postukując w szybę rękojęściami parasolek.

Niekiedy dochodziło do pewnych wariacji w obrzędzie, na przykład miało miejsce ponowne wtargnięcie żony do lokalu, targanie za uszy, rozlewanie piwa lub czułe pojednanie przy barze przy aplauzie całego zgromadzenia.

Obrzęd przywracania całości kończył się, kiedy społeczność kobiet i mężczyzn spotykała się przed drzwiami lokalu, po czym połączone czułym uściskiem pary udawały się do swych domostw, gdzie czekał niedzielny obiad. Finnegańczycy lubowali się w celebracji tego zwyczaju, dość powiedzieć, że nieraz cały obrzęd trwał do dwóch godzin!

## O pierwszym jubileuszu

Zanim się obejrzałem, minął pierwszy tydzień mego pobytu na Finneganach. To, że minął już tydzień, uświadomiłem sobie przypadkiem, kiedy pijąc porannego guinnessa u starego Toby'ego, nagle zaobserwowałem masowy exodus gości. Wszyscy, włącznie z właścicielem, porzucili swoje miejsca, niedopite piwa i ruszyli jak jeden mąż w dół Main Street. Syrena zapowiedziała głośno wejście do portu statku, który przywoził jedzenie, zamówione towary i korespondencję. Tego samego, który przed siedmioma dniami wypłynął ze swych trzewi mnie, Jonasza polonistyki, skromnego wyrobnika w wielkiej manufakturze europejskiej humanistyki.

To był impuls: zerwałem się z miejsca i dołączyłem do zwartego pochodu. Czułem się jak robotnik idący na strajk, jak rewolucjonista ruszający naprzeciw oddziałom gwardii. Wszyscy zakładali na głowę czapki, poprawiali marynarki i kierowali się marszowym krokiem w stronę nabrzeża. Byłem wtedy jednym z nich, wmieszany we wspólnotę i przez nią zaakceptowany. Potem długo stałem przy molo, przyglądając się cotygodniowym obyczajom. Nikt nowy nie przyjechał.

Wróciliśmy razem do starego Toby'ego, lecz ja nie wszedłem do pubu razem z innymi. Udałem się do sklepu naprzeciwko, gdzie skryty pomiędzy belami wełny, siedział całymi dniami stary pan Howlin, lokalny strażnik tweedu. Zdecydowanie nacisnąłem klamkę. Decyzja zapadła: muszę kupić kaszkiet.

Pan Howlin wychynął z półmroku i ucieszył się na mój widok. Mrużąc oczy, podawał mi kolejne egzemplarze ze swej bogatej oferty. Poczułem, że od wzorów i kolorów kręci mi się w głowie. W końcu zdecydowałem się na idealnie pasujący ciemnozielony kaszkiet „w śledzik” (tłumaczenie własne). Stojąc przed lustrem, czułem, że przekraczam jakąś granicę.

– Co pana skłoniło do tego zakupu? – zapytał pan Howlin, kiedy już opuszczałem jego gościnny sklep.

– My, Finnegańczycy, nie możemy walczyć z tradycją – odpowiedziałem wzruszony i skierowałem się do pubu starego Toby'ego.

Chciałem spacerować po Newport, pokazać się wszystkim w moim nowym nakryciu głowy, ale padał tak mocny deszcz, że chyłkiem przemknąłem przez Main Street i wmieszałem się w ciżbę stłoczoną w pubie. W ten sposób starzy bywalcy nie mieli okazji zauważyć mego nowego nabytku i musiałem cieszyć się nim w samotności.

Wiem, że to, co zrobiłem później, było niegodne uczonego i plamiło honor nie tylko mój, ale też całej akademickiej braci, której byłem przedstawicielem. Lecz muszę opisać ten wstydlivy epizod, gdyż postanowiłem opowiedzieć swoją historię na wyspie szczerze i bez przemilczeń. Otóż siedziałem w pubie starego Toby'ego, zamawiając kolejne piwo, i nie wiedzieć kiedy uświadomiłem sobie, że jestem pijany. Taki wstyd! Ale właściciel lokalu, człowiek dobry i poczciwy, zaraz poprosił jednego ze swych znajomych, by mnie odprowadził do domu. Ów silny rybak z trudem wtaszczył mnie na piętro po wąskich

schodach pani Magee. Moja gospodyni stała w progu i ze zrozumieniem oraz współczuciem patrzyła na ten nieszczęsny przemarsz. A ja padłem w ubraniu na łóżko, nie ściągając nawet kaszkietu, i zasnąłem.

Tak wyglądał mój chrzest na prawdziwego Finnegańczyka. Może nie mogło mnie to ominąć? Nieznane są meandry, którymi płyną podziemne rzeki inicjacyjnego rytuału.

## O nocy ciemnej

Obudziłem się w środku nocy, lepki i zmarznięty. Czułem, że mój mózg napęczniał i ledwo mieści się w czaszce; wszystko bolało przy każdym ruchu. Zażyłem aspirynę i wapno, te niezawodne sojuszniczki człowieka cierpiącego, i próbowałem usnąć. Do rana pozostało jeszcze wiele godzin, ale mnie los kazał spędzić je na czuwaniu. Sen nie nadchodził, za to pokój na poddaszu domu pani Magee wypełnił się demonami. W tamtych długich godzinach, które kapały wolno jak smoła, czekałem świtu jak wybawienia. Najczarniejsze myśli znalazły dostęp do mego umysłu, osłabionego kolejnymi pintami guinnessa.

Powróciły wątpliwości, które siłą woli upychałem dotychczas w mrocznych i nieodwiedzanych zakamarkach jaźni. Jednak w tamtych ponurych chwilach samotności wyobrażałem sobie, że może świat wygląda zupełnie inaczej, niż mi się jawi. Może finnegańscy akademicy wcale nie dopuścili mnie do swego kręgu, uznając za niegodnego takiego wyróżnienia? Może byli tylko mili na zewnątrz, a głęboko w sercu skrywali pogardę? Może przybycie do St. Brendan nie było wybawieniem, ucieczką przed acedią pożerającą Starą Europę, tylko osunięciem się w pułapkę, której grozy jeszcze nie dostrzegałem?

Wyobrażałem sobie siebie jako więźnia Finneganów, odtrąconego przez uczonych i prostych ludzi. Na nic zda się kaszkiet, na nic tweedowa marynarka, którą zamierzałem kupić! Nigdy nie uznają mnie za swego, będę zawsze obcy. Wyobrażałem sobie siebie chodzącego po pustej wyspie, na której zamykają się przede mną wszystkie drzwi i okna, a wieść o moim upojeniu dotarła już wszędzie, kalając moje dobre imię. Wyobrażałem sobie pustą salę wykładową, do której przychodzę, czekając na studentów, ale oni nie nadchodzą. Wyobrażałem sobie wreszcie te morderczo długie i niemożliwe do zniesienia cotygodniowe spotkania u dziekana, podczas których wszyscy patrzą na mnie jak na trędowatego, a potem te rytualne obiady w Brendan's Toe, podczas których staję się obiektem wyrafinowanych drwin, z których nawet nie zdaję sobie sprawy.

Później przyszły myśli jeszcze czarniejsze. O ile bowiem w imię nauki mogłem znieść upokorzenie ze strony innych, o tyle ponad moje siły było stanąć przed samym sobą w prawdzie o własnej nędzy. Myślałem zatem, że mój projekt badawczy, tak wychuchana i ukochana monografia, jest nic niewarta. Że nikogo nie interesuje Filip Włócznik i jego proza, nikogo nie interesuje moja rewolucyjna interpretacja jego twórczości. I nagle to dzieło mojego życia, *opus magnum*, po którym zamierzałem osiąść na miłej mieliźnie akademickiego uznania, stawało się niewarte funta kłaków.

Demony atakowały, dręczyły fizycznie i psychicznie. Mój duch był w strzępach, o dach bębnił smutny deszcz, a świt nie nadchodził.

Nie znaczyłem nic, jak kłaczek owczej wełny na wietrze, jak kamyczek splugawiony odchodami tępego maskonura. Byłem nikim. Zwijałem się w kłębek na łóżku i cicho płakałem. Świt złośliwie nie nadchodził, jakby czekał za horyzontem na moją



śmierć.

Aby pokonać trwogę, broniłem się jedynym orężem, jakie mi pozostało. Siadłem przed bladym ekranem laptopa i pożałem się nowo utworzonemu plikowi. Powyższe słowa są zapisem tamtej nocy.

## O przebudzeniu

Ranek przyniósł spokój i ukojenie. Był to jeden z nielicznych słonecznych dni mojego pobytu, dlatego nic o nim nie napiszę, gdyż nie mieści się on w ramach, jakie symbolicznie określa tytuł tych wspomnień. Dość powiedzieć – założmy, że wydarzyło się to, zanim rozsunałem ciężkie kotary – że nie pozostał we mnie nawet cień nocnej trwogi. Jakież byłem głupi, rojąc sobie to wszystko!

Winę ponosiło nadużywanie alkoholu, którego solennie postanowiłem się wyrzec. Ze zdumieniem czytałem powstałą przed kilkoma godzinami relację, patrząc na swoje własne słowa jak na bełkot szaleńca. Ja wykluczony ze wspólnoty uczonych? Ja porzucony przez studentów? Dobrze sobie! Filip Włóczykiew niewart badania? Przecież wszyscy „hołd by mu oddali, ale przegrzebki jedli”! Przypomniałem sobie pyszną frazę odnanioną w bibliotece i zaśmiałem się szczerze, po raz pierwszy od wielu dni. Troski odeszły. Zamknąłem komputer i pogwizdując *Rocky Road to Dublin*, zszedłem na spóźnione śniadanie.

Uściskałem zdziwioną panią Magee i rzuciłem się wygłodniały na czarny pudding. Byłem Finnegańczykiem i żadne demony nie mogły mi tego odebrać. Nawet śniadanie mej zacnej gospodyni smakowało wybornie.

## O życiu uporządkowanym

Uważny czytelnik tych wspomnień, jeśli tylko dotarł do tego miejsca, zapewne zauważył, że moje szeroko anonsowane plany uregulowanego życia, które zamierzałem podjąć w Newport, nie do końca się powiodły. Odczuwam niejaki dyskomfort z powodu przekłamania, które wkradło się w tę opowieść. Przedstawiłem bowiem swój ambitny plan dnia nie jako pewien postulat, lecz gotowy projekt. Ale prawda musi zwyciężyć i moje pobożne życzenie, by choć w opowieści wypaść lepiej niż w rzeczywistości, nie może zostać spełnione.

Powiem otwarcie: nie podołałem, i choć nadal starałem się robić przysiady i pompki, to regularność nie gościła w moim życiu częściej niż słońce na Finneganach. Przykładem ostatecznym niech będzie mój politowania godny występki alkoholowy opisany powyżej. I tak, niestety, miało już pozostać do końca. Wstawałem o różnych porach, o różnych kładłem się spać, pracowałem nieregularnie, choć do studiów nad twórczością Filipa Włócznika przykładałem się sumiennie.

Znów słaba materia i słaby duch zwyciężyły nad siłą intelektu. Nie wszystko, co pomyśli głowa, daje się przekuć w czyn. O tej prawdzie przekonał się zapewne każdy, kto przekroczył próg dojrzałości. Ja, stojąc ze wszystkimi swoimi czterdziestoma latami na progu starości, wiem o tym najlepiej.

Jednak dygresja ta nie pojawia się w tych wspomnieniach po to, by zanudzać czytelnika rozważaniami o moim życiu wewnętrznym. Zbyt wiele takich narracji zna polska proza współczesna i nie zamierzam podążać za jej przykładem, błędząc tym samym na manowce prawdziwej literatury. Jeśli wspominał o tym, to tylko po to, by ogłosić, że wraz z zamiarem wprowadzenia regularnego rozkładu dnia runął plan diarystycznego niemal katalogowania przeżytych na wyspie chwil. Nadal wprawdzie będę korzystał z mego „dzienniczka pokładowego”, tego nieocenionego wspomóżyciela kulejącej pamięci. Ale zrywam z regułą szczegółowego opisywania zdarzeń z każdego dnia.

Początek mego pobytu charakteryzował się intensywnością wrażeń i wydarzeń, wszystko było nowe i warte opisu. Jeśli jednak pierwszy spacer do portu można uznać za godny wzmianki, to cóż powiedzieć o kolejnych spacerach – a było ich podczas mego pobytu przecież kilkadziesiąt. Monotonia dnia codziennego wkradła się i w moje życie. Z jednej strony jest to smutne, z drugiej jednak krzepiące. Albowiem w chwili, gdy uświadomiłem sobie, że nie znajduję w Newport rzeczy ciekawych i wartych opisu, poczułem się jak w domu. Przecież dom jest miejscem, które nie zaskakuje nas na każdym kroku, lecz koi swą powtarzalnością i monotonią. Kiedy to zrozumiałem, przestałem być turystą i stałem się prawdziwym Finnegańczykiem.

Od momentu tego odkrycia zmienić się musi również rytm tej opowieści. Będę się wprawdzie starał zachować chronologiczną strukturę historii – choć rączy umysł chętnie podąża za dygresjami, które nie znają granic czasu – jednak odejdę od omawiania wydarzeń każdego dnia. Nie zasługują na to ani te dni, ani tym bardziej czytelnicy, gotowi

wytrwać w dalszej lekturze.

Decyzja ta, radykalna i zapewne dla wielu kontrowersyjna, przyniosła mi ulgę. Wiem, że literacka racja jest po mojej stronie.

## O sile śmiechu

W drugim tygodniu mego pobytu na Finneganach czułem się już niemal jak miejscowy. Społeczność akademicka, choć składała się z jednostek, które przewyższały mnie pod każdym względem, przyjęła mnie ciepło do swego grona. Byłem dumny, że swoją szczerą i przemyślaną przemową podczas pierwszej rady u dziekana zdołałem ich do siebie przekonać. Poczuli, że jestem jednym z nich, że razem możemy wiele zrobić. Zamierzałem pójść dalej w tym kierunku i w moim umyśle dojrzał śmiały plan.

Po drugiej radzie u dziekana poszliśmy, jak nakazała tradycja, na obiad do Brendan's Toe. Przy jedzeniu żartom nie było końca, porwała nas zwłaszcza intelektualna zabawa w cytaty ze znanych dzieł. Zaśmiewając się nad krabami faszerowanymi morskazukiem, prześcigaliśmy się w kolejnych przywołaniach, z każdą kolejką potwierdzając swoją erudycję i duchową przynależność do zachodniej cywilizacji.

Członkowie (*fellows*) St. Brendan byli dowcipni i błyskotliwi. Zналиśmy się już na tyle, że mogliśmy sobie pozwolić na drobne żarty z siebie nawzajem. Kiedy więc wzięty francuski socjolog, Jean-Étienne Balzavour, wstał pomiędzy przystawką a daniem głównym i dokonał życzliwej, przeżabawnej parodii mej mowy z zeszłego tygodnia, byłem pierwszym, który bił brawo i zanosił się od śmiechu. Od razu odkryłem drugie dno żartu pocziwego Balzavoura. Nie chodziło bynajmniej o szydzenie z mojej osoby, lecz pokazanie, jak śmieszni jesteśmy – ja i moi przyjaciele z Finneganów – w oczach dekadentycznej Europy. Dlatego poczułem nie tylko radość, którą zawsze wzbudza we mnie dobry dowcip, ale też wzruszenie. Jak bardzo samotni i niezrozumiani przez świat byliśmy my, akademicy z St. Brendan! Jak długa była droga przed nami, jak wiele będziemy musieli wycierpieć, zanim przywrócimy Staremu Kontynentowi jego zagubione dziedzictwo!

Dobrze, że mieliśmy tego świadomość, gdyż nadmierny optymizm – w który mogliśmy popaść, karmiąc się iluzją, że wszyscy są tacy jak my – mógł nam tylko zaszkodzić. Pocziwy Balzavour swoją udatną parodią nam to przypomniał. Nie zepsuło to jednak nastroju tamtego dnia. Wręcz przeciwnie, podniesieni na duchu krotocwilą, poczuliśmy się mocniejsi niż zwykle.

## O cieknącej rurze

Kiedy zaczęliśmy się rozchodzić do domu, podeszła do mnie Sadhbh O'Sullivan i wzięła mnie pod rękę.

– Jak noga? – zapytałem ostrożnie.

– Jaka noga? – Płomiennowłosa Irlandka udała zdziwienie.

Dzielna kobieta! Uznałem za stosowne nie przypominać jej o niegdysiejszej ułomności. Tak bardzo chciała być silna, tak bardzo nie chciała litości ta, która tyle złego doświadczyła, prześladowana za walkę o wolność badań naukowych. To musiało ją zahartować, wyrobić w niej przekonanie, że nie może się przyznać do najmniejszej nawet słabości. Podziwiałem ją.

– Cieknie mi z rury – wyznała, kiedy oddaliliśmy się od reszty towarzystwa. – W kuchni. A ponieważ wiele dobrego słyszałam o polskich hydraulikach, dlatego pozwalałam sobie prosić cię o pomoc.

Ucieszyłem się, gdyż w tej dziedzinie miałem niejaki doświadczenie. Jeszcze podczas studiów i przez pierwsze trudne lata pracy na uczelni w każde wakacje wyjeżdżałem na miesiąc do Szwecji, gdzie podejmowałem się rozmaitych zajęć, głównie zajmując się drobnymi pracami remontowymi. Wymieniłem tyle rur i rozkręciłem tyle kolanek, że mógłbym się z hydrauliki doktoryzować. Tak też zażartowałem w ramach odpowiedzi, co Sadhbh przyjęła salwą szczerego, perlistego śmiechu.

– A zatem zapraszam do siebie, to po drodze.

Ruszyliśmy w górę Main Street, by po chwili skręcić w Slam Row, wąską uliczkę, która kończyła się domem profesor O'Sullivan. W przeciwieństwie do większości z nas, wynajmujących pokoje u mieszkańców Newport, irlandzka uczona miała do dyspozycji cały dom, który należał do jej przyjaciół z Dublina. Kupili oni przed laty na Finneganach letnią willę, w sam raz by odpocząć od zgiełku wielkiego miasta i napawać się pustką. Przyjeżdżali tu w letnie miesiące, ciesząc się morzem, pięknem groźnej natury i lokalnym jedzeniem. Tu pisali kolejne rozprawy i monografie, należeli bowiem do tej samej wspólnoty co my: wielkiej rodziny uczonych, tych wędrowców bez domu, służebników prawdy.

Kiedy więc dowiedzieli się, że Sadhbh przyjęła zaproszenie St. Brendan, z radością oddali jej klucze, żartobliwie prosząc o opiekę nad kwiatami doniczkowymi. Mądra Irlandka dzieliła się zaś tym dobrem i kamienna budowla na końcu Slam Row niejednokrotnie była świadkiem całonocnych spotkań naukowych naszej akademickiej braci.

Sadhbh od razu zaprowadziła mnie do kuchni, przyniosła skrzynkę z narzędziami i pokazała, w czym problem. Pod zlewem stała blaszana miednica, do której smętnie kapała brudna woda. Zdjąłem marynarkę, zakasałem rękawy i wnet zdiagnozowałem sytuację. Ileż razy miałem do czynienia z tą samą usterką! Wstałem i dokładnie objaśniłem gospodyni, w czym rzecz. Otóż bateria w zlewie obluzowała się od częstego przesuwania

kranu z jednej komory do drugiej. To częste uszkodzenie, wynikające głównie z delikatnej konstrukcji stalowych zlewozmywaków, które o wiele gorzej niż ceramiczne utrzymują stabilność baterii. Ciągłe kręcenie kranem – który w normalnych warunkach powinien trwać nieruchomo – doprowadziło do obluzowania się dopływu zimnej wody, stąd kapanie. Brudny kolor wyciekającej wody miał swoją przyczynę w rdzewiejących rurach i tu niewiele mogłem zrobić; zaleciłem tylko Sadhbh zainstalowanie filtra przy głównym zaworze. Wyciek potrafiłem jednak usunąć, więc ochocho podjąłem się zadania.

Naprawa była prosta, choć wymagała pewnej zręczności, gdyż głębokie komory zlewu skutecznie utrudniały dostęp do miejsca wycieku. Manewrowanie kluczem, którym musiałem dokręcić obluzowany zawór, wymagało nie lada zręczności. Na szczęście na miejscu był ten, który musiał pokonywać w życiu nie takie trudności.

Zrobiłem sobie miejsce w szafce pod zlewem, Sadhbh bez pytania przyniosła koc, na którym mogłem się położyć, nie brudząc koszuli. W przedpokoju znalazłem przenośną lampę, którą ustawiłem na podłodze, aby oświetlała pole operacyjne. Wprawnie wybrałem numer klucza, zakręciłem zawór wody i zabrałem się do roboty. Gospodyni zniknęła w głębi domu, co uznałem za bardzo roztropne zachowanie. Większość fachowców nie lubi, kiedy im się patrzy na ręce. W tej robocie zdarzają się drobne niepowodzenia, które sprawny rzemieślnik potrafi zaraz przekuć w sukces. Jednak stała obserwacja zleceniodawcy nie pomaga.

Na szczęście w tym przypadku obyło się bez powikłań i szybko doprowadziłem rzecz do końca. Kiedy zamierzałem się podnieść i opuścić ciasne wnętrze szafki, zauważyłem, że nade mną stoi Sadhbh O'Sullivan. Wykorzystując czas, który zabrała mi naprawa, zdjęła ubranie i odziała się w wygodniejszy strój. Był nim frotowy szlafrok. Teraz stała nade mną i kołysała się lekko, nucąc coś po gaelicku, którego to języka nie rozumiałem, znając zaledwie kilkadziesiąt najbardziej znanych cytatów, ale zawsze porywał mnie jego śpiewny ton.

Nagle zmartwiałem. Zamknąłem oczy i otwarłem je ponownie, ale to, co zobaczyłem, nie było przywidzeniem. Nie miałem co do tego żadnych wątpliwości, gdyż lampa, która pomagała mi w pracy, dawała światło jasne, nadto padające od dołu. Spojrzałem raz jeszcze, uważnie, wolno wspinając się wzrokiem po masywnych kolumnach doryckich kobiecych ud. W półmroku szlafroka, gdzie kapitele kolumn spotykały się, iskrzyła się odsłonięta kępa złotego irlandzkiego runa.

Nie muszę tłumaczyć, że poczułem się niezręcznie. Biedna Sadhbh, uwalniając się w łazience od oficjalnego stroju, nie miała przecież świadomości, że ujawni mi coś, co chciałaby za wszelką cenę ukryć. Nie mogłem się dłużej wpatrywać, podglądanie kobiet wbrew ich woli uważam za moralnie nikczemne. Nie wiedziałem jednak, jak taktownie zasugerować mojej gospodyni, żeby ubrała coś innego lub przynajmniej mocniej ściągnęła poły szlafroka, nie zdradzając zarazem, że zobaczyłem zbyt wiele. Byłem w pułapce. Co robić?

Nagle, gdyż wszystko trwało kilka sekund, w mej głowie zakiełkował plan: odciągnąć ją podstępem, chytrym fortem. Wtedy uwolnię się z mej niewygodnej pozycji

i cała kłopotliwa sytuacja zniknie. Poprosiłem więc z wnętrza szafki pod zlewozmywakiem:

– Sadhbh...

– Tak? – odpowiedziała, kucając nade mną. Poły szlafroka rozchyliły się jeszcze bardziej, ogniste runo musnęło moją nogę.

– Potrzebuję kłębek pakuł – poprosiłem – do uszczelnienia. Możesz mi coś takiego znaleźć?

– Poszukam – powiedziała.

Wstała wolno i odeszła do innego pokoju. Szybko poderwałem się, wymyłem ręce w zlewie, po czym ubrałem marynarkę i wycofałem się do przedpokoju.

– I po kłopotcie – powiedziałem niezręcznie, kiedy wróciła z kawałkiem konopnego sznurka.

– Już nie ma potrzeby.

Uśmiechnąłem się przepraszająco. Profesor O’Sullivan stała jakby zawiedziona, że jej wysiłek poszukiwań poszedł na marne. Musiała myszkować po różnych miejscach w tym wielkim jak na Finnegany domu, gdyż szlafrok rozsunał się jeszcze bardziej. Zauważyłem, że jej ciężkie piersi są dużo niżej, niż to zapamiętałem z okazjonalnych spotkań na uczelni.

– Muszę już iść.

– Ale pada.

– Tu zawsze pada, naprawdę muszę – powiedziałem niezdarnie i szybko uciekłem na ulicę.

Stała w progu, zdziwiona, po czym pomachała mi i zamknęła za sobą drzwi. Odetchnąłem z ulgą. Udało mi się wybrnąć z sytuacji, zachowując honor polskiego akademika. Byłem o krok od katastrofy, przecież jeszcze chwila, a ta inteligentna kobieta domyśliłaby się, ile zobaczyłem. Zapewne potraktowałyby mnie jako znakomity przykład do swego wykładu o pochodzie penisa przez dzieje: męskiego szowinistę, który traktuje kobiety wyłącznie jak obiekty seksualne. A gdyby uznała, że w nagrodę za drobną pomoc domową oczekuję erotycznej rekompensaty... Nawet nie chciałem o tym myśleć!

Postawiłem kołnierz marynarki i w deszczu dobiegłem do domu pani Magee. Tego wieczoru nie odwiedziłem pubu starego Toby’ego, tylko długo pracowałem nad swoim projektem. Miałem nadzieję, że w swoim wielkim domu Sadhbh O’Sullivan nie podejrzewa nawet, co się naprawdę wydarzyło.



## O *Siedmiu nocach bez świtu*

Praca oczyszcza, praca uszlachetnia, praca uzdrawia – wszystkie te złote dewizy towarzyszyły mi, kiedy tamtego wieczoru chciałem zapomnieć o tym, co wydarzyło się w domu profesor O’Sullivan. Zatracić się w wysiłku umysłowym, tego mi było trzeba! Wziąłem więc z półki jedną z powieści Filipa Włócznika i zanurzyłem się w lekturze.

Mój wybór nie przypadkiem padł na *Siedem nocy bez świtu*. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności była to książka, od której nie tylko na najbliższym wykładzie zamierzałem zainicjować przygodę moich studentów z twórczością polskiego fantasty, ale zarazem tekst, w którym wątek erotyczny został ledwie zarysowany kilkoma wielce subtelnymi muśnięciami. Jeden z recenzentów zauważył słusznie, że jest to najbardziej „wyprana z erotyki” powieść tego prozaika. Tego mi było trzeba.

Najpierw bez wytchnienia przeczytałem pierwszy rozdział. Znałem już tekst dobrze i moje oczy z rozkoszą ślizgały się po ukochanych frazach. Potem jednak zszedłem do kuchni przygotować sobie herbatę, by wesprzeć nieco opadające powieki. Wyposażony w filiżankę wonnego naparu, wróciłem do lektury. Proza Włócznika jak zawsze mnie zachwycała.

Powieść rozgrywa się w korytarzach krakowskiego metra. Bohaterowie wędrują zamkniętymi liniami pochodzącymi z XIX wieku, śpią na stacjach od dekad nieczynnych. Polski fantastą wspina się na wyżyny sztuki, kiedy opisuje wspaniałe secesyjne zdobienia stacji „Ratusz”, projektowane przez Stanisława Wyspiańskiego. Obraz staje przed czytelnikiem jak żywy; widzimy ażurowe łuki i podpory, podobne pniom drzew kolumny oraz wspaniałą, choć nadwerżoną przez przemijający czas ceramikę, która zmienia perony w kwitnącą łąkę. W tym wielkim podziemnym labiryncie kryje się całe modernistyczne imaginarium polskości, pochody spiżowych królów, pasażerów z sarkofagami. Kolejne linie schodzą coraz głębiej, poniżej poziomu Wisły, dawne trasy pociągów prowadzą do podziemnych hal i komnat. Metro krakowskie łączy się ze sztolniami Wieliczki, bohaterowie wielokrotnie gubią się i odnajdują, a ich dzielna drużyna przeżywa chwile smutku i radości.

Osią fabularną jest misja ocalenia miasta. Oto z trzewi Ziemi w XX wieku zaczynają docierać do krakowian złowrogie pomruki. Rajcy miejscy zwołują sztab kryzysowy, który dochodzi do wniosku, że w głębinach przebudziła się bestia. Dla wielu baśń o smoku wawelskim to tylko legenda. Ale nie dla Filipa Włócznika! Z mitologicznych nici tką mieniący się tysiącem barw kobierzec swej opowieści, która wciąga czytelnika bez reszty. Rada Miasta zwołuje drużynę śmiałków, których zadaniem jest odnalezienie i pokonanie przedwiecznego smoka.

Przez sześć dni nasi dzielni bohaterowie przemierzają się w ciemnych korytarzach, zdani tylko na własną intuicję i zbiór krakowskich legend (który zresztą gubią już trzeciego dnia). Co jakiś czas słyszą pomruki i eksplozje, świat trzęsie się w posadach. Ale nie poddają się!

Wreszcie ostatniego dnia – który dla nich jest jedną długą nocą – docierają do przyczyny chtonicznych odgłosów. I kiedy już gotują się do rozprawy z poczwarą, oczom ich ukazuje się wychodzący zza zakrętu oddział sędziwych partyzantów. Są to weterani z czasów drugiej wojny światowej, starszaki, którzy nie złożyli broni, tylko nadal prowadzą dywersję i śnią o wolnej Polsce. To oni przeprowadzili w ostatnich tygodniach serię wybuchów, detonując część ładunków pozostawionych jeszcze przez Armię Czerwoną pod wodzą marszałka Koniewa. Dlaczego to robią – odsyłam zainteresowanych wprost do powieści. Dość powiedzieć, że powód jest ważny – nie tylko polityczny, ale przede wszystkim metafizyczny.

Bohaterowie przekazują partyzantom wieści, że właśnie na powierzchni ziemi padł komunizm. Jest wzruszenie i płacz starych bojowników. Na wpół ślepi, niedołęźni, prowadzeni przez niedoszłych smokobójców, wychodzą na powierzchnię. Kraków fetuje akurat zaprzysiężenie rządu Tadeusza Mazowieckiego. Po nocach bez świtu nastaje dzień. Są łzy, jest scena zbiorowego ocalenia, jest wielka literatura.

Uważny czytelnik zapewne nabierze pewnych podejrzeń względem oryginalności pomysłu. Ale o żadnej wtórności nie może być mowy! Warto bowiem dodać, że Włóczykiew wydał swoją powieść w roku 1991 – sam dysponuję właśnie tym wydaniem – na fali przemian w Polsce, a więc cztery lata przed premierą znanego w świecie obrazu Emira Kusturicy.

Czytałem do świtu, herbata dawno się skończyła. Jednak mimo całego mego zaangażowania, mimo literackiej doskonałości prozy Włóczykiwa, nie udało mi się sprawić, bym zapomniał o tym, co ujrzałem wcześniej w domu profesor Sadhbh O'Sullivan. Kiedy tylko zamykałem oczy, ów obraz uporczywie powracał.

## O strażnikach wielkiego ducha

Długo nie mogło dojść do drugiej rozmowy pomiędzy mną a Lwem Michajłowiczem Protopopowem. Kiedy ochłonałem już po pierwszym spotkaniu, szczęśliwy, że wielki uczony mnie nie odrzucił, tylko potraktował jak równego sobie, zacząłem szukać okazji, by znów zbliżyć się do rosyjskiego humanisty. Niestety, w Newport rzadko widywało się go samego. Najczęściej spacerował w towarzystwie, co wielce komplikowało moje zamiary.

Marzyłem, by znaleźć się z nim sam na sam i móc porozmawiać szczerze i bez ograniczeń o sprawach ducha. Wiedziałem bowiem, że kiedy tylko dostanę okazję, by przeprowadzić dłuższą konwersację, Protopopow nie tylko przekona się o moim oddaniu, ale też dojrzy we mnie godnego partnera do dyskusji. A od tego – kto wie – może szybko uda nam się przejść do owej wspaniałej zażyłości dwóch intelektów, którą potocznie nazywa się przyjaźnią? O niczym innym bardziej wówczas nie marzyłem.

Obserwowałem go bowiem bacznie, wykorzystując swoje wolne chwile, i ze zdumieniem stwierdziłem, że w swym najbliższym otoczeniu nie znalazł on godnego rozmówcy. Najczęściej towarzyszyła mu Jadranka Vidović, która w latach jego starości była mu jak córka, czy raczej wnuczka. Bardzo szanowałem to poświęcenie dla tego patriarchy europejskiej humanistyki. I jednocześnie skrycie Jadrance zazdrościłem, gdyż dzięki swemu zaangażowaniu mogła przebywać z mistrzem przez długie godziny.

Jednak, co odkryłem z niejakim zaskoczeniem, para ta rzadko rozmawiała. Spacerowali w milczeniu albo siadywali w pubie starego Toby'ego i trwali tam bez słowa. Czasem wymieniali jakieś uwagi, lecz rzadko dotyczyły one nauki, co mogłem podsłuchać, starając się zawsze być jak najbliżej. Nie potrafiłem tego zrozumieć, gdyż dla mnie takie milczenie było marnotrawieniem cennego czasu (któż mógł wiedzieć, ile dni życia zostało jeszcze wielkiemu uczonemu?). Ileż Jadranka mogła się dowiedzieć, ileż skorzystać z niezgłębionej studni mądrości, którą był Protopopow! Tymczasem ona milczała, zagadując tylko o błahe, codzienne sprawy.

Drugą osobą, którą często widywałem obok Lwa Michajłowicza, był doktor Haggis, jego sekretarz. Rzecz jasna nie było mnie przy nich, kiedy rozmawiali w zaciszu gabinetu, gdzie być może toczyli ożywione dyskusje. Ale w miejscach publicznych ich relacje również nie wskazywały na żadną głębszą więź intelektualną. Muszę nawet przyznać, że funkcja Haggisa miała charakter bliższy roli lokaja niż naukowego sekretarza. Podawał Protopopowowi płaszcz i kaszkiet, służył parasolem w deszczowe dni, zamawiał kolejne piwa przy barze i dolewał whiskey podczas spotkań u dziekana. Dyskretny, wycofany i milczący sługa, który wyręcza swego pana w codziennych zajęciach. Patrząc na nich, znów miałem poczucie zmarnowanej okazji. Albowiem grzech zaniechania jest w nauce być może grzechem najpoważniejszym. Obciąża sumienia uczonych i adeptów nauki nawet bardziej, ośmielę się stwierdzić, niż pycha – owa *hybris*, bez której nie ma postępu w nauce. Chcieć więcej, sięgać dalej, przekraczać granice, które inni mają za

nieprzekraczalne – oto powinność uczonego!

Tymczasem tych dwoje postanowiło zawłaszczyć Lwa Michajłowicza, odgrodzić go od świata. Dwoje strażników wielkiego ducha, którzy nie wiedzą, jakie moce starają się pętać. Kamerdynerzy historii!

Widząc to wszystko, tym bardziej czułem się zobowiązany, by wkraść się do grona osób najbliższych Lwowi Michajłowiczowi na tych odludnych Finneganach.

## O medycynie ludowej

Długo czekałem na swoją okazję. Na szczęście Newport jest niewielką osadą i moje pojawianie się w pobliżu Lwa Michajłowicza nie uchodziło za podejrzane. Nikt przy zdrowych zmysłach nie mógł mi zarzucić, że narzucam się albo śledzę wielkiego uczonego. Bywaliśmy w jednym pubie – ale przecież niemal wszyscy tam bywali! Mijaliśmy się w porcie – ale przecież po porcie spacerowało wielu! Pozdrawialiśmy się na uniwersyteckich korytarzach – ale przecież obydwaj byliśmy członkami (*fellows*) St. Brendan! Nie można mi było nic zarzucić.

Pewnego wieczoru, w jakieś dwa tygodnie po naszej pierwszej konwersacji, nadarzyła się sposobna okazja. Lew Michajłowicz siedział w swoim fotelu przy kominku, naprzeciwko niego spoczął wierny i cichy doktor Haggis, a w cieniu stałem ja, dyskretnie oparty o ścianę. W pubie starego Toby’ego robiło się coraz luźniej, miejscowi dopijali ostatnie piwa i zbierali się do wyjścia. Wstał też doktor Haggis, nasza szara eminencja, i podjął Lwa Michajłowicza pod ramię, aby pomóc mu wstać.

Aż mną zatrzęśło! Bezczelny typ, jak mógł tak grubiańsko narzucać się wielkiemu humaniście! Tylko sam Lew Michajłowicz może decydować, kiedy pora iść do domu. Na szczęście Protopopow uwolnił się z uchwytu i rozkazał swemu kamerdynerowi, aby ten przyniósł kolejnego guinnessa. Jakże upokorzony był ten farbowany doktor, a ja nie kryłem satysfakcji, że stałem się świadkiem tego upokorzenia.

– Haggis, mój drogi – odezwałem się głośno, by wszyscy mnie słyszeli – nigdy nie zrozumiesz, co siedzi w słowiańskiej duszy. Kiedy my, Słowianie, chcemy pić, to nikt nam tego nie może zabronić.

Haggis obrzucił mnie lodowatym spojrzeniem, przyniósł swemu panu szklanekę pianistego nektaru, po czym pożegnał się chłodno i wyszedł w noc. Oczywiście od razu skorzystałem z okazji i zanim wgłębienie w siedzisku fotela wróciło do dawnego kształtu, już zająłem miejsce po upokorzonym sekretarzu. Przepiłem do Protopopowa i uśmiechnąłem się z satysfakcją.

– Czasem dobrze spędzić wieczór w towarzystwie kogoś, kto człowieka rozumie.

– Zapewne – odparł Lew Michajłowicz.

Rozmawialiśmy po polsku. Świat wokół nas przestał istnieć, miejscowi rybacy rozdziawili gęby, gdyż żaden nie rozumiał ani słowa. Jakbyśmy w pubie starego Toby’ego byli tylko my dwaj.

– Zawsze mnie nurtował pewien aspekt waszej teorii, mistrzu – zacząłem.

– Guinness dziś przedni – odparł skromnie Protopopow.

– Twierdzicie, że popkultura jest rezultatem starcia kultury wysokiej i kultury niskiej, dialektyczną syntezą tego, co wzniosłe, i tego, co pospolite...

Przyznaję, że pierwsze słowa więzły mi w gardle, mimo swobodnego tonu, jaki starałem się przybrać. Lew Michajłowicz Protopopow patrzył na mnie w skupieniu, a ja kontynuowałem. Kiedy skończyłem, zapadła chwila ciszy. Wspaniale było widzieć tego

wielkiego humanistę w akcji! Milczał, gładząc długą brodę, szukał odpowiednich słów i argumentów. Podziwiałem jego powściągliwość, tak często nieznaną nam, młodym. Mimo swej wielkości nie odpowiadał od razu, tylko ważył słowa, poważnie zastanawiał się nad moimi pytaniami.

Poczułem wtedy przez chwilę, że stoimy po dwóch stronach przepaści, a pomiędzy nami nie ma żadnego mostu. Lew Michajłowicz jest po stronie mądrości, a ja po stronie ignorancji. Ja próbuję przepaść przeskoczyć, a on wie, że mogę co najwyżej spaść na dno czeluści.

Na szczęście to przykre uczucie rozwiało się w chwili, gdy Protopopow przemówił:

– To bardzo interesujące.

– Dziękuję, mistrzu.

Znów chwila milczenia, ale wiedziałem, że po niej nastąpi odpowiedź.

– Widzicie, kolego, tego mężczyznę przy barze? – zapytał zniecierpliwiony Lew Michajłowicz.

Musiałem się odwrócić. Na wysokim stołku siedział miejscowy rybak w zużytej marynarce. Widywałem go już u starego Toby’ego. Skinąłem głową. Protopopow kontynuował.

– To Rory O’Neill. Jego żona przygotowuje znakomitą maść na wrastające paznokcie. Ponoć uzyskuje ją, gotując rybie kręgosłupy.

Słuchałem zafascynowany. Uczony mówił dalej:

– Jeśli kolega też cierpi na podobną przypadłość, to radzę skorzystać. Wyciąga ropę jak odkurzacz!

Lew Michajłowicz jednym haustem dopił piwo i wstał.

– Na mnie już czas, zrobiło się późno.

Zerwałem się, by przynieść mu płaszcz. Powstrzymał mnie jednak zdecydowanym gestem i powiedział władczo:

– Panie kolego, proszę siedzieć. Macie chyba dużo do przemyślenia.

Po czym ubrał się i wyszedł z pubu. Długo wpatrywałem się w zamknięte drzwi, ślad po jego obecności. Zawieszona na sznurku wysłużona tekturka z godzinami otwarcia lokalu kołysała się, uderzając o szybę.

Wielki humanista trafił w samo sedno: zaiste, miałem dużo do przemyślenia, a on zostawił mnie wspaniałomyślnie samego. Jeszcze nie zbudowałem mostu pomiędzy naszymi brzegami wąwozu. Ale już przerzuciłem pierwszą linę. Choć uczciwiej byłoby powiedzieć, że to Lew Michajłowicz mi ją podał. Ja tylko wiedziałem, że muszę ją uchwycić ze wszystkich sił. Czułem, że do następnej rozmowy stanę mądrzejszy i bardziej pokorny.

Zamiast długiego wywodu ten wielki uczony postanowił posłużyć się przykładem. Podczas gdy ja odpływałem w wysokie rejony czystej spekulacji, ten genialny umysł sprowadził mnie na ziemię. Maść robiona przez żonę Rory’ego O’Neilla, niskie zderza się z wysokim! Subtelny humanista, który korzysta z dobrodziejstw medycyny ludowej Finneganów. Wrastający paznokieć kluczem do zrozumienia genezy popkultury! Nigdy

wcześniej nie spotkałem intelektu tak żywego, twórczego i otwartego. Zaiste, brzeg przepaści, na którym stał Protopopow, czekając na mnie, był brzegiem mądrości.

Tej nocy opuściłem pub ostatni. Z zadumy wyrwał mnie stary Toby, który odstawił stołki na błądy, by spokojnie zamieść podłogę. Pożegnałem się z nim serdecznie i ruszyłem przed siebie. Wystarczyło przejść ulicę, by znaleźć się w pokoju, ale ja potrzebowałem spaceru. Wolnym krokiem ruszyłem w stronę portu, patrząc na gwiazdy, które z trudem przebijały się przez zawiesinę chmur. Szedłem sam, w milczeniu. I coraz lepiej rozumiałem milczenie Lwa Michajłowicza. Na brzegu, na którym się znajdował, słowa są niepotrzebne. Potrzebujemy ich my, stłoczeni po przeciwnej stronie przepaści.

## O drobnym nieporozumieniu

Przeczytałem uważnie powyższy fragment i ogarnęły mnie wątpliwości. Nie dotyczą one samej treści, gdyż znakomicie udało mi się nie tylko wiernie opowiedzieć przebieg całej sceny, ale też oddać jej subtelny, trudno uchwytny nastrój.

Uświadomiłem sobie jednak, że czytelnik mógłby omyłkowo zinterpretować całe to wydarzenie, podobnie jak i poprzednią moją rozmowę z Lwem Michajłowiczem. Dlatego chcę od razu wyjaśnić pewne nieporozumienie, żeby wszystko stało się oczywiste. Domyślam się, że dla niektórych tak drobiazgowy opis spotkań z Protopopowem może być dowodem na moją próżność: oto młody uczoney z Polski spotkał wielkiego profesora o międzynarodowej sławie i chce dać dobitnie do zrozumienia, że wielokrotnie rozmawiał z nim osobiście. Sugestia, bym chciał się ogrzewać w ciepłe wielkości Lwa Michajłowicza, jest mi obrzydliwa i rani mnie głęboko. Nie takie były moje intencje i nie po to w tej opowieści pojawiły się te dwie sceny (a będą jeszcze kolejne!). Ale żeby uniknąć nieporozumień, chcę od razu wyjaśnić, co mi przyświecało.

Chciałem jedynie pokazać pewien klimat tamtych dni, atmosferę intelektualnego fermentu i głębokich rozmów, jakie prowadziliśmy my, członkowie (*fellows*) St. Brendan College. Zaznaczam to, szczególnie dlatego że w dalszym ciągu tej historii pojawią się sugestie zgoła inne, które będą kłamliwie dezawuować naukowe znaczenie naszych spotkań i dyskusji. Żywię przy tym nadzieję, że czytelnik, kiedy na nie natrafi, będzie o tym uprzedzony i nie zacznie wyciągać pochopnych wniosków. I będzie uprzedzony nie tyle moimi zapewnieniami – bo czymże są czyjekolwiek zapewnienia! – ile rzetelnym opisem owych intelektualnych debat, do których dochodziło niejednego wieczoru w pubie u starego Toby'ego.



## O starym Tobym

Dyskretnie sugerowałem wyżej, że stary Toby McGraw zasługuje na osobną opowieść. Nie będzie ona długa, bo muszę wyznać, że nawet przez te sto dni nie udało mi się dotrzeć do duszy owego twardego Finnegańczyka, który dla każdego w pubie miał radosny uśmiech, ale po godzinach zmagał się z demonami, o jakich istnieniu nie mieliśmy pojęcia. Ale opowieść będzie, choć tyle mogę dla niego zrobić.

Pierwsze, co należy powiedzieć, to że stary Toby nie był stary. Może trudno go uznać za młodzieniaszka, ale nie wszedł jeszcze w ten mroczny wiek, kiedy plecy się garbią, twarz pokrywa drobna sieć zmarszczek, a policzki zaczynają się zapadać, zassane przez puste dziąsła. Nie, stary Toby miał lat czterdzieści. I jeśli nazywam go w swych wspomnieniach starym, to tylko z życzliwą ironią. Jest ona również naznaczona autoironią, gdyż stary Toby jest moim równolatkiem. Nasze narodziny dzieli ledwie jeden dzień! Gdy więc na Finneganach rodził się mały Toby, w odległym Krakowie moja matka zaczynała odczuwać pierwsze skurcze. Nazywając właściciela pubu starym, daję wyraz świadomości własnego przemijania.

Poza tym, co zapewne nie umknęło uwagi co bardziej wyrobionych czytelników, „stary Toby” jest oczywistą aluzją do pewnego dzieła literackiego. Aby nie zepsuć tej intertekstualnej zabawy przyciężkim dopowiedzeniem, zdradzę tylko, że przywołana tym subtelnym nawiązaniem powieść powstała również na jednej z Wysp Brytyjskich.

Drugie, o czym należy wspomnieć, to nazwa pubu. Uważny czytelnik zorientował się już chyba, że nie nazywam tego przytulnego lokalu inaczej niż pubem starego Toby’ego. Nie jest to jednak jego prawdziwa nazwa. Do tej pory powstrzymywałem się przed ujawnieniem jej, przeczuwając pewną niezręczność, którą to może spowodować. Otóż pub nosi dumne miano Pod Lwem. Stalowy szyld nad wejściem, który skrzypiąc, kołysze się na morskim wietrze, nie pozostawia złudzeń: w metalową ramę wpisane jest właśnie to potężne, afrykańskie zwierzę – król sawanny i patron tak wielu miast i państw naszego świata.

Jednak, muszę przyznać, kiedy chciałem za pierwszym razem mechanicznie wymienić tę nazwę, ręka mi zadrżała. Palce zatrzymały się nad klawiaturą i cofnęły się roztropnie. Dałem bowiem już poznać czytelnikowi ów pub jako miejsce, gdzie wieczorami przesiadywał wielki Lew Michajłowicz Protopopow. Mogłoby więc zrodzić się podejrzenie, że rosyjski uczyony wybrał lokal starego Toby’ego (nadal będę tak nazywał mego milczącego, finnegańskiego druha) z powodu podszytej pychą asocjacji nazwy i imienia. Wrażenie, które takie skojarzenie by wywołało, mogło być jedno: Protopopow jest przepełnionym pychą kabotyńcem.

Nie ma jednak nic dalszego od prawdy! Wszyscy, którzy uważnie czytali moje opowieści o tym wielkim uczonym, mogą potwierdzić, że jest on człowiekiem skromnym i skorym do marginalizowania swej osoby oraz roli, jaką odegrał w dziejach światowej humanistyki.

Dlatego po długim namyśle postanowiłem zataić prawdziwą nazwę pubu, mając wszelako plan, by ujawnić ją później w stosownym miejscu. Oto jakimi pokrętnymi drogami musi nieraz chadzać prawda: w obronie prawdy o skromnym Lwie Michajłowiczu musiałem posunąć się do drobnego kłamstewka. Czy kłamstwo może służyć prawdzie? Moralni radykałowie powiedzą, że nie. Królewiecki myśliciel nie znajdzie dla kłamstwa żadnego usprawiedliwienia. My jednak żyjemy w czasach, w których kłamstwo uratowało niejedno życie i niejedną duszę. Straciliśmy oczywiście wraz z tym odkryciem niewinność, ale zyskaliśmy też pewną dojrzałość. I tego nam nikt nie zabierze. Czyż zresztą kłamstwo tymczasowe, kłamstwo wypowiedane z zamiarem późniejszego sprostowania, może być nazywane kłamstwem? Odpowiedź na to pytanie pozostawiam wam, drodzy czytelnicy, którzy dzielnie wytrwaliście w lekturze aż do tego miejsca. Wasza cierpliwość, o poszukiwacze prawdy, została właśnie nagrodzona.

Tyle na razie o starym Tobym i sprawach z nim związanych. Może los pozwoli, stary finnegański druhu, bym opowiedział jeszcze o tobie, oddając ci sprawiedliwość, na jaką zasłużyłeś!

## O niespodziewanych odwiedzinach

Kilka dni po mojej drugiej rozmowie z Lwem Michajłowiczem siedziałem wieczorem w swoim pokoju pogrążony w pracy nad monografią. Prowadziłem niemy dialog z Filipem Włócznikiem, zadając pytania jego tekstom i próbując – choć przekraczało to przyjęte ramy metodologiczne – wyobrazić sobie tajemniczą postać autora. Geniusz, pustelnik, cichy zbawiciel polskiej prozy. Kim był? Czy go kiedykolwiek spotkałem? Może rozmawiałem z nim na jakiejś konferencji, nie wiedząc, że to on? Może chodził na moje wykłady albo brał udział w seminariach, na których prezentowałem zarys rodzącego się teraz dzieła?

A może nie wie on o moim istnieniu i nigdy się nie dowie? Ta hipoteza wydawała mi się najbardziej prawdopodobna. Filip Włócznik był ponad swoją recepcję, ponad to, co o nim piszą. Jego literatura dotykała szczytów, szedł, skacząc po górach, gdzie rozmawiał z nieśmiertelnymi i prawodawcami, podczas gdy nasze recenzje i omówienia to była prostacka mowa dolin. Nawet moja monografia, choć bezprecedensowa i pionierska, nawet ona nie zasługiwała na jego uwagę. Po cóż bowiem pisarzowi wiedzieć, że na nizinach, ślepi jak krety, próbujemy odkryć sensy, które on nosi w swej duszy?

Tak oto rozmawiałem z moim niemym partnerem, milczącym nauczycielem, który odpowiadał tylko przez swoje teksty. Czasem podniosłem tęskny wzrok znad klawiatury, by dostrzec zaparowane okna pubu starego Toby'ego, gdzie ludzie bawili się i pili piwo. Byli pewnie pomiędzy rybakami moi koledzy z St. Brendan, gdyż wielu z nich lubiło spędzać wieczory w tym miejscu. Szyld z lwem, teraz mogę już to powiedzieć, kołysał się na wietrze, a we mnie toczyła się walka, iść czy też zostać. W końcu krotochwila została pokonana i na dobre zanurzyłem się w pracy. Pisało mi się znakomicie, palce ledwo nadążały za chyżą myślą i kolejne ekrany zaczerniały się literkami. Aby nie utracić cennych spostrzeżeń i analiz, co chwilę zapisywałem plik i robiłem kopię zapasową. Byłem przygotowany na wszystko, gdyż mój stary, poczciwy laptop w każdej chwili mógł odejść do krainy, z której pliki już nie wracają.

Z takiej oto sytuacji wyrwało mnie pukanie do drzwi. Krzyknąłem więc do pani Magee, że może wejść, dokończyłem zdanie i odwróciłem się od okna.

W progu stała uśmiechnięta Sadhbh O'Sullivan.

– Mogę wejść? – zapytała.

Poderwałem się z krzesła, aby ją przywitać.

– Wybiegłeś tak nagle, nie wiedziałam, co się stało – zaczęła się tłumaczyć, kiedy zamknąłem drzwi i spróbowałem zrobić porządek na zawałonym książkami fotelu. – Pomyślałam, że czymś cię uraziłam, może źle odebrałeś uwagę o polskich hydraulikach? Jesteś przecież uczonym...

– Ależ Sadhbh! – zawołałem.

Gdyby tylko wiedziała! Jak miałem jej to wytłumaczyć? Przecież nie mogłem pod żadnym pozorem zdradzić prawdziwego powodu. Zmyślić coś na poczekaniu? Nagle

ośnienie.

– Czekałem na ważny telefon z kraju, a zostawiłem tutaj komórkę.

– A ja ci nawet nie podziękowałam... – powiedziała, rozpinając płaszcz.

Odebrałem go i wskazałem miejsce na fotelu. Sam usiadłem na krześle.

– Spisałeś się świetnie, nic mi już nie cieknie. Pakuły zachowałam na inną okazję. A teraz jako podziękowanie za przysługę przyniosłam to!

I z kieszeni płaszcza wyciągnęła starą, przykurzoną butelkę. Na moje zdziwione spojrzenie odpowiedziała opowieścią. W międzyczasie przyniosłem szklanki i wkrótce piliśmy najlepszą whiskey, jaką miałem kiedykolwiek w ustach.

## O najprzedniejszej whiskey

Piliśmy, a Sadhbh opowiadała.

W czasach amerykańskiej prohibicji Wyspy Brytyjskie nieoficjalnie wspierały zdelegalizowane spożycie i wielu prywatnych inwestorów eksportowało do USA setki skrzynek alkoholu. Niedaleko Finneganów wiodła trasa z portów szkockich i północnoirlandzkich, a ówcześni mieszkańcy nieraz widzieli całe konwoje jednostek handlowych ciągnących na zachód.

Jednego razu na Atlantyku w rejonie archipelagu szalał sztorm. Fale unosiły się na kilka metrów i woda w spokojnej zatoczce Newport była wzburzona jak rzadko. Tamtej nocy na Wielkim Finneganie nikt nie spał. Mieszkańcy, przestraszeni, siedzieli w swych domach i modlili się o rychły koniec gniewu oceanu. Nieliczni mieli odwagę stać w oknach i obserwować rozszalały żywioł. Właśnie ci najodważniejsi, oswojeni ze sztormami rybacy wypatrzyli w przesywanych błyskawicami ciemnościach szmuglerski statek, z trudem stawiający czoła wścieklej burzy. Widzieli, że jednostka przegrywa tę nierówną walkę, spychana coraz bardziej na skaliste wybrzeże. Przemysłowcy byli bezradni.

Wreszcie stało się nieuniknione. Statek trafił na sterzcące z dna kły, poszycie kadłuba poszło w drzazgi i jednostka zaczęła tonąć. Jednak w taką pogodę nikt nie śmiał wyprowadzać łodzi z portu, pomoc była niemożliwa. Nieliczni, którzy czuwali w oknach, patrzyli, jak ciężki statek idzie na dno z załogą i całym towarem. Katastrofa rozgrywała się na ich oczach, a oni nic nie mogli zrobić. To uczucie bezradności towarzyszyło im do kresu ich dni.

Nikt nie ocalał. Wielu pochłonęło morze, a ciała kilku marynarzy fale wyrzuciły na brzeg. Pochowano ich w Newport, a w kościele Świętego Piotra Rybaka umieszczono tablicę upamiętniającą tamtą tragedię. Kiedy emocje opadły i życie Finneganów wróciło na dawne tory, na plebanii zebrali się przedstawiciele najstarszych rodów na wyspie, którzy od dawien dawna stanowili nieformalną radę rozstrzygającą najważniejsze dla lokalnej społeczności sprawy. Pod światłym przewodnictwem proboszcza uradzono, że nie można pozwolić, by przewożone przez zatopiony statek dobro się zmarnowało. W miejscu katastrofy nie było bardzo głęboko. Rybacy popłynęli więc tam kutrami i wyłowili kilka skrzynek najprzedniejszej whiskey z destylarni Belfastu. Cała osada się radowała, a mieszkańcy Finneganów umieją docenić dobry trunek. Nawet jeśli nad ich radością unosił się cień zatopionych marynarzy.

Od tamtej pory w rocznicę katastrofy, która przypada na początek lipca, rybacy z Newport płyną na miejsce przybrzeżnej tragedii i wyławiają po kilka skrzynek, które dzielą równo między siebie. Część wypijają, wspominając zatopionych żeglarzy, a resztę zachowują na szczególne okazje. Istnieje na Finneganach niepisane prawo, wedle którego poza tym jednym letnim dniem w roku nie można wydobywać spoczywającego na dnie ładunku. Jak silna musi być ta tradycja, skoro złamano ją tylko raz, a było to dobrze ponad dwadzieścia lat temu.

– ... ponoć ten, który to zrobił, powiesił się potem, choć z innego powodu – zakończyła Sadhbh.

Muszę nadmienić, że opowieść profesor O’Sullivan była mniej wyrafinowana niż wersja, którą właśnie przedłożyłem czytelnikom. Z chaotycznych zdań, przerywanych niezwiązanymi z fabułą dygresjami, zlepiłem kompletną i zwartą narrację, nadając jej literacki sznyt i językowy polor.

Sama Sadhbh dostała tę butelkę whiskey w prezencie. Czułem się wzruszony, że to właśnie ze mną postanowiła się nią podzielić. Moja skromna kuchenna pomoc nie była tego warta. Po prawdzie, to już czułem się beneficjentem całej tej sytuacji. Piliśmy, delektując się wspaniałym aromatem, zharmonizowanym i dojrzałym, którego nie mogę porównać z niczym innym, więc oszczędzę sobie nieudolnych metafor. Czułem się szczęśliwy, ale też zakłopotany.

Gdybyż profesor Sullivan wiedziała, co naprawdę wydarzyło się wtedy w jej domu, to nie tylko by nie odwiedziła mnie z tą zacną butelczyną, ale też miałyby pełne prawo zażądać podobnie cennej rekompensaty ode mnie. Nie miałem jednak serca, by się do tego przyznać. Whiskey była znakomita.

## O przekraczaniu granic

Piliśmy więc dalej, prowadząc inteligentną konwersację. Sadhbh opowiadała o sobie, ja o sobie, dwoje wędrowców ku prawdzie, oddanych w dożywotnią służbę humanistycy. Spoglądałem na nią przez szklanę whiskey, napój tłusto spływał po ściankach. Dolewaliśmy sobie bogato, a przedni trunek nie chciał się skończyć. Wreszcie butelka pokazała swe dno. Byliśmy radośni wypitym alkoholem i smutni odkrytą pustką. Dwoje intelektualistów z ciemżonych narodów, bratnie dusze na krańcu świata Zachodu.

Zaproponowałem, że wyjdę do pubu naprzeciwko i kupię drugą butelkę. Ale wiedzieliśmy, że takiej dobrej nie dostanę, bo nawet jeśli stary Toby ma swoje zapasy, to na pewno się nimi nie podzieli. Gorszym zaś trunkiem nie chcieliśmy wypłukiwać z ust aromatu godnego uczyty pradawnych bogów. Zszedłem więc do kuchni i zaparzyłem herbatę.

Na dole spotkałem panią Magee, która przygotowywała sobie ziółka na sen. Stara gospodyni pokiwała tylko głową i powiedziała:

– Biedna pani O’Sullivan.

Przyznałem jej rację. Kiedy wróciłem do pokoju, znalazłem się w okolicznościach, których spodziewałem się jeszcze mniej niż wieczornej wizyty Sadhbh.

Oto na moim łóżku leżała naga profesor O’Sullivan, a mnie znów było dane oglądać jej irlandzkie runo, ogniste i bujne. Nie spała, tylko wyciągała do mnie ramiona.

– Chodź, mój hydrauliku!

Zamknąłem drzwi, odstawiłem herbatę i odpowiedziałem na jej wezwanie. Nie wiem, jak to się stało, ale takie rzeczy trudno wytłumaczyć za pomocą czystego rozumu. A już zwłaszcza, gdy jest zmacony stuletnią niemal whiskey. Tamtej nocy mój penis wędrował przez dzieje tam i powrotem, łamiąc prawa czasu.

Usnęliśmy na wąskim łóżku, przytuleni. Rankiem, kiedy dotarło do mnie, co się wydarzyło, Sadhbh powiedziała, ubierając się:

– Muszę ci wyznać, że pozostając wierna dialektyce, przeszłam z pozycji idealistycznych na materialistyczne. Tylko tak można sensownie opowiedzieć o pochodzie penisa przez dzieje. Byt kształtuje świadomość, nie na odwrót. Dzisiejsza noc potwierdziła mi to dobitnie.

I zanim zdążyłem jakoś odnieść się do jej słów, pocałowała mnie na pożegnanie w policzek i poszła. A ja zostałem sam, z moją winą, z zimną herbatą i kłopotem, co powiem pani Magee, kiedy przyjdzie ze śniadaniem. Przynajmniej to ostatnie rozwiązało się samo, gdyż moja gospodyni zapukała za kwadrans z dwoma porcjami, raczej zdziwiona, że pani profesor już poszła, niż zawstydzona całą sytuacją.

– Znam akademików od lat – powiedziała, widząc moje spojrzenie.

Dobra pani Magee, odchodząc, zabrała zimną herbatę. Zostałem już tylko z moją winą.

## O ojcu Dignamie

W tym czasie, przeszukując czeluście internetu, natrafiłem w sieciowych zasobach dublińskiego „Evening Telegraph” na wzmiankę pochodzącą sprzed paru lat, której bohaterem był ojciec Dignam. Duchowny został oskarżony o „nieuporządkowanie w dziedzinie obyczajności” i w atmosferze skandalu pozbawiony dotychczasowej parafii oraz przeniesiony decyzją biskupa w „odległe miejsce”.

Ani słowa o herezji! Oto jak Kościół katolicki tuszuje porywy wolnego ducha, jak knebluje prawdziwą dyskusję, która mogłaby przecież zaowocować intelektualnym ożywieniem i w konsekwencji przełamaniem kryzysu, w którym chrześcijaństwo znalazło się niespodziewanie w ostatnich czasach. Nigdzie w irlandzkich periodykach teologicznych nie natrafiłem też na artykuły ojca Dignama, które zawierałyby heretyckie tezy. Widać zadziałała sprawnie cenzura prewencyjna, ktoś w kurii zawahał się z przybiciem pieczętki *nihil obstat* i tak obiecująca herezja została stłamszona w zarodku. A przecież historia Kościoła pokazuje, że nieortodoksyjna myśl zawsze działała ożywczo, mobilizowała myślenie, wyciągała z apatii i strukturalnej acedii. Ojcu Dignamowi nie dano tej szansy.

Od tamtej pory jeszcze bardziej szanowałem miejscowego proboszcza, złamanego przez system i upokorzonego. Przychodził on czasem do pubu starego Toby’ego, siadał w kącie przy samotnym stoliku i pił w milczeniu, tępo patrząc w blat stołu. Kiedyś postanowiłem nawet dodać mu otuchy, więc podszedłem, uścisnąłem mu rękę i zapewniłem o swej solidarności i zrozumieniu. Spojrzał na mnie dziwnie oczami człowieka, który nie ma w życiu żadnej nadziei. Udał, że nie rozumie, i szybko wyszarpnął swoją irlandzką dłoń z mego szczerego uścisku. Rozglądnął się przy tym trwożliwie dookoła, a ja nie narzucałem się dalej i wróciłem do swego stolika. Patrzyłem na niego jeszcze przez chwilę, na tego człowieka, który stracił wszystko bez żadnej winy. Tak łamane są najtwardsze charaktery.

O, smutny losie wielkiego finnegańskiego herezjarchy!



## O pokucie

Przez trzy dni po wizycie Sadhbh na wszelki wypadek nie wychodziłem z domu. Tym należy tłumaczyć moją nadmierną aktywność w sieci, która doprowadziła do ostatecznego wyjaśnienia sprawy proboszcza z Finneganów i potwierdzenia moich podejrzeń. Jednak mój dobrowolny areszt domowy nie wynikał z zainteresowania współczesnymi heretykami Kościoła katolickiego, tylko z lęku przed sytuacją, w której się znalazłem, zresztą nie bez swego aktywnego udziału.

Rozwazałem cały czas zagadkowe słowa Sadhbh, które wypowiedziała na pożegnanie. Czyżby chodziło jej o to, że byt (czyli whiskey) zmienił jej świadomość na tyle, że uległa słabości ciała i spędziła ze mną noc? Czy chciała mi powiedzieć, że gdyby nie alkohol, to do niczego by nie doszło? W takich chwilach czułem się jak uczeń, który nie potrafi zrozumieć słów swych nauczycieli. Niejednokrotnie później doświadczałem czegoś podobnego: że wielcy intelektualiści z St. Brendan rozmawiają niejako ponad moją głowę. Rzucają w towarzystwie aluzje, które potrafią wyłapać tylko umysły im równe. W takich chwilach uświadamiałem sobie swoje miejsce w szeregu i wiedziałem, że nie jestem godzien ich znakomitego towarzystwa. To, że mnie nie odrzucili i pozwolili przebywać w swojej bliskości – czasem bardzo bezpośredniej – było dla mnie powodem nieustannej dumy i wdzięczności.

Czy teraz Sadhbh żałowała swej słabości? Znowu zawiodłem, znowu chuć wzięła górę! Wtedy, w jej domu, miałem jeszcze siłę wybiec. Tu, kiedy wola została znieczulona alkoholem, uległem. Wiedziałem, że sobie tego nigdy nie wybaczę. Zastanawiałem się, jak wybrnąć z sytuacji, i w końcu postanowiłem, że kupię kwiaty i przeproszę profesor O'Sullivan. Takie rozwiązanie uznałem za honorowe.

## O ratowaniu cywilizacji Zachodu

Moja pokuta dobiegła końca po trzech dniach. Przez ten czas skazany byłem nie tylko na własne towarzystwo, wyrzuty sumienia i brak piwa, ale też na kuchnię pani Magee, którą może zbyt obcesowo, ale szczerze oceniłem w innym miejscu.

Kiedy więc opuściłem swą pustelnię, cieszyłem się jak dziecko z odzyskanego świata i nie przeszkadzały mi ani ołowiane chmury zaciągnięte po horyzont, ani siąpiący deszcz, który spływał cienką taflą po Main Street. Szybko jednak natrafiłem na kłopot fundamentalny: w Newport nie było żadnej kwiaciarni. Po krótkim namyśle ruszyłem więc na północne pustkowia, gdzie nad klifami rosły różne gatunki traw, z których można było, przy odrobinie zdolności florystycznych, skomponować szykowny i niebanalny bukiet.

Udało mi się to znakomicie i dumny ze swego dzieła ruszyłem w stronę Slam Row, z każdym krokiem drżąc z obawy przed rozmową z profesorem O'Sullivan. Jeśli bowiem dla mnie sytuacja ta była niezręczna, to co dopiero dla niej! Nie wątpiłem, że mam do czynienia z kobietą wyzwoloną, wszak ta wielka humanistka potwierdzała to całym swoim życiem. Jednak byliśmy w Irlandii, na Finneganach, gdzie kultywowano najpradawniejsze obyczaje i dochowywano wierności zasadom, które poza archipelagiem dawno skorodowały. Jednym słowem: bałem się.

Szedłem tak pełen niewesołych myśli w dół Main Street, kiedy minął mnie wsparty o Jadrankę Lew Michajłowicz Protopopow. Ukłoniłem się i już prawie się minęliśmy, kiedy wielki uczyony zagadnął nieoczekiwanie:

– I jak koledze idzie ratowanie cywilizacji Zachodu?

Serce zabiło mi mocniej.

– Dziękuję, dobrze, robię wszystko, co w mojej mocy!

– Wierzę. Musi być ciężko, skoro od kilku dni w ogóle się kolegi nie widuje.

– Miałem sporo pracy.

– Tak trzymać! Tylko proszę się nie przemęczyć, Zachód kolegi potrzebuje.

Podziękowałem i rozstaliśmy się. A we mnie wstąpił nowy duch. Już nie bałem się czekającej mnie rozmowy, skoro sam Protopopow wyraził zainteresowanie moimi planami! Ale jego słowa uświadomiły mi zarazem, że do tej pory poprzestałem jedynie na płomiennym przemówieniu, które choć dobrze przyjęte, nie uratuje słabującej kultury. Trzeba było czynu, trzeba było projektu, trzeba było grantu! Słowa Lwa Michajłowicza nie tylko dodały mi sił, ale natchnęły do dalszego działania. W ten sposób ten rosyjski intelektualista delikatnie popychał mnie w słusznym kierunku, pozostawiając jednak wrażenie satysfakcji, że robię to własnymi siłami. Oto dyskretne i skuteczne działanie mistrza! Wiedziałem, że nie mogę takiego wsparcia zmarnować.

Niemal biegiem pokonałem ostatnie metry i niebawem stanąłem przed domem Sadhbh.

## O doświadczeniu progowym

W zaułku zapadał już zmrok i cień kładł się na kamiennych fasadach. W domu profesor O'Sullivan, w niewielkim okienku na piętrze, paliło się światło. Dół pograżony był w mroku. Podszedłem do drzwi i wcisnąłem dzwonek.

Cisza po wybrzmieniu ostatniego dźwięku była tak długa, że słyszałem swój przyśpieszony oddech i trwożliwe bicie serca. Trzymając w dłoni naręcze traw, czekałem, lecz nikt nie odpowiadał. Policzyłem do dziesięciu, nie wiem dlaczego do dziesięciu, i nacisnąłem czarny guziczek dzwonka ponownie. Znów wybrzmiał, i znów cisza. Nie było późno, paliło się światło, byłem pewien, że Sadhbh jeszcze nie spała. Może zdrzemnęła się nad lekturą, choć prawdę mówiąc, nie podejrzewałem jej o to. Wyobrażałem sobie, że siedzi zaczytana w swym fotelu albo pochylona nad klawiaturą kończy pisać artykuł. Podczas niefortunnego spotkania u mnie opowiadała z pasją, że właśnie pracuje nad referatem *Fale feminizmu a depilacja*, który miała zgłosić na konferencję w Newcastle.

W takich sytuacjach uczony zwykł się zatracać w swej pracy, zapominać o świecie. Ileż razy zdarzyło mi się, że nie słyszałem pukania pani Magee, zaczytany w powieści Filipa Włócznika! Naukowiec musi potrafić wytwarzać wokół siebie niewidzialny balon, osłonę przed światem i jego nieistotnymi sprawami, aby móc odnaleźć te rejestry duszy i intelektu, które doprowadzą go do poznania czystej prawdy. To droga żmudna i wymagająca ascezy, dlatego nie dziwiłem się, że profesor O'Sullivan, pochłonięta kulturowymi aspektami depilacji, ślęcząc z lupą nad fotografiami grup feministycznych, nie słyszy mego dzwonka.

Z zamyślenia wyrwał mnie rozbłysk światła w holu i odgłos kroków na skrzypiącej podłodze. Niebawem drzwi uchyliły się i zobaczyłem Sadhbh owiniętą niedbale szlafrokiem. Patrzyła na mnie ze zdziwieniem.

– To bukiet z traw – wyjaśniłem.

– Co tu robisz?

Spojrzałem na nią, na jej falujący dekolt, kropelki potu na szyi i zmierzwione włosy.

– Przygotowywałam kąpiel – powiedziała, widząc me spojrzenie.

– Przepraszam. Chciałem cię przeprosić. Tamto nie powinno się wydarzyć, zachowałem się jak zwierzę, a nie obdarzony rozumem i prawem moralnym człowiek. Tym bardziej mi głupio, że śmiem zaliczać się do wąskiego kręgu...

– Posłuchaj, to nie jest dobry moment.

– Wiem, ale nigdy nie będzie lepszego. Wiem, że nie chcesz mnie znać, ale ja muszę się wytłumaczyć, przeprosić. Mogę wejść?

– Nie, nie teraz.

– Ja naprawdę nie wiem, co we mnie wstąpiło, muszę cię przeprosić, potraktowałem cię jak...

– Powinieneś już iść.

– Ale ja muszę!

Sadhbh była wyraźnie zdenerwowana. Widać wspomnienie tamtych wydarzeń wytrąciło ją z równowagi. Oddychała szybko, lękliwie rozglądała się na boki, jakby uciekała wzrokiem; co chwila ściągała paskiem szlafrok, który miał barwę szmaragdu, tak charakterystyczną dla kultury irlandzkiej i tak pasującą do burzy jej rudych włosów.

– Naprawdę powinieneś już iść – powtórzyła i drzwi jej domu zamknęły się głucho.

Światło w holu zgasło i w ciemności usłyszałem skrzywienie schodów, po których wchodziła profesor O’Sullivan, nazywana nie bez powodu Sinéad O’Connor irlandzkiej humanistyki. Kochana i nienawidzona. A teraz skrzywdzona i poniżona przez takiego robaka jak ja.

Są winy, których nie można naprawić. Są przeprosiny, które wypowiedziane nie w porę, nigdy nie zostaną przyjęte. Nie możemy cofnąć naszych słów i czynów, nie możemy wymazać ich gumką, myszką albo klawiszem *Delete*. Życie to nie plik tekstowy, jak napisał kiedyś Filip Włóczykiel.

Stojąc w stuporze pod domem irlandzkiej uczonej i buntowniczką, poczułem te mądre słowa całym swoim jestestwem.

## O wrastających paznokciach

Nie wiem, jak długo stałem przed zamkniętymi drzwiami. Mrok nocy otulił mnie i nie czułem zimna. Wreszcie ocknąłem się, złożyłem z szacunkiem mój skromny bukiet z finnegańskich ziół na progu, po czym odszedłem w ciemność.

Nie wiem, jak długo błądziłem po uliczkach Newport. Potrzebowałem samotności i ją znalazłem. O tej porze miasteczko jest wyludnione, ludzie siedzą w domach lub w pubach, czasem ciszę przerwie śpiew wracającego do żony rybaka. Woda cicho uderzała o nabrzeże, kutry sennie kołysały się na swoich miejscach.

Nie roztkliwiałem się jednak nad sobą. Przede wszystkim myślałem nad krzywdą Sadhbh. Przed oczami miałem scenę naszego rozstania, tę sprzed trzech dni. Co musiała czuć ta dzielna kobieta, budząc się w obcym łóżku, naga i bezbronna? Oto ten, którego znała przecież tak niedługo, a któremu nieopatrznie zaufała, wykorzystał jej słabość i upojenie. Jakąż klasę trzeba mieć, by po tym wszystkim godnie ubrać się i pocałować swego uwodziciela na pożegnanie w policzek. Żadnych łez, żadnych próśb, żadnych słów – tylko wyniosły pocałunek.

A potem zobaczyłem tę drugą Sadhbh, która doszedłszy do swego domu, zrzuciła maskę jak gorset i stanęła przed samą sobą w prawdzie: poniżona i wykorzystana. Zmierzwiłone włosy, uciekający wzrok. Jak bardzo musiałem ją skrzywdzić! Rozumiałem, że nie chce, bym oglądał ją taką.

W takim oto stanie znalazłem się przed drzwiami pubu Pod Lwem. Nogi same mnie tam zawiodły, więc poddałem się dalej tej cichej intuicji ciała i wszedłem do lokalu. Objęło mnie ciepło i radość zgromadzonych tu ludzi, choć mnie nie było wcale do śmiechu. Przy barze stary Toby wycierał szklanki, sprawdzając pod światło ich czystość. Tam też skierowałem swoje kroki i po chwili zanurzyłem usta w chłodnym piwie. Duszkiem osuszyłem szklankę, a z drugą pintą ruszyłem na poszukiwanie wolnego miejsca.

Pod ścianą, z dala od ciepłego blasku kominka, zobaczyłem moich drogich kolegów z St. Brendan. Byli tam Haggis, pocziwy Balzavour i O'Connell, o którym nie miałem jeszcze okazji opowiedzieć. Ten antropolog społeczny z Queen's University w Belfaście zajmował się reliktowymi formami katolicyzmu na wyspach. Do Newport przyjechał z własnym kursem, ale też w celu uzupełnienia projektu o badania terenowe na Finneganach. Rzadko bywał w St. Brendan, gdyż sporo podróżował pomiędzy wysepkami archipelagu, rozmawiając z bezzębnymi staruszkami o Bogu. To właśnie lekturze jego artykułów zawdzięczam wiedzę o religijności miejscowych rybaków, którą staram się subtelnie wplatać w te wspomnienia.

Przywitałem się z nimi i za ogólną aprobatą postawiłem piwo na stole, po czym ruszyłem w tłum w poszukiwaniu wolnego krzesła. Kiedy już wracałem z nim do stolika, zastałem uczonych stojących.

– Chcieliśmy się pożegnać – odezwał się Jeremy O'Connell. – Zagadaliśmy się jak

stare kumoszki z Windsoru i dopiero twoje pojawienie się, drogi kolego, uświadomiło nam, jak późna już pora. A przecież nie przyjechaliśmy pod gościnne skrzydła dziekana O'Grady'ego po to, by popijać piwo, prawda?

Zaśmialiśmy się wszyscy szczerze.

– Referaty czekają, terminy na artykuły gonią, książki się same nie napiszą. No, na nas już czas – dokończył O'Connell.

Pożegnaliśmy się serdecznie i sumienni naukowcy opuścili lokal. Poczuję się niezręcznie. Co musieli sobie o mnie pomyśleć? Oni, tak oddani nauce, wracają do swych gabinetów, by ślęczyć po nocach nad pracą, a ja włączę się po pubach Newport. Podziwiałem ich i zazdrościłem dyscypliny. Mój plan dnia szlag trafił, uporządkowane życie rozwiało się jak sen jakiś. Zostałem z moim lenistwem i moją winą.

Miałem czterdzieści lat i dopiero zaczynałem pracę nad habilitacją. Od doktoratu minęła dekada, a ja ten czas przespałem. Haggis, Balzavour, oni wszyscy, młodszy ode mnie, już mieli swoje katedry, kilka monografii na koncie, znał ich cały świat europejskiej humanistyki. Ja byłem tylko aspirantem, smutnym aspirantem pukającym niezdarnie do drzwi salonu mądrości, gdzie bawili się wielcy. Nie mogłem się tłumaczyć dzieciństwem spędzonym w komunizmie, nie mogłem zasłaniać się układami na macierzystej uczelni. Kiedy bowiem stworzono mi warunki, zaufano, ja zamiast oddać się naukowej ascezie, uwiodłem profesor O'Sullivan i upijałem się w finnegañskich pubach.

Tak, tamtej nocy wypilem o wiele pint guinnessa za dużo. Nie liczyłem ich, tylko chwiejnym krokiem szedłem do baru i zamieniałem opróżnioną szklankę na pełną. Mimo solennych obietnic, składanych nie tak dawno, znów upadłem.

Kiedy upadłem ostatecznie, z podłogi podnieśli mnie stary Toby i Rory O'Neill. Ten drugi miłosiernie odprowadził mnie do domu, wtaszczył po schodach i rzucił jak worek ziemniaków na łóżko. Byłem mu wdzięczny, lecz nie potrafiłem tego wyrazić. Przez cały czas naszej wspólnej drogi usiłowałem sobie przypomnieć, skąd go znam. Chciałem podziękować temu dobremu człowiekowi, lecz zawstydzalo mnie, że nie pamiętam, jak się poznaliśmy.

Kiedy zrzucił mnie ze swych mocarnych barków na łóżko, doznałem olśnienia.

– Pamiętam... – wymamrotałem. – Pana żona ma wrastające paznokcie... Proszę ją serdecznie pozdrowić.

Musiałem w tym momencie usnąć, bo nie pamiętam, jak ten prosty, szczerzy rybak zareagował.

## O *Dziesięciu latach wakacji*

Ranek obudził mnie kroplami deszczu bębniącymi o dach. Nie pierwsze takie przebudzenie na Finneganach i nie ostatnie, bolesne po przeżyciach ubiegłej nocy. Śniadanie dawno wystygło, pani Magee zostawiła je pod drzwiami, zniechęcona zapewne bezskutecznymi próbami obudzenia mnie. Zjadłem zimne jajka na bekonie (nie ma nic smutniejszego niż zimne jajka na bekonie i skrzepnięty, wieprzowy tłuszcz). Ale zasłużyłem na to. Byłem nikiem.

Jedyne, co mogło mnie uratować, to lektura powieści Filipa Włócznika. Ona zawsze przynosiła mi ukojenie, chwilową ucieczkę od świata. Ale nie był to eskapizm, właściwy literaturze fantastycznej! Geniusz Włócznika przeprowadzał czytelnika przez wymyślone światy, olśniewał wyobraźnią i mocą demiurgicznej kreacji, po czym odstawiał na próg jego własnego domu. Czytelnik wracał do swego świata, bogatszy o hojnie darowane przez wielkiego fantastę okruchy mądrości i wzmocniony na duchu. Dzięki temu mógł stawić czoła światu, nie literackiemu, ale temu prawdziwemu. Włócznik ocalał nas przed upadkiem w otchłań.

Sięgnąłem po *Dziesięć lat wakacji*, powieść, do której wracałem często i znałem na pamięć całe akapity. Miękka fraza Włócznika żyła w mej pamięci i towarzyszyła mi w najczarniejszych godzinach egzystencji. Zapominając o deszczu, bólu głowy, Sathbh i pracowitych kolegach z St. Brendan, znowu byłem chłopcem, młodzieńcem studenciakiem, który przed laty rozkochał się w tej prozie. Mój egzemplarz niemal się rozlatywał, klej puścił w wielu miejscach. Całe partie tekstu były pozakreślane – to na tej książce robiłem magisterium, przedzierając się przez piętra sensów i interpretacji, wchodząc z drzeniem serca w labirynty prozy Włócznika.

Opowieść zaczyna się w góralskiej chałupie w Beskidach. W opuszczonym przysiółku, którego rdzenni mieszkańcy poumierali albo zeszli w doliny, samotny mężczyzna wychowuje dwoje dzieci, dziewczynkę i chłopca. Z początku Włócznik kreśli sielski obraz prostego życia: łąki pełne kwiatów, szemrzące strumienie i świerkowe lasy. Ojciec piecze chleb, uprawia w ogródku warzywa, hoduje niewielkie stadko kóz i owiec. Dzieci żyją jak w Arkadii, pijąc świeże mleko, jedząc zdrową żywność i ciesząc się nieskalaną górską przyrodą. Razem chodzą na grzyby i borówki, razem obserwują świat natury, a mądry ojciec tłumaczy im otaczającą rzeczywistość. Rzadko schodzą do wsi, czasem jednak muszą kupić jakieś przedmioty albo sprzedać wyplatanie wieczorami przez ojca kosze – Włócznik nie rezygnuje z realizmu i to małe gospodarstwo działa wedle wszelkich prawideł ekonomii. Ojciec zajmuje się też wyrobem pamiątek, a także naprawia radia i telewizory, czym zarabia na utrzymanie rodziny.

Jednak w ten idylliczny krajobraz wkrada się pewien cień. Otóż dowiadujemy się, że przed laty, kiedy dzieci były małe (w czasie trwania powieści mają one odpowiednio piętnaście i czternaście lat), doszło do tragedii. Ich matka zginęła. I tu zaczyna się szczególny projekt ojca. Nie powiedział on bowiem maleństwu o stracie matki, tylko

zabrał je w góry i tam sam wychował. Żyją one w przekonaniu, że matka, którą pamiętają jak przez mgłę, żyje na nizinach i nadejdzie czas, kiedy się z nią spotkają. Jednak szczęście, które ich otacza, sprawia, że nie zadają pytań i powoli postać rodzicielki powleka się pajęczyną zapomnienia.

Dzieci nie chodzą do szkoły, całą wiedzę o świecie dostarcza im ojciec. Ponieważ w dawnym życiu był nauczycielem w szkole powszechnej, potrafi wprowadzić swoje potomstwo w arkana matematyki, ortografii i geografii. Świat ich doświadczenia ogranicza się wprawdzie do tych kilku hal oraz wsi w dolinie, ale rodzeństwo wie, dzięki dydaktycznemu talentowi ojca, ile gatunków ryb zamieszkuje ujście Amazonki, jakie zwyczaje godowe panują wśród mieszkańców Papui-Nowej Gwinei albo na czym polegała koszerność diety w starożytnym Izraelu.

Dzieci wiedzą o wszystkim poza śmiercią. Przed tym jednym problemem ojciec chroni je na wszelkie sposoby. Kiedy zabija jagnię na obiad, tłumaczy im, że uciekło; kiedy znajdują w lesie martwego dzięcioła, opowiada im, że ptak tylko śpi. Kiedy w wiejskim kościele natrafiają przypadkiem na pogrzeb, słyszą opowieść, że w skrzyni przy ołtarzu znalazł się proch z wszystkich palenisk we wsi, który rytualnie zostanie zakopany w ziemi, aby plony były lepsze.

Rodzeństwo pyta często o świat na nizinach, który rozciąga się poza granatowymi i sinymi łańcuchami gór. Ojciec opowiada im o mieście o miedzianych wieżach i stu kościołach, gdzie po ulicach biega skoczny lajkonik, a maskary na Sukiennicach w czasie świąt śpiewają najpiękniejsze kolędy. W długie zimowe wieczory gawędziarski talent ojca odmalowuje przed dorastającymi dziećmi baśniowe pejzaże. Kraków staje się miastem z piernika, a jego mieszkańcy – ludźmi dobrymi i pełnymi miłosierdzia. Pomiedzy nimi przechadza się gdzieś matka dzieci, a kiedy nadejdzie stosowny czas, spotkają się wszyscy w nowym domu, który dla nich przygotowała. Jednak – ojciec podkreśla to z całą surowością – ten czas jeszcze nie nadszedł.

Na marginesie warto dodać, że właśnie po publikacji tej powieści pojawiły się wśród badaczy i czytelników pierwsze sugestie, że Filip Włócznik mieszka w podobnym przysiółku, odcięty od świata. Niektórzy szarżowali w swych interpretacjach, sugerując, że jest on wręcz albo ojcem bajaranem, albo też synem, wychowanym na legendach i zmyślonych opowieściach. Trzeba przyznać, że domysły te są ekscytujące, nie ma jednak na nie żadnych dowodów. Powróćmy do fabuły.

Czas płynie, dzieci dorastają, ich ciała zaczynają się zmieniać. Zadają też pytania i ich budzące się do nastoletniego buntu umysły dostrzegają w opowieściach ojca pewne niekonsekwencje i nieścisłości. Przyłapany na nich ojciec tłumaczy się nieporadnie, potęgując tym samym podejrzenia dzieci.

Wreszcie nadchodzi moment przełomowy. Pewnej letniej nocy, spakowawszy sakwy z jedzeniem, dorastające rodzeństwo ucieka z domu. Mają przy sobie mapę, którą kiedyś znaleźli na strychu w kufrze ojca, jedyne miejsce w całym domu, do którego nie mogli pod żadnym pozorem zaglądać. Kierując się kartograficznymi wskazówkami, zdane na pomoc życzliwych ludzi, dzieci wyruszają do dalekiego Krakowa. Wzruszająca jest



scena, w której Włóczyk prowadzi równoległą narrację, pokazując raz stojące na peronie wystraszone rodzeństwo, które widzi nadjeżdżającą wielką gąsienicę pociągu, a drugim razem ojca, budzącego się w pustym domu. One ruszają na poszukiwanie matki, przestraszone wielkim światem, ale pełne nadziei. On wie, że przegrał i z tępej wściekłości osuwa się w rozpacz. One liczą na ocalenie, on wie, że zapewne straci je na zawsze.

Wydawać by się mogło, że to ostatnie rozdziały powieści, że dzieci dostaną się do Krakowa, odnajdą grób matki i zrozumieją wszystko. Zapłaczą nad ojcem, który otoczył ich szczelnie iluzją dla ich własnego dobra, i w końcu nastąpi scena pojednania. Rodzeństwo wróci do domu dojrzałe i gotowe do dalszego życia.

Ale kto tak myśli, nie zna Filipa Włóczyka. Tu bowiem dopiero zaczyna się prawdziwa opowieść! Świat, przez który jadą dzieci, w niczym nie przypomina tego z opowieści ojca. Pociąg wysadza ich wiele kilometrów od celu; odtąd wędrują przez łąki i pola, śpiąc w stodołach i wykrotach. Tam odkrywają siebie na nowo, jako kobietę i mężczyznę. Nie znam w literaturze światowej subtelniejszych i piękniejszych opisów rozkwitającej erotyki niż te rozdziały *Dziesięciu lat wakacji!*

Kraków, do którego docierają, jest miastem zniszczonym. Nie ma domów z piernika, nie ma kościołów i wież o miedzianych hełmach. Są ruiny i wypalone zgliszcza. Przez Polskę przeszła wojna, która zabrała ludziom wszystko. Na gruzach pełgają resztki życia, po mieście grasują hordy wygłodniałych mieszkańców. Rodzeństwo zostaje rozdzielone.

Ona trafia do domu publicznego, gdzie poznaje prawdziwe życie od najgorszej strony, on zostaje siłą wcielony do oddziału renegatów. Musi zabijać, gwałcić, okrada żywych i martwych. Nie spotkają się już więcej. Nie zobaczą też ojca, który wycieńczony długim czekaniem na progu chałupy, powiesi się na zabytkowym sosrębie z połowy dziewiętnastego wieku. Pokryta ornamentami stara belka ugnie się pod jego ciężarem, zatrzęszczy, ale wytrzyma. Wiele tygodni później znajdzie go nadjedzonego przez bezpieczeństwa psy inkasent z elektrowni, który raz do roku – nawet mimo odległej wojny – wspina się na hale, by ściągnąć należność od nielicznych mieszkańców podniebnych wiosek. Pochowa go w bezimiennej mogiłce pod lasem, która szybko zarośnie trawą.

Chłopak zginie przeszyty seria z karabinu i martwy osunie się na grób matki, który odnalazł po wielu trudach. Dziewczyna ucieknie z burdelu i zawróci do domu, lecz po drodze odkryje, że jest w ciąży. Wie, że nosi dziecko swego brata. Urodzi je, śliczną, złotowłosą córeczkę, i wychowa w chałupie, gdzie sama spędziła dzieciństwo. Ochroni ją przed złem świata i powtórzy do snu wszystkie historie, które zapamiętała od ojca, a także te, które sama ułoży, prowadzona matczyną miłością i intuicją.

Warto dodać, że to z tej powieści pochodzi bodaj najbardziej znana polszczyźnie fraza Włóczyka, którą powtarza każde dziecko: „Brązowieją nam palce od łupin”.

Zawsze płaczę, kiedy kończę *Dziesięć lat wakacji*. Ten niewinny tytuł nie zapowiada wszystkich dramatów, które zawiera powieść. Płakałem też za tamtym razem. Był wieczór, kiedy przewróciłem ostatnie stronicę. Nie czułem głodu, nie czułem strachu. Nagle wszystko stało się jaśniejsze. Wiedziałem, że jest nadzieja; wiedziałem, że życie

musi toczyć się dalej.

## O ocaleniu, które przynosi nauka

Odłożyłem powieść Filipa Włócznika na półkę i długo w zamyśleniu gładziłem jej grzbiet. Dojrzewała we mnie decyzja, trudna, lecz nieuchronna. Wreszcie wziąłem głęboki oddech i zadzwoniłem do Sadhbh O’Sullivan.

Odebrała zdziwiona, lecz nie dałem jej dojść do głosu. Powiedziałem jednym tchem:

– To, co się wydarzyło, było złe i było tylko i wyłącznie moją winą. Biorę na siebie całą odpowiedzialność i dlatego jutro pójdę do dziekana O’Grady’ego i powiem mu o wszystkim. Niech mnie wyrzuci, niech odeśle do Polski. Poniosę konsekwencje. Trzeba wypić piwo, którego się nawarzyło.

Głos mi drżał i zasychało w ustach. Ale powiedziałem wszystko, co zamierzałem. Po drugiej stronie panowała cisza, słyszałem tylko oddech Sadhbh. Sekundy kapąły wolno jak minuty, minuty stawały się wiecznością. Zdążyłem już wiele razy pożałować wypowiedzianych słów, kiedy wreszcie profesor O’Sullivan przerwała to upiorne milczenie:

– Naprawdę musimy porozmawiać. Przyjdź za godzinę.

I rozłączyła się.

To była najdłuższa godzina, jaką spędziłem na Finneganach. Miotalem się po pokoju jak zwierzę w klatce, nawet nie tygrys, bo byłem przecież tylko małym szczurem. Wreszcie ubrałem świeżą koszulę, marynarkę i wyszedłem z domu. Miałem jeszcze pół godziny, dlatego chodziłem w górę i w dół po Main Street. Minuty upływały leniwie, co chwila patrzyłem na zegarek, sprawdzając, czy aby działa. Wstąpiłem na jednego guinnessa do pubu, nawet nie pamiętam nazwy, aż wreszcie zegarek pokazał właściwą godzinę. W kilka minut znalazłem się na progu domu Sadhbh.

Tym razem cały dół był rozświetlony i z wnętrza dochodziła muzyka. Usłyszałem tę rozpoznawalną pod każdą szerokością geograficzną mieszankę irlandzkiego folku i punk rocka: Shane MacGowan, sepleniąc, śpiewał o brudnym, starym mieście.

Wspominając wydarzenia poprzedniego wieczoru, z lekkim przestraszeniem nacisnąłem czarny, wilgotny guziczek dzwonka, jakbym obawiał się, że kopnie mnie prąd lub sprowadzę na siebie nagły piorun. Jednak po kilku sekundach drzwi otworzyły się i stanęła w nich uśmiechnięta profesor O’Sullivan. Pocałowała mnie na powitanie i zaprosiła do środka. Od razu zauważyłem, że wygląda inaczej niż ostatnim razem. Włosy były starannie upięte w kok, jej pełne kształty otulała marokańska suknia w kolorze indygo. Do tego srebrna biżuteria, białe stopy i uwodzicielski zapach perfum.

Nic z tego nie rozumiałem. Sadhbh chwyciła mnie za rękę i poprowadziła do jadalni, gdzie stół zastawiony był na dwie osoby. Wszędzie wokół paliły się świece. Na kredensie zobaczyłem w wazonie mój bukiet, pęk finnegańskich traw, przewiązany amarantową wstążką. Ta tkliwość o niewinne polne źdźbła bardzo mnie wzruszyła.

– Otwórz wino – powiedziała niskim głosem gospodyni, wręczając mi schłodzoną

butelkę nowozelandzkiego sauvignon blanc.

– Ale ja chciałem tylko... – zacząłem niepewnie.

– Nic nie mów. – Uśmiechnęła się i zniknęła w kuchni.

Po chwili wróciła z patelnią przegrzebków, która zajęła miejsce na długim stole pomiędzy nami.

– Zrobiłam po dublińsku, inaczej, niż tu podają. Mam nadzieję, że będą ci smakować.

Siadłem bezradnie, jadłem bezradnie i milczałem, nie wiedząc, o co w tym wszystkim chodzi. A Sadhbh opowiadała o swoim rodzinnym mieście, o spacerach wzdłuż Liffey, o wyprawach na Sandycove i Howth, o nocach przetańczonych na deskach pubów przy Temple Bar. W głośnikach cały czas grała irlandzka muzyka, skrzypce, bodhran i piękne gaelickie pieśni. Odpływałem, było mi dobrze i tylko czasem pod sercem uwierał cierń winy. Zjedliśmy przegrzebki, wypiliśmy trzy butelki wina, a potem Sadhbh przeszła do salonu i usiadła na sofie, zapraszając mnie do siebie.

– Zamierzałem powiedzieć dziekanowi...

– Ależ mój drogi, nasz zacny O'Grady wie o wszystkim.

Zamarłem. A więc wie, sama mu powiedziała. Dlaczego zatem jest dla mnie taka miła? Co znaczy niedawna kolacja? W chwilach takich jak ta wydawało mi się, że zupełnie nie rozumiem świata. Miałem tylko nadzieję, że za chwilę wszystko wróci na swoje dawne tory, rzeczywistość stanie się prosta i zrozumiała.

– W takim razie chyba będę musiał zacząć się pakować – westchnąłem.

– O czym ty mówisz? Patrick wie, bo to wszystko część mojego wielkiego projektu badawczego.

Musiałem wyglądać jak idiota, bo profesor O'Sullivan zaśmiała się i dziewczęco pstryknęła mnie w nos. Wstała, podeszła do barku i wróciła z dwoma szklaneczkami whiskey. Nie była ani w połowie tak dobra jak tamta, ale tego wieczoru nie wypiłbym ani łyka z zatopionego u wybrzeży Wielkiego Finneganu skarbu.

A Sadhbh zaczęła wyjaśniać. Okazało się, że od niedawna prowadzi pewien poufny projekt badawczy. Bada mianowicie życie seksualne wspólnot akademickich. Środowisko to jest pod wieloma względami fascynujące. Spotykają się w nim ludzie o wysokim ilorazie inteligencji, żyjący sprawami ducha, na dodatek często o poglądach bardzo postępowych, otwarci nie tylko na tradycyjne romanse kampusowe, ale też przygody homoerotyczne lub seks zbiorowy. W grę wchodzi też rozbudowane praktyki masturbacyjne z akademików i gabinetów profesorskich, a także posiadające ciekawe implikacje społeczne zależności student–wykładowca, przełożony–podwładny itd. We wspólnocie każdego uniwersytetu występuje też duża rozpiętość wiekowa, by wspomnieć choćby dwudziestoletnie studentki i sędziwego Protopopowa. Wszystko to tworzy mapę niesamowitych napięć, niezbadaną do tej pory przez socjologów i antropologów. Wielka biała plama w atlasie erotologii i erotografii Zachodu! Znudzona już pochodem penisa przez dzieje, Sadhbh postanowiła pioniersko przebadać ten obszar, pracując nad kilkutomową monografią *Życie seksualne uczonych*. Wpisany w tytuł hołd nie wymagał

komentarza.

Naturalnie dziekan O'Grady wiedział o całym projekcie i czynnie wspierał Sadhbh w badaniach, realizowanych zresztą w ramach międzynarodowego grantu. Ważną rolę odgrywała w nich część empiryczna. Przebadawszy już gruntownie rozmaite konfiguracje relacji wykładowca– student/studentka, O'Sullivan postanowiła baczniej przyglądać się międzypokoleniowym relacjom pomiędzy naukowcami. I wtedy ja pojawiłem się w Newport, niczym podarek zesłany przez los.

– Nie gniewasz się, że bez pytania rozpakowałam ten prezent? – zapytała, przeczesując moje bujne włosy.

Świat wrócił na stare tory, niezrozumienie zastąpiła pełna jasność. Poczulem błogość, którą zna każdy, kto kiedykolwiek dostąpił prawdy. Zrozumieć oznacza znaleźć spokój. Już teraz wiem, skąd ta kolacja, skąd takie miłe przywitanie. Podczas gdy ja winiłem siebie, włączyłem się po ulicach i upijałem w miejscowym pubie, Sadhbh pracowała nad być może najważniejszym projektem współczesnej humanistyki!

Poczulem się dumny, że włączyła mnie do swoich badań. Odegrać choćby małą rolę w tak wielkim zamierzeniu intelektualnym – to chyba marzenie każdego uczonego. Zapewniłem więc profesor O'Sullivan o swej gotowości do służenia nauce na wszelkich polach, jakie mi wyznaczy. Rozumiałem bowiem, że od tej pory nasza relacja nabierze ściśle badawczego charakteru. Erotyka podporządkowana metodzie, oto perspektywa, którą roztoczyła Sadhbh.

Ucieszyła się z mojego zaangażowania. Postanowiliśmy, że będziemy się spotykać na kilka godzin u niej w domu raz w tygodniu. Za każdym razem plan wizyty opracuje Sadhbh, ja zaś podporządkuję się jej decyzjom. Oczywiście nasze badania musiały pozostać poufne, przynajmniej do czasu publikacji pierwszych wyników. Ich przedwczesne ogłoszenie mogłoby zaburzyć dalsze etapy pracy, a profesor O'Sullivan zapewniała mnie, że część empiryczna jeszcze nie dobiegła końca. Nie chciałem oczywiście w tej sytuacji stawiać warunków, gdyż mogłyby one negatywnie wpłynąć na jakość wyników. Jednak moja partnerka i badaczka zapewniła, że właśnie to jest przedmiotem jej dociekań: chce poznać kreatywność i wyobraźnię ludzi uniwersytetu w dziedzinie erotyki.

Uspokojony tym, zaproponowałem, żeby połączyć nasze spotkania z niewielkimi korepetycjami z dziedziny *gender studies*. Wyznałem, że mam tu duże luki, a wypełnienie ich niejako u źródła będzie dla mnie prawdziwą przyjemnością. Profesor O'Sullivan klasnęła w dłonie jak mała dziewczynka.

Odtąd rozpoczęły się nasze cotygodniowe spotkania w jej sypialni, połączone z miniwykładami, które wygłaszała nago, spacerując po pokoju lub skacząc po łóżku, podczas gdy ja, wycieńczony w pościeli, podziwiałem sprawność jej dojrzałego ciała i intelektu. Mówiono, że ma nadwagę, ale to nie miało najmniejszego znaczenia. Te spotkania robocze przywróciły mi wiarę w siebie. Nawet bowiem wtedy, kiedy zaniedbywałem swoje własne poszukiwania na polu twórczości Filipa Włócznika, czułem przecież, że bez wytchnienia służę nauce. Zniknęły wszelkie wyrzuty moralne. Byłem

przecież jak honorowy dawca krwi albo osoba testująca nowe leki. Nauka mnie potrzebowała.

Tamtego wieczoru, kiedy ustaliliśmy warunki naszej naukowej współpracy, Sadhbh zaprowadziła mnie na piętro, gdzie poznałem dogłębnie, co kryje się pod znanym z literatury przedmiotu pojęciem „akademicki fetyszyzm”.

*Dirty, old town...* – nuciłem, wracając do siebie w środku finnegaińskiej nocy. Stary, szczerbaty MacGowan! Muzyka wypełniła mnie i przeniosła w odległe regiony. Przypomniały mi się moje Jarociny, walka z milicją, pałowanie przez ZOMO, noce spędzone na dołku. Były czasy, były.

## O wizji na szczycie

Tamtej nocy zasypiałem szczęśliwy, a pod moimi powiekami na dobre zagościł obraz ognistego, irlandzkiego runa profesor O'Sullivan. Spałem dobrze, śniąc o badaniach.

Rankiem nie czułem wypitego alkoholu. Wyparował on jak wszystkie moje troski. Obudziłem się rześki i gotowy do nowych wyzwań. Dlatego postanowiłem dokładnie przeanalizować wydarzenia ostatnich dni, aby wyciągnąć na przyszłość właściwe wnioski. Przeglądając swój „dzienniczek pokładowy”, zauważyłem, że od dłuższego czasu los wysyłał mi drobne (choć znaczące) sygnały, które w swej prostoduszności ignorowałem.

Najpierw moje przemówienie na zebraniu u dziekana i żywiołowe przyjęcie tych słów przez całą wspólnotę akademicką; potem ważne rozmowy z Lwem Michajłowiczem Protopopowem, który wyraźnie próbował zwrócić moją uwagę na pewne sprawy. Ostatnie nasze spotkanie, kiedy rosyjski literaturoznawca zagadnął o ratowaniu cywilizacji Zachodu, tkwiło we mnie mocno, mimo iż okoliczności nakazywałyby raczej o nim zapomnieć. Potem to emblematiczne zejście w pubie, kiedy moje pojawienie się przypomniało uczonemu z St. Brendan o powinnościach względem nauki. Wreszcie, co nie bez znaczenia, powierzenie mi przez samą Sadhbh O'Sullivan kluczowej roli w jej doniosłym projekcie.

Nie ulegało wątpliwości: działałem na środowisko uczonych jak katalizator, *spiritus movens*, którego pojawienie się rozbudza uśpione nieraz umysły. Byłem nieruchomym poruszycielem, miałem do odegrania ważną rolę. Przegapić tę szansę, nie wyciągnąć z niej odpowiednich wniosków – to grzech zaniedbania, najpoważniejszy grzech człowieka nauki! Byłem głęboko przekonany, że w piekle uczonych winni zaniechania znajdują się w najgłębszym kręgu, o wiele niżej od uczonych pysznych, plagiatorów i hochsztaplerów.

Jednym słowem Finnegany chciały mi coś powiedzieć, stawiając na drodze konkretnych ludzi i wplatając mój los w wydarzenia o szczególnym znaczeniu. Moim zadaniem było wyciągnięcie właściwych wniosków i pójście za nimi. Czułem, że mam do odegrania ważną rolę, nie wiedziałem jeszcze jaką. Wiedziałem natomiast, że nie mogę zawieść pokładanych we mnie nadziei. Naturalnie nie traktowałem tego jako wywyższenia ponad innych lub powodu do samozadowolenia. Myślałem raczej w kategoriach służby i misji. Ale wiedziałem na pewno, że muszę zrobić coś więcej, niż tylko pracować nad monografią prozy Filipa Włócznika. Więcej nawet, niż pomagać profesor O'Sullivan w jej epokowych badaniach. Z nieruchomego poruszyciela musiałem stać się poruszycielem dynamicznym, pełnym ruchu i energii.

Po śniadaniu udałem się na długi spacer. Musiałem choć na chwilę opuścić to szare miasto pocięte na kawałki wąskimi kamiennymi uliczkami. Chciałem oddychać pełną piersią, dlatego wspiąłem się w górę Main Street, minąłem zabudowania uniwersytetu, potem tkalnie umiejscowione w dawnych budynkach gospodarczych klasztoru i wreszcie wyszedłem na północne pustkowia. Tu wiały zimne wiatry, tu powietrze miało tę czystość, która rozjaśniała myśli. Nade mną wisało ołowiane niebo; kolejny na Finneganach dzień

bez słońca. Ale nie potrzebuje światła zewnętrznego ten, którego umysł rozświetlony jest od wewnątrz. A tak było ze mną.

Myśli zazębiały się jak elementy układanki, coraz bardziej dopasowane do siebie. Mijając wschodnie klify, zauważyłem w kłębowisku morskiego ptactwa samotną kobietę, tę samą, którą uchwyciłem przypadkiem na zdjęciu. Stała obrócona profilem, potargana na wietrze, otulona długim płaszczem niczym pledem. Nieruchoma jak posąg. Zatrzymałem się, zaintrygowany, lecz szybko się opamiętałem. Oto pokusa czekająca na naukowca – ciągle i uporczywe zagrożenie rozproszenia uwagi. Nie mogłem sobie na to pozwolić. Dlatego minąłem w oddali tajemniczą postać i szedłem uparcie na północ.

Tym razem dotarłem nie tylko do stóp Toehill, lecz wdrapałem się bez trudu na jego wietrzny szczyt. W młodości sporo chodziłem po górach, zyskując w tym dużą wprawę. Pokonywałem w Tatrach najtrudniejsze ściany, zdobywając uznanie w akademickim środowisku taterników. Niestety, musiałem porzucić to miłe zajęcie i skoncentrować się na tym, co najważniejsze: na poszukiwaniu prawdy. Ci, którzy tego nie zrozumieli we właściwym czasie, skończyli bez doktoratów. Widziałem ich potem sprzedających ziemniaki na targowiskach. Trzeba wiedzieć, kiedy przestać.

Wspinałem się na Toehill, a moje czterdziestoletnie ciało przypominało sobie dawne ruchy i gesty. Czuję, jakbym podążał znaną ścieżką, z każdym zakrętem rozpoznając niewidziane od lat krajobrazy.

Z samego szczytu roztaczał się widok na całe Finnegan. Na południu, wciśnięte między dwa wzgórza, przycupnęło niewielkie Newport. Na pierwszym planie widziałem masyw St. Brendan, a dalej małe domki i szarą wieżę kościoła. Wyspy, niczym kły smoka wyłaniające się spod powierzchni morza, zieleniły się na przestrzeni wielu mil. Byłem na samym szczycie, wokół mnie tylko archipelag i woda. Gdzieś daleko na wschodzie, za sinym horyzontem, starzała się pocziwa Europa, porykując czasem jak ranny niedźwiedź.

I wtedy nastąpiło olśnienie. W jednej chwili wszystko ułożyło się w całość. Nie brakowało żadnego elementu. Czuję pewną niezręczność w pisaniu o tym, gdyż naukowy umysł powinien kierować się nie wizjami, lecz systematyczną pracą i chłodną analizą. Przez całe swoje akademickie życie przestrzegałem tych zasad. Lecz nagle dostąpiłem wizji i patrząc na morze, zrozumiałem, co muszę zrobić.

Byłem na Finneganach, gdzie zgromadziły się najwybitniejsze umysły naszej epoki. Mieliśmy czas, swobodę badań; mieliśmy wszystko. Zrozumiałem z całą powagą, że tylko od nas zależy uratowanie cywilizacji Zachodu. Tylko my mieliśmy narzędzia, by dokładnie przeanalizować przyczyny jej upadku i wskazać drogi wyjścia z kryzysu. W ponurych wieszczbach proroków europejskiej apokalipsy musiała być jakaś luka. Musiała istnieć droga ocalenia. Kto inny ma ją znaleźć, jeśli nie my, finnegańscy akademicy z St. Brendan College?

W chwili, kiedy to zrozumiałem, dotarła do mnie powaga sytuacji. Pojąłem, co naprawdę powiedziałem podczas pierwszego spotkania u dziekana O'Grady'ego; wtedy, stojąc na szczycie Toehill, dorosłem do własnych słów. Trzeba przygotować grant



badawczy, którego celem będzie przebadanie przyczyn kryzysu. Mamy u siebie socjologów, filozofów, literaturoznawców, mamy specjalistów wszystkich dziedzin humanistyki. Ten interdyscyplinarny zespół może podołać trudnemu zadaniu. Nietzsche, Scheler, Heidegger, Derrida – oni działali w pojedynkę. Dzięki dialogowi i twórczemu sporowi przywrócimy Europie jej utracone dziedzictwo! Przekujemy upadek we wzrost! Czuję się jak prorok, który widzi nadzieję tam, gdzie inni dostrzegają już tylko ciemność. Grant badawczy może wszystko zmienić – nie miałem co do tego żadnych wątpliwości.

Wracalem do swego pokoiku lekko, jakby niosły mnie na skrzydłach anioły. Miałem wizję, teraz trzeba było zarazić nią innych. Następne dni poświęciłem na uporządkowanie i spisanie tych idei.

## O Nowej Ionie

Trzeba mieć dobry tytuł, od tytułu wszystko się zaczyna. Tak zawsze robił mój mistrz, Filip Włócznik. Tytuł organizuje myślenie. Zszedłem więc z góry i szukałem tytułu. I znów olśnienie, a przecież jeszcze nie wróciłem do domu. Projekt *Nowa Iona*. Krótko, treściwie i trafiając w sedno.

Po drodze wstąpiłem do księgarni przy uniwersytecie, w której znajdowała się półka z przyborami papierniczymi. Jako nowoczesny człowiek ery komputerowej nie potrzebowałem na co dzień papieru i ołówka. Wszystko w głowie i w laptopie, żadnych pośredników. Ale do grantu musiałem sobie szczegółowo rozrysować zadania, tematy, połączyć je z osobami. Po namyśle kupiłem ryzę papieru i komplet kolorowych cienkopisów. Strzałki, diagramy, schematy, grafy – wizja pracy nad grantem ekscytowała mnie.

W pokoju, kiedy tylko ochłonałem, zabrałem się metodycznie do roboty; metoda to podstawa – zawsze powtarzałem to moim studentom. Uprzątnąłem biurko, to taki rytuał. Nowe zadanie, czysty blat. Na półkę wróciły poznaczone żółtymi karteczkami powieści Włócznika i kserokopie artykułów z pozakreślanymi fragmentami – moje prywatne archiwum. Został tylko laptop, czysty papier i ja. Lubiłem to intelektualne podniecenie, kiedy zabierałem się do czegoś nowego. Myśli napierają, a człowiek pomaga im się narodzić, znaleźć właściwą formę.

Najpierw metoda. Na jednej kartce nazwiska wszystkich kolegów z St. Brendan i krótkie, ujęte w punktach charakterystyki ich zainteresowań badawczych. Szybka kwerenda w sieci i miałem przy każdym nazwisku kilka odnośników.

Potem, na drugiej kartce, krótka lista problemów: nihilizm, kryzys wartości, atrofia tradycyjnych wspólnot, wzrost znaczenia miast, śmierć Boga, śmierć duchowa człowieka, subiektywizm, relatywizm, subiektywizm a relatywizm, scjentyzm, rozwój techniki, kult dobrobytu, operacje plastyczne, kryzys katolicyzmu, wzrost nacjonalizmów, państwo opiekuńcze, konsumpcjonizm, pornografia, uprzedmiotowienie, *homo oeconomicus*, totalitaryzmy XX wieku, antysemityzm, rasizm, wolna miłość, kryzys rodziny, globalizacja, nazizm, faszyzm, komunizm, konflikt pokoleń, starzenie się społeczeństw, wojna cywilizacji, mcdonaldyzacja, tabloidyżacja, aborcja, eutanazja, *in vitro*, pauperyzacja, wykluczenie, rozwarstwienie, nietolerancja, liberalizacja, radykalizacja, kryzys autorytetów, psychoanaliza, hedonizm, egoizm, atomizacja...

Projekt pęczniał. W połowie musiałem wziąć trzecią kartkę i zarezerwowałem czwartą, gdyż czułem, że na tym się nie skończy. Dotknąłem zagadnień doniosłych, powiązanych ze sobą w jeden system. I wiedziałem, że elita humanistyki, która nieprzypadkowo zgromadziła się na Finneganach, pomoże mi zobaczyć te ukryte połączenia, z pozoru poplątane, ale możliwe do odsłonięcia i wyjaśnienia. Oczekiwałem, że wnikliwe badanie pokaże, gdzie tkwi błąd. Co zrobiliśmy nie tak – my, ludzie Zachodu – gdzie zboczyliśmy z kursu, który prowadził nas ku wzrostowi i doskonałości? Wiadomo,

że czasem drobne, z pozoru niezauważalne odchylenie potrafi sprawić, że statek nie dotrze do docelowego portu. Z każdą milą morską wzrasta jego oddalenie od prawidłowego toru, aż wreszcie, po drugiej stronie oceanu, przybija do brzegu wiele mil od celu.

Wiem, że ta metafora nie jest dopracowana, lecz próbuję uchwycić sedno mojej wizji. Głęboko wierzyłem i wierzę nadal, że poznając przyczyny tego błędu, da się go jeszcze naprawić. Usuwając je, możemy sprawić, by maszyna nadal działała tak dobrze, jak przedtem. Ale najpierw trzeba zobaczyć, co przestało działać. Inna metafora: pamiętam jak dziś, że na lekcjach matematyki zdarzało mi się, przez nieuwagę, zapomnieć o jakimś działaniu. A to czegoś nie dodałem, a to nie zmieniłem znaku, a to podzieliłem zamiast pomnożyć. Wynik był katastrofą, ocena – klęską. Ale mogłem, cofając się po krokach algebraicznych przekształceń, znaleźć źródło owego zła. Tak, ta metafora jest lepsza! (Muszę wykreślić porównanie marynistyczne; choć ono lepiej pasuje do symboliki projektu: Finnegany są wyspą, Iona jest wyspą, statek jest jak najbardziej na miejscu). Grunt to spójność metafor, bo to one organizują nasze myślenie.

Dość jednak dygresji, dygresje gubią nawet najwybitniejszych myślicieli. A zatem: prosto do celu, bez zbaczania z kursu!

W międzyczasie musiałem dopisać jeszcze: postmodernizm, posthumanizm, cybernetykę, rzeczywistość wirtualną, upadek obyczajów, sztuczną regulację poczęć, sekularyzację, klerykalizm, narkotyki, rozprężenie moralne, seksizm, feminizm, antyfeminizm... A to zaledwie wierzchołek góry lodowej, który i tak robi upiorne wrażenie, zdolne każdego pogrążyć w rozpacz.

Miałem listę nazwisk, miałem listę specjalności, miałem listę problemów. Teraz pozostawało najtrudniejsze. Pogrupować problemy w spójne zbiory i przyporządkować je do poszczególnych osób. I tu zaczęły się schody.

Najpierw przyjąłem klucz dyscyplin naukowych. Od śmierci Boga – filozofowie; od kryzysu Kościoła – teologowie (tu liczyłem na niewykorzystany intelekt ojca Dignama); od rozpadu rodziny – socjologowie, itd. Ale przecież na większość spisanych przeze mnie problemów można spojrzeć z kilku perspektyw. Taka interdyscyplinarność podnosi zresztą rangę grantu, komisje unijne lubią interdyscyplinarność, jest modna i działa jak zaklęcie. Nie należy ślepo podążać za modą, ale można ją wykorzystać do swoich celów! Zobaczywszy to wszystko jasno, zacząłem znów łączyć problemy z nazwiskami, aż doszedłem do końca listy. Używałem różnych kolorów, a rolę każdego z nich opisałem w specjalnej legendzie (piąta kartka).

Kiedy skończyłem i odłożyłem cienkopisy, ujrzałem kolorową pajęczynę, przez którą z trudem dało się dostrzec biel kartki. Inny by się przeraził, ale nie ja. Doświadczyłem wizji tam, na wzgórzu Toehill, i nosiłem w sobie jej moc. Wytrwałość cnotą uczonego, jak powtarzał nam profesor od języka staro-cerkiewno-słowiańskiego. A ja bywałem bardzo wytrwały. Choć mam świadomość, że czytelnik, który uważnie zapoznał się z moimi wspomnieniami, może żywić co do tego niejakie obawy.

Przede wszystkim metoda. Spokojnie otworzyłem laptop i zacząłem wpisywać wszystko, już uporządkowane, w tabelkach. Do każdego nazwiska grupa problemów,

potem na odwrót: problem i przyporządkowane nazwiska. Okazało się, że niecałe dwadzieścia osób, którymi dysponowałem w St. Brendan, utworzyło, oczywiście w różnych konfiguracjach, siedemdziesiąt dwa podzespoły robocze. Dużo. Choć, jak szybko obliczyłem, i tak mniej, niż wynikałoby z czystej kombinatoryki. Ale było jasne, że nie mogę zaproponować tego uczonym zajęтым przeciw swoim własnym projektom.

Z początku chciałem więc wykluczyć zespoły mniejsze niż trzyosobowe. Przypomniałem sobie jednak, jak owocnie zapowiada się praca badawcza w naszym dwuosobowym zespole w ramach projektu Sadhbh O'Sullivan. Mało tego, były przeciw ważne tematy, które – ze względu na kompetencje i wiedzę poszczególnych naukowców – mogły być podjęte tylko w pojedynkę. Spróbowałem zatem uszeregować wszystkie podzespoły pod względem ważności. Opracowałem nawet bardzo szczegółowy algorytm oceny jakościowej; oszczędzę tu szczegółów, jednak cały projekt został opublikowany przeze mnie na stronach St. Brendan College i jest do wglądu wszystkich zainteresowanych. Następnie skreślałem od dołu listy najniżej ocenione podzespoły badawcze.

W wyniku tej operacji odrzuciłem nie tylko mało istotne zbiory zagadnień, ale też te najbardziej problematyczne. Żeby nie być gołosłownym, skreśleniu uległa grupa, która miała się zajmować jednocześnie nazizmem, urbanizacją i wolną miłością. Zapewne jej poszukiwania dałyby ciekawe rezultaty, ale uznałem, że nie można mieć wszystkiego naraz. Kreśliłem z bólem serca, gdyż żal było każdej odkrytej sfery dociekań. W końcu uznałem, że liczba dwunastu podzespołów (trzynasty stanowić miały posiedzenia plenarne) będzie akceptowalna przez wszystkich.

Następnie zestroiłem możliwe spotkania podzespołów z grafiką wykładów i seminariów moich kolegów z St. Brendan. Nie było to łatwe i muszę przyznać, że z powodów czysto logistycznych musiałem odrzucić kolejne trzy podzespoły, gdyż nie istniała fizyczna możliwość, by zasiadający w kilku gremiach uczeni mogli się spotkać we wszystkich zaproponowanych przeze mnie konfiguracjach. W końcu jednak utworzyłem nie tylko projekt, ale też grafik spotkań.

Wszystkie te czynności opisałem skrótowo i z pewną lekkością, muszę jednak dodać, że prace te zajęły mi cały tydzień. Niewiele przez ten czas wychodziłem, przestawiłem się też w tym okresie na kuchnię pani Magee; nauka wymaga poświęceń. Nie zaniedbywałem, rzecz jasna, moich studentów i oczywiście musiałem wypełnić obowiązki w ramach grantu profesor O'Sullivan. Nic jej nie wspomniałem o moim planie, chcąc wszystkich mile zaskoczyć podczas posiedzenia u dziekana. Ale bystra Sadhbh zauważyła moje ożywienie i musiałem troszeczkę nakłamać, by nie zdradzić się przedwcześnie.

Pozostawały do ustalenia tylko detale, takie jak merytoryczne uzasadnienie dla każdego z podzespołów, kalendarz prac i projekt budżetu. Te sprawy zostawiłem na później, uznając, że z powodów wspólnotowótórczych powinniśmy opracować je wszyscy razem. Nie chciałem przeciw niczego narzucać. Moja dotychczasowa praca wydobywała tylko to, co i tak każdy robiłby z ochotą w ramach własnych badań. Ja tylko

skoordynowałem te potencjalne działania.

Projekt *Nowa Iona* był gotowy do zaprezentowania braci akademickiej.

## O nadziejach częściowo zawiedzionych

Do najbliższego spotkania u dziekana O'Grady'ego zostały jeszcze dwa dni. Przez ten czas nie mogłem o niczym innym myśleć, tylko szlifowałem w głowie krótkie przemówienie, które miało zachęcić zebranych do projektu. Bardzo żałowałem, że nie mam nagrania mojej poprzedniej mowy, którą wygłaszałem w pewnym transie, dlatego nie zapamiętałem jej należycie. Podejrzywałem, że niektórzy z moich kolegów w sekrecie dokonali rejestracji tego przemówienia, lecz niezręcznie było mi o nie prosić. Gdybym jednak nim dysponował, mógłbym się odwołać do pewnych fraz i metafor, które wyszły mi wtedy szczególnie dobrze. Jednak zdany byłem tylko na siebie.

Opracowałem więc prezentację komputerową, a przed spotkaniem sprawdziłem kilkakrotnie, czy mój laptop współpracuje z rzutnikiem. Wbrew pozorom to kluczowe zagadnienie. Często zaniebywane jako nieistotny techniczny detal, staje się źródłem upadku największych sław uniwersyteckiego świata. Kiedy wszystko było dopięte na ostatni guzik, pozostawało tylko czekać.

Nie wspominałem o tym wcześniej, ale spotkania u dziekana zazwyczaj były dość nudne i miały charakter urzędowy. Wyjątek stanowiło to jedno, podczas którego miałem okazję przedstawić się wspólnocie akademickiej. Zazwyczaj jednak dyskutowaliśmy nad wytycznymi aparatu biurokratycznego, zaś intelektualne rozmowy zaczynały się dopiero w drodze na obiad w Brendan's Toe. Tym razem najważniejsze miało się wydarzyć już w gabinecie dziekana. To był ten czas i to miejsce. Przy jedzeniu nie skupiłbym uwagi żywych i pograżonych w indywidualnych dyskusjach intelektów.

Gdy przyszła odpowiednia pora, w gabinecie siedziałem więc jak na szpilkach. I kiedy nastąpiła krótka przerwa, przystąpiłem do ataku. Błyskotliwie przedstawiłem założenia projektu *Nowa Iona* i miałem podstawy sądzić, że zyskał on uznanie. Było ciemno, gdyż dla dobra prezentacji pozwoliłem sobie zaciągnąć kotary, więc nie mogłem śledzić reakcji na twarzach zebranych. Ale dochodzące do mnie pełne aprobaty chrząknięcia i ciche rozmowy, na bieżąco komentujące moje słowa, utwierdziły mnie w przekonaniu, że zamysł trafił na podatny grunt. Kiedy więc sekretarka dziekana odsłaniała okna i w zabytkowej sali na nowo zawitało światło szarego finnegańskiego dnia, miałem solidne podstawy oczekiwać, że za chwilę usłyszę brawa i gorące wyrazy aplauzu.

Niestety, tę wielką dla mnie chwilę zepsuł dziekan O'Grady, który przemówił jako pierwszy, nie dając innym szansy. Nie wiem, czy owego dnia był zmęczony, czy też z jakichś innych powodów nie potrafił się skupić na prezentacji, tak przecież przemyślanej i dopieszczonej. Szczerze mówiąc, nie spodziewałem się tego po nim, mając go do tej pory za człowieka, dla którego dobro nauki jest najważniejsze. Nie mogę powiedzieć, że O'Grady odrzucił mój projekt. Ale chyba stosowne będzie powiedzieć, że go zlekceważył. Zamiast dać się porwać wizji, której tak żarliwym orędownikiem się stałem, dziekan powściągnął mocno mój entuzjazm. Zamiast natychmiastowego powołania podzespołów w zaproponowanym przeze mnie kształcie – czego naturalnie oczekiwałem –

zapropował, by nad całością jeszcze raz siedli Haggis, Balzavour, O'Connell i ja. I kiedy ta grupa robocza uzna, że projekt wart jest dalszego procedowania, wrócimy do sprawy w przyszłości.

„Wart dalszego procedowania” – te słowa wbiły się w moje serce jak cierń. Cała nadzieja w tym, że do grupy roboczej dziekan powołał moich serdecznych przyjaciół, z którymi nieraz prowadziliśmy przy piwie ożywione i owocne dysputy. Byłem przeto pewien, że wszystko jest na dobrej drodze.

Kiedy dziekan skończył, zrozumiałem, że to ja wygram tę batalię: Haggis, O'Connell i Balzavour jęknęli bowiem z rozczarowaniem, słysząc swe nazwiska w tym kontekście. Oni też uważali, że te „robocze spotkania” pozbawione są sensu i właśnie głośno swoje zdanie wyrazili. Dostrzegli bowiem to, co było oczywiste dla każdego w sali poza biednym O'Grady: projekt *Nowa Iona* trzeba wcielić w życie od razu, bez żadnych opóźnień i dodatkowych dyskusji. Przejąłem więc inicjatywę i z miejsca wyznaczyłem trzy dwugodzinne spotkania grupy roboczej na najbliższy tydzień. Przygotowałem się, znałem na pamięć rozkład dnia każdego z członków (*fellows*). O'Grady był bezradny.

Uczciwość wymaga, żebym wspomniał, iż mój gniew na naszego dziekana szybko minął. Zrozumiałem, że podczas zebrania w jego gabinecie poniosły mnie emocje i dlatego zareagowałem tak impulsywnie. Jednak w drodze do restauracji nieco ochłonąłem.

Podczas obiadu, kiedy jedliśmy wyborne steki z halibuta, obserwowałem Patricka O'Grady'ego i zaczynałem go rozumieć. Miał na głowie cały St. Brendan College, przez jego biurko codziennie przewijały się dziesiątki dokumentów, petycji, podań. Był odpowiedzialny za naukę i dydaktykę uniwersytetu, za wykładowców i studentów, za budżet i pracowników administracji. Na takim stanowisku rzadko pojawiają się osoby, które kierują się chwilowymi emocjami. O'Grady musiał zachować dystans, gdyż inaczej spaliłby się jak ćma, co zbyt blisko podleci do ognia. Przez te wszystkie lata wytworzył wokół siebie barierę ochronną, założył zbroję i niczym nosorożec uodpornił się na zmienność nastrojów swoich i kadry. Dlatego był tak dobrym dziekanem.

Patrzyłem na niego przez stół, jak żartował z kolegami, wznosił toasty. I głęboko wierzyłem, że kiedy emocje opadną, to w Patricku O'Grady uczone zwycięży nad urzędnikiem, a projekt *Nowa Iona* dostanie pełne poparcie.

Inaczej sobie wyobrażałem tamten dzień. Ale ostatecznie kładłem się do łóżka ze spokojem. Wiedziałem, że tu, na Finneganach, intelekt w końcu zatriumfuje.

## O tweedowej marynarce

Być może do tej pory nie zaakcentowałem tego wystarczająco dobitnie, ale tweed odgrywał w życiu Finnegańczyków rolę szczególną. Dla mnie jego świat był tajemniczy i nowy, gdyż przed przyjazdem do Newport nie odróżniałem tej tkaniny od innych odmian wełny. Wyznam ze wstydem, że choć znałem nazwę, to posługiwałem się nią nonszalancko i niepoprawnie. Dopiero na Wyspach otworzyły mi się oczy.

Odwiedzałem coraz częściej sklep pana Howlina, przesiadywałem tam godzinami i słuchałem długich opowieści o wełnie, etapach jej produkcji, odmianach wzoru i całej tradycji, której nie waham się nazwać „kulturą tweedu”. Dla Finnegańczyków tweed jest jak wino dla Włochów: znają jego apelacje i denominacje, potrafią odróżniać roczniki i odmiany, nikt nie oszuka ich co do jakości i ceny. Wsłuchując się w zaflegmiony głos dobrego pana Howlina, powoli odkrywałem te nowe terytoria. Przyznam nawet, że pierwotnie zamierzałem zatytułować te wspomnienia *Ziemia tweedu* lub po prostu *Tweedowy archipelag*. Jednak odstąpiłem od tego zamysłu z różnych powodów, o których nie chcę teraz pisać.

Stałem się już, czego zapewne nie przeoczył wnikliwy czytelnik tej chaotycznej pisaniny, posiadaczem wspaniałego kaszkietu w kolorze butelkowej zieleni (wzór „w śledzik”). Do całego zagadnienia wracam jednak z innego powodu. Otóż na drugi dzień po prezentacji projektu *Nowa Iona* miało miejsce wydarzenie, które napełniło mnie dumą. Przez cały czas pobytu na Finneganach czułem się niegodny posiadania tweedowej marynarki. Ubierali się tu w nie wszyscy: rybacy i uczeni. Nawet kobiety posiadały charakterystyczne żakiety, które nosiły dumnie na uniwersyteckich korytarzach. Ja przywiozłem na Wyspę jedną sztruksową marynarkę, kilka flanelowych koszul i dwa swetry. Tym skromnym odzieniem wyraźnie odstawałem od reszty. Jednak w głębi serca czułem – choć nie potrafiłem tego uzasadnić – że muszę czekać.

I wtedy właśnie, w dzień po mej sławetnej prezentacji, miała miejsce scena, którą traktuję jako swoiste pasowanie na rycerza. Oto zmierzałem wzdłuż Main Street w stronę uniwersytetu, kiedy minąłem się z Lewem Michajłowiczem Protopopowem. Ponieważ nie był sam, dlatego nie chciałem się narzucać, więc wymieniliśmy tylko ukłony (uniosłem oczywiście mój kaszkiet). Wydawało mi się, że każdy ruszy w swoją stronę, ale nagle osadził mnie w miejscu jego mocny, dźwięczny głos:

– Drogi kolego, niechże pan sobie wreszcie kupi tweedową marynarkę pasującą do pana figury!

I ruszył dalej, nie czekając na moją odpowiedź. Zastygłem w miejscu. Lew Michajłowicz powiedział tylko tyle i aż tyle. W tym jednym zdaniu kryło się wszystko. Oto on, wielki humanista, uznał mnie za godnego przyjęcia do wspólnoty finnegańskich akademików! Uznał po mojej prezentacji, że zasługuję, by w pełni uczestniczyć w życiu St. Brendan. Przecież tweedowa marynarka była jak toga sędziego, jak infuła biskupa, jak mundur oficera! I oto ten nestor finnegańskich uczonych uroczyście i przy świadkach



wzywa mnie do przywdziania stosownej szaty.

Nie znajduję słów, by opisać swą radość! Powiem tylko tyle, że po tym trudnym tygodniu wytężonej pracy spotkała mnie nagroda, na jaką nie śmiałem nawet liczyć. Niech myśli co chce dziekan O'Grady, ale Lesław Srebroń od dziś będzie chodził dumnie w tweedowej marynarce!

Następnego dnia po tym krótkim, lecz znaczącym spotkaniu, zaraz po śniadaniu zbiegłem do sklepu pana Howlina i zacząłem buszować przy wieszaku, który wcześniej z wiadomych powodów z szacunkiem omijałem. Teraz mogłem baraszkować z rozkoszą w tych regionach sklepu, gdzie rzędami wisały wszystkie te wspaniałe marynarki! Przymierzyłem ich tuzin, od wzorów i kolorów rozboleła mnie głowa. Wreszcie wybrałem najlepiej leżącą – beżowy donegal z pomarańczowymi i brązowymi ciapkami. Pan Howlin podszedł, poprawił, pozaznaczał kredą konieczne przeróbki i zniknął na zapleczu. Kiedy wychodziłem, słyszałem terkot starej maszyny. I wiedziałem, że na następne spotkanie u dziekana przyjdę ubrany jak prawdziwy uczonek, prawdziwy Finnegańczyk.

Wizyta w sklepie wprawiła mnie w dobry nastrój. Inaczej spojrzałem na rzeczywistość, nawet wydarzenia poprzedniego dnia ukazały mi się w innym świetle. A może po prostu dziekan O'Grady był zmęczony, znudzony papierkową robotą? Może trafiłem w złym momencie ze swą prezentacją, stąd jego chłód? Postanowiłem, że muszę poczekać kilka dni, aż się wszystko uspokoi, i odwiedzić go, aby jeszcze raz – tylko on i ja – przedyskutować zarys *Nowej Iony*. To mądry człowiek, na pewno da się przekonać, kiedy zobaczy wielkość mego zamierzenia.

## O Dionisie z Iraklionu

W chwilach życiowej niepewności najlepiej trzymać się pewnego porządku. Dla mnie był to rozkład dnia, który przybiłem pinezką na drzwiach swojego pokoju. Spojrzałem na niego i zrozumiałem: jestem nie tylko naukowcem, ale też nauczycielem. Moi studenci mnie potrzebują i żadne przejściowe zawirowania nie mogą wpłynąć negatywnie na przebieg procesu dydaktycznego. Dlatego prosto od pana Howlina ruszyłem na uniwersytet.

Studenci czekali w skupieniu, gdyż poprzedni wykład przerwałem w miejscu, które rozbudziło ich oczekiwania. Niczym wytrawny gawędziarz, który zawiesza swą opowieść na kilka sekund przed wyjaśnieniem fabularnej zagadki, tak ja, kierując się intuicją i wieloletnim doświadczeniem, w podobny sposób przykułem uwagę słuchaczy.

Zastąpiłem drogich uczniów wertujących internet. Poszukiwali w sieci streszczeń powieści Włócznika (zostali na cały tydzień z pytaniem, co spotkało brata i siostrę z *Dziesięciu lat wakacji* po ucieczce z domu). Wątpię jednak, by takie bryki w ogóle istniały, gdyż dokonanie jakiegokolwiek sensownego *résumé* powieści Filipa Włócznika wymaga nieco większego kunsztu niż opracowanie *Potopu* czy *Pana Tadeusza*, gdzie wydarzenia podane są jak na tacy. A gdyby nawet istniały, to przecież moi biedni wychowankowie nie znali języka polskiego. Byli skazani na mnie i ja ich nie zawiodłem. Podjąłem opowieść, a oni słuchali z zamkniętymi oczami, jakby chcąc sobie wyobrazić odległe krajobrazy południowej Polski.

Mówiąc, patrzyłem na naszego wesołego Greka. Marszczył brwi, otwierał usta, słuchał z wysiłkiem moich słów. Jego angielszczyzna pozostawiała wiele do życzenia i nie jestem pewien, czy cokolwiek rozumiał. Mimo że posługiwałem się nienagannym oksfordzkim akcentem (który trenowałem latami), oczy Dionisa z Iraklionu pozostawały nieprzeniknione. Wysławiał się też z dużymi problemami, posługując się prostym słownictwem i topornymi strukturami gramatycznymi. Nie chcę być złośliwy, ale wierne przytoczenie jego angielszczyzny wyglądałoby na kolonialną karykaturę. Kiedy już mówił, długo zastanawiał się na kolejnym zdaniem – mylił się, cofał, próbował gestykulować. Patrząc na niego, zrozumiałem, jak ważny jest język. Nie wątpiłem, że w tym chłopaku drzemie żywa inteligencja (był obdarzony zresztą znakomitym talentem mimicznym – kiedy naśladował dziekana O’Grady’ego, wszyscy z trudem tłumiliśmy śmiech). Zapewne u siebie uchodził za bystrego; wiem, że wiele czytał i pracował nad magisterium o wpływie presokratyków na Jana Szkota Eriugenę – stąd wybór Finneganów. Jednak kiedy dukał na moich spotkaniach, było mi go żal, bo sprawiał wrażenie ograniczonego intelektualnie.

Wstydziałem się swej niepochlebnej oceny, ale jedyne, co mogłem zrobić, to mu jej oszczędzić. Jeśli rzeczywiście był tak inteligentny, jak mi się wydawało, sam najlepiej rozumiał swoją żalną sytuację.

Z początku, nie wiedząc jeszcze o tych ograniczeniach, chciałem wyciągnąć go na

dłuższą rozmowę o greckiej filozofii. Miałem nadzieję, że jako rodowity Grek udzieli mi paru cennych wskazówek. Zagadnąłem go konkretnie o sto dziewiętnasty fragment Heraklita. Poprawił najpierw uprzejmie moją wymowę, za co byłem mu wdzięczny. A potem długo się męczył, by przekazać swą wiedzę, co chwila wznosząc oczy do nieba i bezradnie wypuszczając powietrze.

W gruncie rzeczy byliśmy, jak się okazało, w bardzo podobnej sytuacji: ja w Grecji miałbym podobne problemy jak on tutaj. Ale znajdowaliśmy się na Finneganach i to ja dysponowałem oksfordzkim akcentem. Dionis był miły i przystojny, chętnie patrzyliśmy na jego parodie i przedstawiane dłońmi historie. Jednak podczas rzeczowych dyskusji wyłączał się i pogrążał w swoim świecie. Wesoły, bezradny Dionis z Iraklionu.

Mimo wszystko go lubiłem.

## O małej, niskiej zazdrości

Po wykładzie postanowiłem kuć żelazo, póki gorące. Po co czekać kilka dni? Trzeba od razu porozmawiać z dziekanem, przedstawić mu sprawę jeszcze raz. Zrozumie, zachwyci się, trzeba dać mu szansę. Poczekalem, aż studenci wyjdą, po czym ruszyłem prosto do jego gabinetu.

Ale przed samymi drzwiami ogarnęły mnie wątpliwości. Już miałem nacisnąć klamkę, kiedy zrozumiałem nagle, o co w tym wszystkim chodzi. To nie kwestia zmęczenia ani biurokratycznej drzemki! Zrozumiałem, że Patrick O’Grady zwyczajnie poczuł się urażony moim wystąpieniem. Kiedy zacząłem mówić podczas wczorajszego spotkania, pojął od razu, że na jego oczach rodzi się wielki projekt. I ukłuło go uczucie zazdrości: dlaczego nie przyszedłem najpierw do niego, dlaczego nie omówiłem całej sprawy w cztery oczy? Okazałbym wtedy lojalność, a on poczułby się dowartościowany – wszak w St. Brendan nic nie dzieje się bez jego wiedzy. Lecz ja ominąłem tę drogę i objawiłem swe rewelacje od razu wszystkim. Tym samym upokorzyłem dziekana, to jest najlepsze słowo. Więc chciał mi dać nauczkę, lekceważąc projekt.

Mała, ludzka zazdrość, która o mały włos nie zniszczyła jednego z najważniejszych zamierzeń badawczych ostatnich lat! Oczywiście wizyta u dziekana nie miała teraz sensu, było za późno. Musiałem zaangażować się w prace grupy roboczej, przekonać ich wszystkich (choć nie wątpiłem, że są już przekonani, ich reakcja podczas zebrania nie pozostawiała wątpliwości) i uderzyć raz jeszcze, grając w grę O’Grady’ego. Chce zespołu roboczego, to go dostanie! I wtedy nie będzie mógł nic zrobić; przyprzemy go do muru. Wiedziałem, że wraz z moimi wiernymi druhami zwyciężę.

Zamiast do dziekanatu, ruszyłem na spacer. Musiałem uporządkować myśli, opracować strategię. Protopopow był po mojej stronie – nie mógł tego wyrazić jaśniej, niż sugerując mi zakup tweedowej marynarki. Haggis, O’Connell i pocziwy Balzavour również jednoznacznie popierali *Nową Ionę* – cały czas miałem przed oczami ich reakcję, kiedy O’Grady zaatakował projekt. Sadhbh mi ufa, Jadranka ufa Protopopowi. Reszta natomiast da się przekonać siłą argumentów. Dziekan był bez szans. Poszedłem coś zjeść i wróciłem na uniwersytet, gdzie miało się odbyć pierwsze spotkanie grupy roboczej.

Czekałem pół godziny, lecz nikt się nie pojawił. Pewnie nie zdążyli zanotować godziny, wczoraj atmosfera była tak gorąca, że to zupełnie zrozumiałe. Postanowiłem, że wszystkim wyznaczonym przez dziekana osobom napiszę e-maila z przypomnieniem o następnym spotkaniu, które miało nastąpić za dwa dni, i po godzinie czekania wróciłem do domu.

## O beczynności

Następnego dnia po śniadaniu odwiedziłem pana Howlina, lecz ku mojemu rozczarowaniu marynarka nie była jeszcze gotowa. Nie miałem marynarki, od spotkania zespołu roboczego dzieliły mnie godziny, miotałem się jak dziki zwierz. Oczekiwanie jest najgorsze – te kapiące leniwie minuty, zegarki, które zastygają. Nie mogłem czytać, wzrok odpadał od lektury, nie mogłem pisać, bo przecież projekt *Nowej Iony* został tak wyczelowany przez ostatni tydzień, że nie dało się w nim poprawić ani przecinka.

Nie mogłem pracować, nie mogłem odpoczywać, poszedłem więc do pubu starego Toby'ego i zamówiłem piwo. Było południe, lokal pełny. Radosny gwar uspokoił mnie na chwilę, oderwałem się od problemów. Dla zabicia czasu zacząłem swoim zwyczajem uważnie obserwować miejscowych. Siedzieli normalne, popijali piwo, rozmawiali lub milczeli. Starąłem się czytać z nich jak z książki, gdyż mam pewną umiejętność poznawania drugiego człowieka mimo jego woli. Z gestów, zachowań i słów wnikliwy obserwator może dowiedzieć się więcej o swym bliźnim niż ksiądz w konfesjonale. Oczywiście trzeba się skupić i bacznie obserwować, trzeba wiedzieć, czego się szuka, i umieć łączyć ze sobą drobne fakty. To umiejętność, którą się ćwiczy latami, ale doskonalona, przynosi znakomite efekty.

Tamtego dnia odkryłem coś, co do tej pory umykało wszystkim. Wielu finnegaińscy rybacy większość swego czasu spędzali w pubach. Nie wypływali w morze, nie spędzali na swych kutrach długich dni z dala od domu. Widziałem miejscowych mężczyzn dzień w dzień pochylonych nad szklanką piwa, rumianych i roześmianych, choć oczy mieli zmęczone i zmętnione alkoholem. Nikt tego nie zauważył. Z czego żyli? Dlaczego nie łowili ryb? Co musiało wydarzyć się w ich życiu, że nagle porzucili to, co było im drogie, wyniesione z domu rodzinnego: miłość do morza i męskiej przygody? Pochyleni nad piwem, byli jak przetrąceni, kalecy w niewidoczny sposób.

Dopiłem guinnessa i szybko wróciłem do domu, by zanotować swe spostrzeżenia. Czy dostrzegł to Jeremy O'Connell, słynny znawca obyczajów ludzi z wysp? Nie. Doszedł do tego skromny polski badacz twórczości Filipa Włócznika, doktor Lesław Srebroń. Notowałem jak szalony, gdyż oprócz obserwacji miałem w głowie kilka hipotez i całe ciągi analiz. Palce ledwo nadążały za rączką myśłą. Może będzie z tego artykuł? Może choć akademicka polemika z O'Connellem w lokalnych *discussing papers*? W głowie pojawiały się różne myśli, na tyle gęste i intensywne, że niemal zapomniałem o *Nowej Ionie*.

A może zazdrość dziekana O'Grady'ego poszła dalej? Może zwołując krzywdzącą dla mego projektu (i jego autora) grupę roboczą, zamierzał zyskać cenny czas? Świat akademicki zna takie przypadki. Ktoś wpada na genialny pomysł, zwierzchnicy studzą jego entuzjazm, wmawiając mu, że z pomysłem coś nie tak, po czym sami opracowują ukradziony temat i sięgają po niezasłużone zaszczyty.

Zobaczyłem to w nagłym, bolesnym rozbłysku: podczas gdy ja miotałem się beczynnie po Newport, w gabinecie dziekana O'Grady'ego nie gaśnie światło, gdyż

szczwany lis, upokorzony – we własnym mniemaniu – przez podwładnego, „poprawia” jego projekt, kopiując niemal w stu procentach moje propozycje. Oczywiście nic nie kradnie wprost, to świat uniwersytetu, tu wykańcza się konkurencję w białych rękawiczkach.

Wiem, jak to się rozegra. Za kilka tygodni dziekan wróci do projektu, przypomni go naszej wspólnotce, pochwali, ale i zasugeruje pewne zmiany, i w końcu do komisji europejskich pójdzie wniosek podpisany już tylko jego nazwiskiem. Ja zostanę odnotowany jako „ten, bez inspiracji i wsparcia którego nic by nie wyszło”, jak jakaś żona czy nauczyciel ze szkoły podstawowej.

Musiałem działać.

## O trzeciej dłoni

Przerwałem spisywanie refleksji o życiu Finnegańczyków i pogrążyłem się w ponurych myślach. Dopiero w ostatniej chwili przypomniałem sobie, że tego wieczoru muszę wesprzeć Sadhbh O’Sullivan w jej badaniach. Odświeżyłem się więc, przebrałem i ruszyłem na Slam Row, gdzie – jak się miało okazać – czekała mnie wielka niespodzianka i zagadka, której nie udało mi się nigdy rozwikłać.

Sadhbh przywitała mnie w szlafroku. Pachniała kąpielą, a jej włosy były wilgotne. Ubranie opięło się na mokrym ciele. Z góry dochodziła cicha muzyka, a w łazience szemrała woda.

– Obiecuj, że dziś będziesz wykonywał moje polecenia – odezwała się niskim głosem. – To ważne dla badań.

– Wiesz przecież, że jestem człowiekiem nauki.

– Dziś tylko jeden zakaz. Zawiążę ci oczy, a ty możesz robić wszystko, tylko nie ściągaj opaski. To ważny eksperyment!

Zapewniłem, że ani w głowie mi nieetyczne naukowo zachowania, i Sadhbh przewiązała mi oczy jedwabną chustą. Potem poprowadziła na górę i łagodnie rzuciła na łóżko. W pokoju było ciemno, zasłony szczelnie zaciągnięto i naprawdę nic nie widziałem. Irlandzka humanistka przywiązała mi nadgarstki do ramy łóżka i zaczęła mnie delikatnie dotykać. Z wolna byłem pozbawiany kolejnych warstw odzieży i po chwili leżałem nagi.

Poczułem jej dłoń na mojej twarzy i drugą, na klatce piersiowej. Nagle dotknęła mnie trzecia dłoń, dużo chłodniejsza, głaszcząc miło me pachwiny. Podskoczyłem zaskoczony i trwożliwie zapytałem Sadhbh, czy poza nami ktoś jeszcze jest w pokoju.

Zaprzeczyła, a ja nie miałem powodu jej nie wierzyć. W końcu profesor O’Sullivan znana była ze swej naukowej rzetelności. Od tamtej pory nie czułem dotyku trzech dłoni w tym samym czasie, choć kilka razy zdawało mi się, że te dwie, które mnie pieścą, nie należą do jednej osoby. Ta druga była drobniejsza, o smuklejszych palcach i najprawdopodobniej należała do młodej osoby płci żeńskiej, choć tu kieruję się tylko domysłami.

Dla dobra badań naukowych, prowadzonych niestrudzenie przez profesor O’Sullivan, nie będę opisywał szczegółów tamtego wieczoru. Zostawiam to domyślności czytelnika, mówiąc enigmatycznie tylko tyle, że cokolwiek sobie wyobrazi, nie będzie dalekie od prawdy.

Nagle poczułem, że ktoś wstaje z łóżka i kroki bosych stóp skrzypią po podłodze. Sadhbh przytuliła do mnie swe rozgrzane kształty. Drzwi do sypialni zamknęły się głośno.

Profesor O’Sullivan jeszcze chwilę bawiła się mną, po czym przywróciła mi wzrok. Kim była tajemnicza właścicielka trzeciej dłoni? Czy ktoś w ogóle tu był? Na to pytanie uczona nie chciała odpowiedzieć, uśmiechając się tajemniczo. Nie pytałem dłużej, gdyż zrozumiałem, że to część eksperymentu. Moja dociekliwość mogłaby zaburzyć wyniki, od

których tak wiele zależało. Ktokolwiek był z nami w sypialni, znalazł się tam za zgodą profesor O'Sullivan. To mi wystarczało.



## O tweedowej marynarce

Po śniadaniu udałem się od razu do sklepu pana Howlina, przygotowując sobie ostrą reprimendę na wypadek, gdyby robota nie była ukończona. Na szczęście dla nas obu nie musiałem sięgać po tak drastyczne środki, gdyż moja marynarka czekała gotowa. Leżała jak ulał, oglądałem się z zachwytem w lustrach, które pokazywały mnie z każdej strony. Wszystko bez zarzutu. Lew Michajłowicz Protopopow byłby ze mnie taki dumny!

Tego dnia długo spacerowałem ulicami Newport, zaglądając do sklepów, pubów, kilka razy zachodząc bez wyraźnego powodu do budynków St. Brendan. Chciałem w ten dyskretny sposób pokazać się wszystkim w nowym stroju, zademonstrować, że oto stałem się pełnoprawnym członkiem finnegańskiej braci. Widziałem niekłamane uznanie w oczach miejscowych kobiet i solidarność w spojrzeniu napotykanym mężczyzn. Byliśmy z jednej gliny, graliśmy w tej samej drużynie. Oto dziwny przybysz, który mówił z oksfordzkim akcentem i obserwował ich życie, stał się nagle jednym z nich. Z obserwatora zmienił się w obserwowanego.

Na uniwersytecie studenci, zbici w grupki, przyglądali mi się uważnie. Słyszałem, że w swoim gronie coś gorączkowo komentują. Nie dziwiłem się im; marynarka leżała znakomicie.

To był dobry dzień. Żałowałem tylko, że Lew Michajłowicz mnie nie widzi, lecz odwiedziłem wszystkie miejsca, w których bywał, i nigdzie go nie zastałem. Wypytywałem o niego dyskretnie, lecz wszyscy rozkładali ręce. Pewnie zaszły się w swej samotni, gdzie nie śmiałem wchodzić, i pracował nad czymś wielkim. Czułem, że niedługo objawi światu nowe dzieło, zwieńczenie dekad jego dociekań. Szkoda, że nie widział mnie tamtego dnia. Byłby dumny.

Kiedy już dałem wszystkim poznać, że sprawiłem sobie wreszcie marynarkę z finnegańskiego tweedu, wróciłem ponownie na uniwersytet, gdzie miało się odbyć kolejne, a w zasadzie pierwsze spotkanie grupy roboczej. Przyniosłem w teczce wszystkie moje dotychczasowe ustalenia, wydrukowane w pięciu kopiach: dla mnie, dla uczestników spotkania i dla ewentualnego niespodziewanego gościa (przypomnienie na wszelki wypadek puściłem e-mailem do wszystkich akademików). Liczyłem, że może ktoś spoza wyznaczonych przez dziekana uczonych zechce przyjść, przecież zebrania grupy roboczej nie były tajne.

Czekałem pół godziny, potem sprawdziłem na skrzynce, czy omyłkowo nie zaprosiłem wszystkich na inny termin. Nie, dzień się zgadzał, ale zczekałem jeszcze trzydzieści minut. Wreszcie musiałem uznać, że zebranie się nie odbędzie.

Nie sądziłem, że O'Grady posunie się do takich nieuczciwych chwytów. Nie tylko próbował mi ukraść projekt, ale jeszcze torpedował zebrania naszej grupy, którą uznał za konkurencję. Nie winiłem moich druhów, z którymi przecież pijałem piwo u starego Toby'ego. Zapewne chcieli przyjść, ale przebiegły dziekan w ostatniej chwili zlecił im coś pilnego, by nie mogli dotrzeć. Inaczej poinformowaliby mnie o tym. Działania tego lisa

były poniżej jakichkolwiek standardów. Wiedziałem, że Patrick O'Grady nie cofnie się przed niczym, by ukraść mi *Nową Ionę*. Musiałem walczyć.

Wróciłem do domu wściekły. Trzasnąłem drzwiami i rzuciłem nowiutką marynarkę w kąt. O'Grady zniszczył kolejny tak ważny dla mnie dzień. W moim „dzienniczku pokładowym” zanotowałem tamtego dnia trzy słowa: „Ohyda, ohyda, ohyda!”. To chyba mówi samo za siebie.

## O pięknym gościu przyjaźni

Rankiem do członków grupy roboczej ds. projektu *Nowa Iona* wysłałem (z kopią jawną do wszystkich pozostałych *fellows*) monit przypominający, że posiedzenia naszego gremium nie są moim kaprysem, tylko wyraźnym poleceniem dziekana Patricka O'Grady'ego. Tym samym obecność osób wyznaczonych przez niego jest nie tyle ich dobrą wolą, ile raczej służbowym obowiązkiem. E-mail poszedł w świat, a ja odetchnąłem z ulgą. Piłka była po tamtej stronie kortu. I co teraz, dziekanie O'Grady?

Na odpowiedź nie trzeba było długo czekać. Po południu odezwał się Haggis z lakoniczną, ale krzepiącą informacją, bym dla usprawnienia pracy zespołu przesłał dokładny opis projektu *Nowa Iona*. Nareszcie! Jednak wracała mi wiara w potęgę nauki. Moi koledzy nie pojawiali się na zebraniach nie z powodu własnego lenistwa czy też chytrych gierek dziekana, lecz poprzez moją własną głupotę! Jak mogłem zaniedbać tak ważną sprawę i nie wysłać im potrzebnych materiałów! Jeśli grupa robocza miała skutecznie działać, musiał funkcjonować sprawny przepływ informacji. Zrozumiałem zawstydenie tych uznanych uczonych, których przymuszałem do wzięcia udziału w posiedzeniu, do którego z mojej winy nie mogli się należycie przygotować.

Znam wielu, których by to nie zraziło; ale ich też nie cenię. Szanuję natomiast tych, którzy nie znoszą być niekompetentni. Trudno się więc dziwić, że zamiast pojawić się bez przygotowania na zebraniu, moi drodzy koledzy woleli zostać w domu. I wszystko to z powodu mojego niedopatrzenia! Cóż z tego, że wydrukowałem sobie jakieś materiały, skoro wcześniej nie dałem nikomu szansy do nich zajrzeć. Czułem się jak prowincjusz, który w erze komunikacji cyfrowej nadal trawi godziny przy rozgrzanej maszynie kserograficznej.

Nie tylko zatem mogłem się od nich uczyć rzetelności i perspektywicznego myślenia (którego mnie w tamtej chwili zabrakło), ale też taktu, gdyż nie poważyli się wypomnieć mi błędu, niepytani. Muszę przyznać, że ten gest druhów bardzo mnie ujął. I polubiłbym ich za to, gdyby nie fakt, że lubiłem ich już od samego początku. Czułem jednak, że nasza relacja została tym umocniona i pogłębiona.

Naturalnie od razu odpowiedziałem na e-mail Haggisa, przesyłając wszystkie informacje o *Nowej Ionie*, jakie znajdowały się w moim posiadaniu.

## O podróży do źródeł mądrości

Pokrzepiony tymi wieściami, postanowiłem jakoś to uczcić. Doświadczenie nauczyło mnie, że świętowanie jest znakomitym wynalazkiem człowieka, pozwalającym wzmocnić wspomnienia ważnych wydarzeń, aby móc się nimi radować w chwilach, w których dopadają nas demony.

Dlatego postanowiłem odwiedzić pub starego Toby'ego i pokrzepić się kilkoma pintami guinnessa. Jak można zauważyć po uważnej lekturze moich wspomnień, starałem się przestrzegać pewnych zasad, które sam ustaliłem, i nie nadużywać na Finneganach alkoholu. Z dumą muszę podkreślić, że generalnie pozostałem tym ustaleniom wierny, korzystając z dobrodziejstw fermentacji alkoholowej tylko w sytuacjach szczególnych, które swą mocą unieważniały ogólną regułę. Tak było i tym razem.

Z początku zaskoczeniem była dla mnie nieobecność w pubie kolegów, których o tej porze spotykałem przy stoliku i nieraz rozmawialiśmy długo na poważne tematy. Ale po chwili uświadomiłem sobie, że Haggis, O'Connell i pocziwy Balzavour nad miły czas spędzany w pubie przedkładają uważną lekturę *Nowej Iony*. Podczas gdy ja świętowałem pierwszy sukces związany z projektem, oni w swych gabinetach, przy słabym świetle, przedzierałi się przez stronicę mych analiz, opracowań i sugestii. Podziwiałem ich za to i nawet przepiłem do starego Toby'ego ich zdrowie.

Po kilku pintach (ich dokładna ilość została odnotowana w moim „dzienniczku pokładowym”, ale uznałem za niestosowne, by zanudzać czytelników tak drobiazgowymi i zbędnymi dla istoty sprawy informacjami) postanowiłem odwiedzić profesora Protopopowa. Nie widziałem go od kilku dni w Newport, nie wiedziałem też nic o jego ewentualnym wyjeździe. Dlatego zacząłem się trochę martwić.

Mógłbym wprawdzie skłamać, że kierowany głównie tym niepokojem, pobiegłem do St. Brendan, by sprawdzić, czy Lew Michajłowicz jest w swym mieszkaniu i czy nic mu się nie stało. Lecz obiecałem czytelnikom i sobie absolutną szczerłość, choćby ta była bolesna lub stawiała mnie w niezbyt korzystnym świetle. Ufam bowiem, że prawdomówność jest w opowieści źródłem światła najjaśniejszego, które potrafi przyćmić wszystkie owe łojowe ogarki i błędne ogniki konfabulacji. Dlatego wyznaję, że równie mocno chciałem się pokazać wielkiemu humaniście w mej nowej tweedowej marynarce, którą oczywiście miałem znów na sobie.

Wylewnie pożegnałem się z zycznym gospodarzem lokalu Pod Lwem i ruszyłem w górę Main Street. Ulice były puste, ani śladu finnegańskich uczonych. Zapewne pracowali wytrwale nad swymi badaniami, aby wygospodarować czas na nasz wspólny projekt. Dotarłem do budynku uniwersytetu i udałem się prosto do skrzydła przeznaczonego na apartamenty zasłużonych wykładowców.

Dopiero przed drzwiami uświadomiłem sobie, na co się poważyłem. Ośmielony kilkoma haustami piwa, postanowiłem bez zaproszenia odwiedzić same źródło mądrości, pilnie strzeżone prywatne pokoje Lwa Michajłowicza Protopopowa. Zawróciłem więc i

szybkim krokiem skierowałem się w stronę schodów. Jednak na półpiętrze zrozumiałem, że to być może wskazanie losu. Oto kroki same zawiodły mnie pod bramy tej stolicy mądrości, a ja teraz uciekam jak złodziej.

Zawróciłem więc, wziąłem głęboki oddech i zapukałem do drzwi. Po chwili usłyszałem ciche i zdziwione zaproszenie do środka. Nacisnąłem klamkę i znalazłem się po raz pierwszy w życiu w miejscu, gdzie żył i tworzył wielki rosyjski uczoney. Stałem w progu i oniemiałem. Nie sądziłem, że zrobi to na mnie aż takie wrażenie. Gotycka sala zastawiona gustownymi meblami, pod ścianami regały z książkami i szafy przedwojennej roboty. Na fotelu, w głębi pokoju, siedział swobodnie Lew Michajłowicz Protopopow.

Nie spodziewał się wizyty. Niemniej i tak zaskoczył mnie fakt, że ten elegancki dżentelmen nie dość, że po domu chadza w luźnym szlafroku, to jeszcze przyjmuje tak gości. Od dawna jednak powinienem wiedzieć, że wielkie indywidualności w pogardzie mają formy zachowań stosowne dla zwykłych śmiertelników.

– Cóż sprowadza drogiego kolegę? – przywitał mnie familiarnie.

Zrobiłem kilka kroków w jego stronę, poprawiłem marynarkę, po czym obróciłem się kilka razy.

– A, bardzo ładnie. Czy coś jeszcze?

– Nie, ja chciałem tylko...

– W takim razie nie zatrzymuję, zapewne ma pan dużo roboty przy ratowaniu cywilizacji. Choć skoro pan już przyszedł, drogi kolego, to może pan poratować przez chwilę ten skromny paproszek cywilizacji Zachodu, którym jestem ja sam.

Pokraśniałem z dumy. Oto wielki Lew Michajłowicz prosi mnie o pomoc! Skinąłem głową.

– Znakomicie. W łazience znajdzie pan miednicę i szare mydło. – Wskazał palcem drzwi po swojej lewej stronie. – W kuchni wrzątek i tarkę. – Tym razem palcem drugiej ręki wskazał drzwi po prawej.

A wszystko to robił, nie przerywając lektury książki, którą miał rozłożoną na kolanach. Byłem pod wrażeniem takiej podzielności uwagi. Otrzymałem zadanie przygotowania gorących mydlin, w których wielki humanista zanurzy swe stopy, dotknięte przykrą przypadłością wrastających paznokci.

– Ta maść od pani O'Neill jednak nie za bardzo działa – wyjaśnił i zaniósł się kaszlem.

W lot złowiłem metaforę, błyskotliwe nawiązanie do jednej z naszych poprzednich rozmów: wysokie nie zawsze spotyka się z niskim, zdawał się mówić Protopopow. Pomogłem mu ściągnąć pantofle oraz skarpetki i umieściłem te pomarszczone, poznaczone żyłakami nogi w miednicy. Ileż kilometrów przemierzyły, ileż dróg pokonały! Teraz słabe, zmęczone i potrzebujące wsparcia, niegdyś nosiły chyżo swego właściciela po ulicach miast całego świata!

– Jest pan wolny – powiedział Lew Michajłowicz, mrużąc błogo.

– Będę pana odwiedzał, mistrzu.

– Nie zmuszam.

Pozegnaliśmy się. Do swego pokoiku wracałem wypełniony radością i pokojem. Lew Michajłowicz nie tylko przyjął mnie w swym mieszkaniu, ale też pozwolił sobie pomóc i dał mi przy okazji pretekst do przyglądnięcia się miejscu, w którym mieszkał. Z układu pomieszczeń zorientowałem się, że wielki pokój stanowi jedyne pomieszczenie mieszkalne w apartamencie (kuchni i łazienki nie liczę). W głębi stało skromne łóżko, zaś na środku fotele, gdzie można było zasiąść i przyjmować gości. Nie miałem okazji rozglądać się dokładnie, ale zauważyłem, że w mieszkaniu Lwa Michajłowicza niewiele jest książek. To mnie z początku zaskoczyło, ale szybko zrozumiałem, że taki umysł nie potrzebuje podręcznej biblioteki, gdyż nosi ją we własnej głowie. Zauważyłem tylko jedną półkę współczesnych rosyjskich kryminałów. Książkę tego rodzaju zauważyłem też na jego kolanach. A zatem pracował nad strukturą powieści detektywistycznej! Nie mogłem się doczekać tej monografii i po cichu liczyłem, że ze względu na koleżeńskie relacje pozwoli mi poznać swe dzieło jeszcze przed ogłoszeniem go drukiem.

Sam zajmowałem się kiedyś tym zagadnieniem, opublikowałem nawet obszerne i wnikliwe studium o rozwoju postaci Sherlocka Holmesa w dwudziestowiecznej kulturze. Nie wykluczałem nawet, że Lew Michajłowicz dotarł do tej pracy i tym właśnie faktem mogę tłumaczyć jego życzliwość względem mojej osoby.

Nie uszło też mojej uwagi, że wszędzie w apartamencie Protopopowa można znaleźć ślady sztuki fajczarskiej: fajki, upychacze, puszki tytoniu i brudne wyciory nonszalancko porozrzucane na dywanie. Postanowiłem, że zamówię przez internet podstawowy zestaw dla początkującego fajczarza (niestety, na Finneganach nie było specjalistycznego sklepu) i zacznę zgłębiać tajniki tej właściwej intelektualistom sztuki. Zdziwiłem się nawet, że wcześniej o tym nie pomyślałem.

I tak, mimo ponurych chmur o poranku, mój dzień kończył się nadspodziewanie dobrze. Co tylko potwierdzało znaną w całym świecie maksymę finnegañskich rybaków.

## O Llewellynie z Cardiff

Dochodziłem już do mieszkania, kiedy dostrzegłem tajemniczą postać, która stała przed oknami pubu starego Toby'ego i przyglądała się zebranym w środku ludziom. Na ulicę wysypywały się śmiechy i niewyraźne słowa, a postać stała bez ruchu. Zdziwiło mnie to niecodzienne zachowanie, ale uznawszy je za nieszkodliwe, wszedłem do domu pani Magee. Wszelako z okna swego pokoiku zauważyłem, że ten obrócony do mnie plecami podglądacz nie ruszył się nawet o centymetr. Zająłem się zatem własnymi sprawami, zerkając jednak co chwilę z zaciekawieniem.

Po kwadransie postać drgnęła i ruszyła w górę Main Street. W świetle latarni ze zdziwieniem rozpoznałem twarz jednego z moich studentów, a mianowicie cichego Walijczyka.

Llewellyn z Cardiff udaje wycofanego i nieobecnego, jakby w ogóle nie interesowało go to, co się dzieje wokół. Milczy, unika konfrontacji, manifestuje swoją odrębność. Swoją mimiką daje do zrozumienia, że jest ponad to wszystko: ponad wykłady, uniwersytet, swoich kolegów, nawet ponad mnie. Wielki intelektualista zmuszony przez system do zrobienia dyplomu. Llewellyn robi go, ale chce pokazać innym, jak bardzo mu nie zależy.

W rzeczywistości jednak jest przestraszonym młodym człowiekiem, na tyle nieśmiałym, że boi się podejść do rówieśników i zagadać, choć bardzo by chciał. Stoi na uboczu i czeka, aż ktoś sam nawiąże rozmowę. Gdyby mu nie zależało, szedłby od razu do domu, a nie wyczekiwał w niedalekiej odległości od reszty. Młodzieniec z Cardiff chce, by wszyscy widzieli jego obojętność.

Wydaje mu się, że jest Jimem Morrisonem Finneganów, a jest smutnym chłopaczkiem, który boi się kobiet. Trudno mu się zresztą dziwić, gdyż ten pryszczaty karzełek nie ma nikomu nic do zaoferowania. Jest odrażający, ma odstające uszy i wodniste spojrzenie. Dopóki nic nie mówi, może sprawiać iluzję inteligentnego, bo niektórym się wydaje, że brzydcy muszą być inteligentni, coś przecież muszą mieć w sobie w zamian. Ale kiedy się tylko odezwie, widać, że nie ma nic do powiedzenia; może tylko banały z piosenek swoich idoli, którymi się pyszni, bo różnią się od wybrańców jego pokolenia. Dawni, przebrzmiali bohaterowie lat sześćdziesiątych pozwalają mu łaskawie na pokątny kult, który ma go uczynić – w jego własnych oczach – lepszym i dojrzalszym. Ale nie wie, że nie tylko ja widzę te żalosne próby zaistnienia, ale jego gra jest także czytelna dla moich pozostałych studentów. Oni wyrosli z Lennonów i Morrisonów, teraz zajmują się nauką, zajmują się Filipem Włócznikiem. On nie i zapewne kopiuje sposoby zachowań tych, których podziwiał w szkole średniej.

Po zajęciach my ruszamy na przegrzebki do portu, a Llewellyn Walijczyk demonstracyjnie kieruje się w drugą stronę. Ale widziałem go na nabrzeżu, jak spacerował i zaglądał przez szybę do knajpki, w której siedzieliśmy. Kiedy przyjacielskim gestem zaprosiłem go do środka, uciekł przerażony. Mam nadzieję, że z tego wyrośnie, bo inaczej

skończy w niechcianej samotności i umrze młodo, musząc jednak donosić swoje ciało do późnej, biologicznej śmierci.

Przy tej okazji nie sposób nie wspomnieć o jeszcze jednej sprawie, która wprawdzie nie należy bezpośrednio do mentalnej charakterystyki Llewellyna z Cardiff, ale rzuca na jego postać nowe światło. Otóż milczący Walijszyk wydierał specyficzną woń, wyczuwalną w promieniu kilku metrów. Nie był to zapach niemytego ciała, zresztą o obyczajach higienicznych Llewellyna niewiele mi wiadomo. Zaryzykowałbym raczej tezę, że ów aromat pochodził z jego odzieży, zwłaszcza warstw wierzchnich. Chodzi o szczególne połączenie wilgoci i starości, właściwe przedmiotom, zwłaszcza tkaninom, przechowywanym długo na zawilgoconym strychu. Woń ta bywa nazywana potocznie zapachem starzyzny.

Jednak celniejsza deskrypcja wyrwała się kiedyś Margaret z Yorku (była to jedna z nielicznych wyrażonych głośno samodzielnych myśli tej młodej dziewczyny, więc ją zapamiętałem). Kiedyś zauważyła ona, że za Llewellynem ciągnie się silnie wyczuwalny odór śmierci. Lepiej bym tego nie ujął.

Odprowadziłem wzrokiem przygarbionego chłopca, który odkleiwszy nos od szyby pubu starego Toby'ego, ruszył w bladej poświacie latarni w kierunku portu. Gdzie mieszkał? Czy znalazł swoje miejsce w akademiku przy St. Brendan? Z kim dzielił pokój? Na te pytania nie znałem odpowiedzi.



## O ulicach Petersburga

Przeoglądam te wspomnienia, które rozrosły się w wielowątkową i wielopłaszczyznową opowieść. I rzuca mi się w oczy coś, czego nie zauważałem wcześniej, podczas ich spisywania.

Otóż udało mi się nieświadomie oddać ciasną, duszną atmosferę miasteczka Newport. Akcja rozgrywa się w tych kilku miejscach, co stwarza klimat osaczenia: Main Street, pub starego Toby'ego, St. Brendan, port, Slam Row. Bohater – czyli ja, doktor Lesław Srebroń – miota się pomiędzy tymi punktami na mapie jak zwierzę w potrzasku. Jakby nie mógł wyrwać się z zaklętego kręgu tych kilku adresów. Czasem daję mu chwilę wytchnienia, pozwalając pohasać po północnych pustkowiach, ale na ogół trzymam go na krótkiej smyczy: w dół Main Street, w górę Main Street, na uniwersytet, do pubu, do domu, do sklepu pana Howlina.

Spodobał mi się ten wyczarowany prostymi środkami literackimi nastrój, który przypomniiał mi osaczenie innego bohatera literackiego. Każdy przecież pamięta tę klaustrofobiczną atmosferę dawnego Petersburga, po którym miota się Rodion Romanowicz Raskolnikow. Pokoik służący mu za cały dom, komisariat, spelunka, mieszkanie Marmieladowa, znowu komisariat, te same ulice, te same place, te same twarze.

Przyznam, że ucieszyła mnie ta analogia, choć daleki jestem od naśladowania wielkiego rosyjskiego prozaika! Jeśli jednak i czytelnik znajdzie wskazane podobieństwo (uważny czytelnik już je odnalazł i nie potrzebuje moich wskazówek!), niech potraktuje to jako skromny hołd złożony całej tradycji wielkiej powieści rosyjskiej.

Chcę jednak zaznaczyć, że bohater mej powieści, Lesław Srebroń, który nie przypadkiem nosi moje imię i nazwisko, różni się od Raskolnikowa fundamentalnie: nie mam na rękach krwi lichwiarki. Nie mam na rękach niczyjej krwi.

## O dobrym dziekaniu

Minęło kilka deszczowych dni, podczas których nie wychodziłem z domu pani Magee, nie chcąc zniszczyć nowej marynarki. A starej nie zamierzałem już zakładać i nawet zaproponowałem moim studentom, że chętnie oddam ją w dobre ręce. Propozycja zafascynowała ich, zwłaszcza kiedy dowiedzieli się, że to pocziwe, sztruksowe ubranie widziało i Paryż, i Rzym, i mglisty Londyn, a nawet odwiedziło dom Ivo Andricia w czarnogórskim Herceg Novi. Przypomniał mi się upalny dzień, kiedy oglądałem ze wzruszeniem biurko i przybory do pisania tego wielkiego prozaika Bałkanów.

Studenci bardzo się zainteresowali propozycją i do końca wykładu wymieniali na ten temat pełne ekscytacji uwagi. Proponując ten hojny gest, myślałem oczywiście o Llewellynie z Cardiff, jednak taktownie nie chciałem go upokarzać ofertą skierowaną publicznie wprost do niego. Liczyłem jednak, że luźno rzucona w atmosferze ogólnego rozluźnienia uwaga nie wypłoszy tak drażliwego na swym punkcie Walińczyka. Miałem nadzieję, że niebawem sam pojawi się w moim pokoju i poprosi o używaną, choć nieznośną marynarkę. Czekałem nawet przez kilka dni, wyglądając co jakiś czas przez okno, ale student nie nadchodził. Odwiesiłem więc rzeczony sztruks do szafy i zapomniałem o całej sprawie.

Te dni, przeżyte w pokoiku otulonym dachem, który oddzielał mnie od mokrego żywiołu na zewnątrz, spędziłem na przymusowej refleksji, która na ogół w takich sytuacjach przemienia się w mniej lub bardziej zakamuflowaną formę autorefleksji. Wdzięczny jestem zatem losowi, że niejako popchnął moje myśli w kierunku, który zmienił moją percepcję rzeczywistości.

Od czasu mej sławetnej prezentacji żyłem w przekonaniu, że to dziekan O'Grady nie dał mi szansy, aby projekt *Nowa Iona* został potraktowany z należyty szacunkiem. Przyznam, że zarzucałem mu najniegodziwsze rzeczy, przedstawiając go nie jako wielkiego uczonego, lecz małostkowego krętacza, który zrobił karierę, sprytnie lawirując w gąszczu uniwersyteckiej biurokracji. Posądziłem go o zamiar przywłaszczenia sobie mego pomysłu i jeszcze teraz się rumienię na wspomnienie tych niesprawiedliwych oskarżeń.

Deszcz jednak, jeśli mogę zaryzykować tak oczywistą metaforę, oczyścił moją duszę z „wylewów czarnej żółci” i po kilku dniach spojrzałem na sprawę z zupełnie innej strony. Wszak nie mogłem wykluczyć, że część winy leżała po mojej stronie. Prezentację przedstawiłem przecież w pośpiechu, nerwowo próbując upchnąć w trzydziestu minutach dziesiątki wątków i problemów. Tak bardzo się starałem, aby powiedzieć o wszystkim, że popełniłem – ja, stary belfer! – typowy błąd młodych dydaktyków, którzy wstąpiwszy po raz pierwszy na katedrę, chcą zarzucić uczniom tysiącami informacji i ufają, że ci będą im za to wdzięczni.

W tej sytuacji reakcja dziekana O'Grady'ego była nie tylko usprawiedliwiona, ale też wspaniałomyślna. Inny bowiem przełożony, mniej życzliwy swoim podwładnym,

oddaliłby mój wniosek bez dawania drugiej szansy. O'Grady jednak, ten wspaniały uczyony, uznał, że w tym chaosie może kryć się coś ciekawego. Dlatego powołał – choć nie musiał! – grupę roboczą, by oszlifowała na brylant odnaleziony przeze mnie matowy diament. Okazał więc nie tylko wspaniałomyślność, lecz także wielką intuicję; potrafił z mych nieuporządkowanych słów i diagramów wyłowić potencjał, który miała *Nowa Iona*.

Dobry, szlachetny O'Grady! Kiedy zrozumiałem swój błąd, postanowiłem uczciwie napisać do niego i podziękować za tak pozytywne rozpatrzenie mej propozycji. Siadłem tedy do laptopa i skreśliłem kilka przepelnionych wdzięcznością słów, wyrażając nadzieję, że dzięki pomocy kolegów z uniwersytetu uda nam się doprowadzić prezentację projektu do idealnej postaci, która zachwyci nie tylko Patricka O'Grady'ego i naszą akademicką wspólnotę, ale też całą europejską humanistykę. „To będzie nasze wspólne dzieło” – zakończyłem, i nie było w tych słowach ani krzty koniunkturalizmu.

Dobry dziekanie O'Grady, jakże dziś brakuje światu takich autorytetów intelektualnych i moralnych!

## O herbatce i śladach kobiety

Kiedy przestało padać, a ja odbyłem zasłużoną pokutę, odmawiając sobie ludzkiego towarzystwa i napojów wyskokowych, postanowiłem odwiedzić ponownie Lwa Michajłowicza Protopopowa. Przypomnił mi się ten starzec z nogami zanurzonymi w mydlinach, samotny w swym wielkim, gotyckim mieszkaniu, przerobionym z dawnych zakonnych dormitoriów, i zrozumiałem, że moją powinnością jest darować mu choć kilka chwil przyjacielskiej pogawędki.

Haggis pracował wytrwale nad projektem *Nowa Iona*, Jadranka Vidović też miała swoje obowiązki i nie mogła przez cały czas odgrywać roli oddanej córki. Każdy prowadził swoje życie, a Lew Michajłowicz pozostał sam. Ta samotność patriarchy, który pochował już swoich rówieśników i zdany jest na ludzi, których przewyższał nie tylko wiekiem, ale i intelektem, bardzo mnie wzruszyła. Muszę przyznać, że ten obraz starca w miednicy towarzyszy mi do dziś: skąpo umeblowany pokój, ascetyczny niczym klasztorna cela, a pośrodku wielki rosyjski humanista, miska mydlin i wrastające paznokcie.

Nasza znajomość powoli przeradzała się w przyjaźń i choć nie lubię nadużywać tego słowa, muszę przyznać, że każde moje spotkanie z dostojnym literaturoznawcą uświadamiało mi, że jestem dla niego kimś więcej niż tylko przypadkowo poznanym kolegą z uniwersytetu. Takich znajomości musiał zawierać w swym życiu setki, ten wytrawny wyjadacz kampusowy, wędrowiec nauki. Ale ze mną zdobywał się nie tylko na życzliwość, którą można by tłumaczyć dobrymi manierami, lecz zawsze próbował zagaić rozmowę o sprawach najważniejszych.

Nie zawsze dorastałem do jego bystrej inteligencji i muszę wyznać, że niekiedy domyślałem się ukrytych sensów jego pytań i odpowiedzi dopiero po powrocie do domu (wprawdzie w opowieściach o naszych spotkaniach pozwalałem sobie na syntezę tych dwóch odległych nieraz w czasie momentów, ale uznałem, że rozbijanie ich innymi historiami byłoby kłopotliwe z literackiego punktu widzenia). Od początku jednak Protopopow wyciągał do mnie przyjazną dłoń. Zwieńczeniem tego była nasza ostatnia rozmowa w jego mieszkaniu. Dlatego uznałem, że będzie stosowne, a nawet pożądane, jeśli moje wizyty staną się naszym małym obyczajem. Wielki uczoney był zbyt dumny, żeby żebrać o ludzkie towarzystwo. Ale czułem, że obecność drugiej osoby będzie mu radością i podporą. Zresztą, mogłem pomagać mu w drobnych sprawach, jak to przecież miało już miejsce kilka dni wcześniej w scenie z miednicą.

Dlatego ubrałem tweedową marynarkę i ruszyłem dziarsko w górę St. Brendan. Tym razem nie szedłem jednak z pustymi rękami. Zauważywszy miłość Lwa Michajłowicza do kryminału, postanowiłem pożyczyć mu *Ostatni miesiąc Euzebiusza* pióra Filipa Włócznika. Wprawdzie trudno nazwać tę powieść klasycznym kryminałem, ale pojawiają się w niej i zbrodnia, i elementy dochodzenia. Ponadto był to kawał świetnej literatury i nie miałem wątpliwości, że wybitny literaturoznawca doceni kunszt Włócznika i się nim zachwyci. Na to też skrycie liczyłem, gdyż postanowiłem wykorzystać swój

pobyt na Finneganach, by zainfekować miłością do twórczości Włócznika jak największą grupę ludzi. Udało mi się już ze studentami, teraz najwyższy czas na uczonych.

Urabiałem już od kilku spotkań profesor O'Sullivan, napomykając o tym wielkim polskim prozaiku niby mimochodem i licząc, że wywołam w niej naturalną ciekawość. Teraz zamierzałem „upolować” Lwa Michajłowicza Protopopowa. Zdaję sobie sprawę, że moje zachowanie nosi wszelkie znamiona kalkulacji. Ale wobec wielkiej literatury wszelka kalkulacja musi skapitulować: sztuka obroni się sama. Ja byłem tylko małym, niegodnym posłańcem.

– O, to znowu pan, panie kolego! – przywitał mnie radośnie Lew Michajłowicz. Siedział w tym samym miejscu i czytał książkę. Ukłoniłem się i podszedłem pewnym krokiem, zajmując miejsce na sąsiednim fotelu. Wtedy uświadomiłem sobie, że poprzednim razem nie spytałem wielkiego uczonego o zdrowie. A przecież głównym powodem tamtej wizyty była troska o niego. Odważyłem się nawiedzić go w jego prywatnych apartamentach tylko dlatego, że jego nieobecność w miejscach, gdzie się zazwyczaj spotykaliśmy, mocno mnie zaniepokoiła. Postanowiłem więc nadrobić ten nietakt od razu.

– Jak tam zdrowie pana profesora? – zapytałem.

– Dziękuję, drogi kolego, spokojnie zmierzam ku śmierci – odpowiedział dowcipnie, zanosząc się kaszlem.

– Jak my wszyscy – odparłem, kontynuując to błyskotliwe nawiązanie do Heideggera.

– Zapewne; ale ja szybciej.

Tak sobie gawędziliśmy miło, przerzucając się cytataми z klasyki myśli współczesnej. Poczulem się swojsko i familiarnie, jakbym odwiedzał go nie drugi, lecz dwudziesty drugi raz. Dlatego ośmieliłem się przejąć inicjatywę i zaproponowałem, że zaparzę herbatę. Niektórzy mogą to oczywiście odczytać jako impertynencję. W innych okolicznościach sam nie poważyłbym się na podobną śmiałość. Wtedy zrobiłem to tylko dlatego, iż poprzednio Protopopow poprosił mnie o pomoc, dając do zrozumienia, że codzienne czynności sprawiają mu niejaki kłopot.

– Jeśli pan musi – zażartował starzec.

Ceniłem jego subtelne poczucie humoru. Na chwilę zniknąłem w kuchni, nastawiłem wodę i bez trudu znalazłem puszkę z herbatą. Przyszło mi na myśl, że stary rosyjski intelektualista zapewne najbardziej lubi herbatę przygotowaną w samowarze, który przypomina mu dawno niewidzianą ojczyznę, ale ze smutkiem musiałem uznać swoją niekompetencję na tym polu. Samowary znałem tylko z literatury; tej największej, ale jednak.

Buszując niewinnie po kuchni, potwierdziłem podejrzenia z poprzedniej wizyty. Poczulem się nieswojo, jak ktoś, kto przenika tajemnicę innych, podczas gdy ci inni nie tylko o tym nie wiedzą, ale chcą ze wszystkich sił zachować ją w najgłębszym sekrecie. Już podczas przygotowywania gorących mydlin zauważyłem w domu Protopopowa dyskretnie porozmieszczane ślady kobiety. Szylkretowa spinka, grzebień, przewieszona

przez oparcie krzesła pończocha, umiejscowione w niewidocznych z pozoru miejscach elementy garderoby i drobne precjoza: tu kolczyk, tam pierścionek.

W kuchni tych śladów było więcej. Ponieważ w życiu Lwa Michajłowicza Protopopowa nie było kobiety (a przynajmniej nie było jej w tzw. okresie finnegańskim), dlatego musiały to być przedmioty, które niegdyś należały do dawnej miłości intelektualisty. Są takie chwile, kiedy nagle obraz konkretnego człowieka zmienia się w naszych oczach, zapala się jakieś nowe światło i osoba, którą znaliśmy od lat, jawi nam się zupełnie inaczej. Czegoś takiego doświadczyłem tamtego wieczoru w kuchni Protopopowa.

Ten bystry, nieraz złośliwy i cyniczny uczony był w głębi serca wielkim romantykiem i sentymentalistą. W swej starczej samotności otaczał się pamiątkami po tragicznie zmarłej ukochanej, z której stratą się nie pogodził. Na każdym kroku jakiś drobny szczegół przypominał mu o utraconej miłości. Nie, nie zmalął w moich oczach. Nagle czysty intelekt został wzbogacony o nowy wymiar, pewną głębię, która pozwalała na intensywne przeżywanie wielkich egzystencjalnych doświadczeń.

Oczywiście po powrocie do pokoju nie zdradziłem się ani słowem, że odkryłem jego najskrytszą tajemnicę. Nie miałem sumienia ogołacać starca z jego sekretów. Przyniosłem herbatę i spokojnie usiadłem. Przez chwilę wisiało pomiędzy nami milczenie, ponieważ Lew Michajłowicz pogrążył się w lekturze i nie zauważył mego powrotu. Postanowiłem nie uciekać się do tych żenujących prób zwrócenia na siebie uwagi, jak chrząkanie, szuranie, demonstracyjne nalewanie herbaty czy wręcz zagadywanie. Siedzieliśmy tak może kwadrans, i kiedy tylko zauważyłem, że wielki uczony podnosi wzrok znad tekstu i zawiesza go w pustce, podsunąłem mu powieść Filipa Włócznika, w krótkich słowach rekomendując nową lekturę. Ucieszył się wielce i odłożył książkę na stół.

Zadowolony z dobrego przyjęcia mojego anonsu, postanowiłem nalać herbatę. Kiedy sięgałem do imbryka, ktoś bez pukania otworzył drzwi i nagle ujrzałem w pokoju Jadrankę Vidović.

– Co tu robisz? – przywitała mnie szorstko.

– Gawędzimy sobie z panem profesorem o polskiej literaturze fantastycznej – odparłem, uprzejmym gestem zapraszając ją na sofę.

Jej wtargnięcie nie było uprzejme, lecz skoro gospodarz nie reagował, ja postanowiłem uszanować jego wolę.

– Powinieneś już iść. Późno się zrobiło.

– Ale ja...

– Idź już – powiedziała zdecydowanie.

Jej oczy krzeszały iskry.

– ... została jeszcze herbata – rzuciłem desperacko.

– Wypijemy, panie kolego, proszę się nie martwić.

I tak niefortunnie zakończyła się moja druga wizyta u Lwa Michajłowicza Protopopowa. Nie rozumiałem przesadnej reakcji Jadranki ani jej uprawnień do

przegania mnie z cudzego mieszkania. Jednak odezwała się w niej w końcu ta bałkańska bezczelność, zupełny brak ogłady. Bałkany to nie Europa, powiedział kiedyś ktoś mądry, i miał rację.

## O weryfikacji

Ruszyłem do domu. Pomiedzy St. Brendan a wylotem Main Street rozciąga się wiecznie zielony, zadbane trawnik, od wieków koszony przez finnegańskich ogrodników. Przecinają go liczne alejki, którymi za dnia spacerują studenci, przysiadając na kamiennych ławkach. Jednak członkom (*fellows*) St. Brendan dawny uniwersytecki obyczaj pozwala chodzić wprost po trawie. Ponoć latem można to robić boso, co jest niezapomnianym doświadczeniem, jak przekonywał mnie poczciwy Balzavour. Tymczasem nawet w butach korzystałem z tego przywileju z dumą i godnością.

Tak wyszedłem wprost na Dogtooth, czyli pub Pod Psim Zębem (jak sobie pozwoliłem przetłumaczyć tę dwuznaczną nazwę), umiejscowiony w narożnym budynku, który stał na samym początku Main Street. Rzadko tam zachodziliśmy z uniwersyteckimi kolegami, pozostawiając lokal studenckiej braci. Niemal przez cały wieczór grała tam muzyka na żywo, znakomita skądinąd irlandzka kapela z Newport, nosząca gorszącą niektórych miejscowych nazwę Finnegans Funeral. Chłopcy z FiFu (tak potocznie nazywaliśmy na wyspie ten obiecujący zespół) grali naprawdę nieźle, jednak ich skoczne melodie przeszkadzały nam, uczonym, w poważnych dysputach. Dlatego na ogół wybieraliśmy cichsze miejsca, jak gwarny, ale spokojny pub starego Toby'ego.

W pubie Pod Psim Zębem zdarzyło mi się być tylko kilkakrotnie i niemal zawsze pojawiałem się tam zaciągnięty przez inne osoby. Raz wybrałem się specjalnie, by posłuchać muzyki, ale wtedy akurat FiFu mieli wolne. Za drugim razem jednak się udało i rozochocony piwem wtargnąłem nawet na scenę, wyrwałem perkusie bodhran i pokazałem wszystkim, jak się powinno grać irlandzki folk. Żegnały mnie brawa rozentuzjasmowanego tłumu, a stawianych mi przy barze kolejek nie potrafiłem sam wypić. To była piękna noc.

Tamtego wieczoru, kiedy wracałem do siebie po nieoczekiwane zakończonej wizycie u Lwa Michajłowicza, przystanąłem na chwilę przed oknami pubu, by w spokoju posłuchać muzyki. Nie miałem ochoty na piwo, w domu czekało mnie dużo pracy i miałem poczucie, że nie zasłużyłem na nagrodę ze szklanki ciemnego trunku. Dlatego tylko stałem przez moment, ciekawie przyglądając się radosnym ludziom wewnątrz.

Finnegańczycy w pubach są zawsze uśmiechnięci i pogodni. Można podejrzewać, że byliby tacy przez całe swe życie, gdyby tylko mogli spędzać je przy kuflu guinnessa (tę błyskotliwą uwagę od razu zanotowałem w swym „dzienniczku pokładowym”, gdzie utworzyłem nawet skromny dział, w którym kolekcjonowałem własne aforyzmy).

Nagle pomiędzy młodymi klientami pubu Pod Psim Zębem zauważyłem trójkę serdecznych druhów. Nie kto inny, jak Haggis, O'Connell i poczciwy Balzavour siedzieli przy stoliku pod oknem i rozprawiali o czymś, przekrzykując muzykę. Chciałem im zamachać, ale się powstrzymałem. Wydało mi się bowiem dziwne, że ci trzej uczeni zrezygnowali ze znakomitych warunków do intelektualnych rozmów, jakie stwarzał nasz pub Pod Lwem, na rzecz miejsca tak hałaśliwego. Po chwili jednak uświadomiłem sobie,



że zapewne chcieli we własnym gronie przedyskutować stanowisko w sprawie *Nowej Iony*. Gdyby robili to u starego Toby'ego, w każdej chwili mogłem się tam pojawić, a to byłoby krępujące dla obu stron. Ja znałem projekt od podszewki, oni dopiero raczkowali. Zapewne mieli dużo naiwnych wątpliwości i pytań, które mogły wywołać mój ironiczny uśmiezek. Rozumiałem ich dumę i postanowiłem wycofać się w porę, zanim zostaną zauważony.

Jednocześnie byłem szczęśliwy, że poświęcają mojej sprawie wolny czas – przecież wieczorami na Finneganach każdy ma pełne prawo zająć się tylko konsumpcją alkoholu. Czułem, że nam wszystkim zależy na projekcie *Nowa Iona*. Jeśli kiedykolwiek wątpiłem w ich zaangażowanie, nie mogłem mieć lepszej weryfikacji: oni żyli tym projektem przez cały czas! Graliśmy w jednej drużynie – coraz bardziej lubiłem tę sportową metaforę.

Wracalem do domu wesół, zbudowany podglądniętą scenką, nucąc pod nosem *Molly Malone*, nieśmiertelną piosenkę ulic Dublina.

## O literackich powinowactwach

Tak mówi mój „dzienniczek pokładowy”: siedłem i nuciłem *Molly Malone*, i nuce ją teraz, spisując te wspomnienia. Ta rzewna pieśń, być może nieodpowiednia dla mojej ówczesnej radości, nasunęła mi teraz nowe skojarzenie dotyczące tych wspomnień. Pewne pokrewieństwo z prozą mistrza z Petersburga udało mi się już odkryć, jednak tamta obserwacja, choć trafna, nie wyczerpuje wszystkich literackich powinowactw tej prozy. Odkryłem bowiem, że z tych skromnie zakrojonych, intymnych zapisków rozrasta mi się powoli pełnowymiarowa, epicka powieść mieszczańska.

Miała swoich wyrazistych i świetnie zarysowanych bohaterów, pierwszy, drugi i trzeci plan, krwiście odmalowane postaci i żyjącą własnym życiem scenografię, finnegzańskie Newport. Niebanalność fabuły, nieoczywistość i skomplikowanie bohaterów, nowatorstwo formy, to ciągle mierzenie się ze strukturą narracji, by w sposób najbardziej odpowiedni wypowiedzieć najgłębsze intuicje ludzkiego doświadczenia; poszukiwanie nowych środków, szczodre tworzenie nowych poetyk, które później podejmą inni – oto kwintesencja *Stu dni bez słońca!*

I muszę oczywiście zaznaczyć – choć dla uważnego czytelnika takie zastrzeżenie jest naturalnie zbyteczne – że nie piszę tego jako autor, potrafię bowiem oddzielić własne emocje od obiektywnego osądu. Obiektywizm jest mi chlebem powszednim, przemierzyłem oceany obiektywizmu od brzegu do brzegu. I potrafię spojrzeć na własny tekst nieuprzedzonym okiem krytyka i literaturoznawcy. Stoi za mną metoda i warsztat, precyzyjne narzędzia, przy stosowaniu których nie może być mowy o pomyłce we wnioskowaniu.

Czy tylko ja dostrzegałem w tym podobieństwo do twórczości Jamesa Joyce’a? Nie sądzę. Newport i Dublin, dwa tak bezprzykładnie żywe literackie obrazy irlandzkich miast! Joyce potrzebował jednak całej metropolii, by powiedzieć to, do czego mnie wystarczyło skromne Newport. Gmatwanina ulic kontra skromna Main Street; nadmiarowość kontra oszczędność; barokowość kontra prostota – oto bodaj największe napięcia wielkiej literatury.

## O *Ostatnim miesiącu Euzebiusza*

Powieść, którą pożyczyłem Lwowi Michajłowiczowi, opowiada historię stuletniego starca, tytułowego Euzebiusza. Otóż Euzebiusz jest emerytowanym matematykiem, szanowanym autorytetem, autorem wielu przełomowych prac w dziedzinie teorii katastrof. Jednak czas sprawił, że znane z encyklopedii i podręczników nazwisko Euzebiusza powoli zaczyna być zapomniane. Jego uczniowie zazwyczaj już nie żyją, ostatni studenci dawno zostali profesorami. Euzebiusz żyje samotnie w otoczonej dzikim ogrodem willi na Woli Justowskiej i spokojnie cieszy się radościami starości.

Przekłada stare fotografie, nadrabia zaległości w europejskiej kinematografii, oglądając ukochane filmy radzieckie, szwedzkie oraz gruzińskie. Z dobrym skutkiem bawi się aplikacją matematycznych teorii do przewidywania kursu akcji oraz poznaje bogaty świat staropolskich nalewek.

Tę sielankę przerywają ponure wieści. Pewnego dnia Euzebiusz dowiaduje się, że w jego ciele ujawnił się wyjątkowo złośliwy i rozsiany nowotwór. Lekarz wyznaje z bólem, że dostojnemu pacjentowi został tylko miesiąc życia. Diagnoza jest dla starca momentem przełomowym. Znając czas swej śmierci (Euzebiusz od razu oblicza prawdopodobieństwo konkretnej daty, wprowadzając do skomplikowanego wzoru wszelkie uzyskane w szpitalu informacje, po czym na czerwono zakreśla ten dzień w kalendarzu), stary naukowiec postanawia uporządkować swoje życie.

Takich powieści i filmów oczywiście znamy już wiele, ale geniusz Filipa Włócznika odważnie przełamuje schematy i czyni tę historię oryginalną i nieszablonową.

Euzebiusz bowiem zaraz przypomina sobie, że nie musi porządkować życia, gdyż uczynił to, przygotowując się do setnych urodzin: napisał listy do bliskich, wydał dyspozycje co do formy pochówku, spisał i poświadczył notarialnie testament, a także skatalogował swoje archiwum. Dla pełnej jasności poumieszczał na sprzętach domowych karteczki z imionami dzieci i wnuków, które powinny dostać konkretną rzecz po jego śmierci. Uświadamia sobie boleśnie, że przez kilka miesięcy i tak żył w zawieszeniu, chodząc po zbudowanej w międzywojniu willi jak po własnym grobowcu. Ponieważ zlecił wtedy generalne sprzątnięcie, do niektórych pokoi nie chce zaglądać, żeby nie zburzyć panującego tam porządku.

Można więc powiedzieć, że dla Euzebiusza wiadomość o śmierci nie jest szokiem, tylko spokojnym dopełnieniem życia, które sam już zamknął i rozliczył. Włócznik dostarcza nam tu przejmujących i głębokich analiz ludzkiego przemijania oraz daje przykład pięknej – heroicznej i zarazem pełnej rozpacz – próby zmierzenia się z nicością. Euzebiusz rozmawia z pustką, zarzucając ją wzorami matematycznymi; otchłań milczy.

Wyrazem niewzruszonego światopoglądu Euzebiusza jest znakomicie opisana scena, w której stary matematyk spotyka się ze swym przyjacielem, emerytowanym ogrodnikiem Fryderykiem. Dwaj starcy mają zwyczaj grywać co tydzień w szachy, obydwaj też są w tej dziedzinie mistrzami. Niepozorny ogrodnik, który przez całe swe

dorośle życie pracował na poślednim stanowisku w krakowskim parku Jordana, jest wielkim samorodnym talentem szachowym. Chłubi się tym, że przed laty ograł (co prawda w meczu symultanicznym) samego Borysa Spasskiego, a raz zremisował z sędziwym Botwinnikiem w towarzyskiej partii, rozgrywanej już jeden na jednego. Matematyk Euzebiusz nie ma co prawda żadnych porównywalnych osiągnięć, ale siłą intelektu dorównuje w królewskiej grze przyjacielowi.

Nawiasem mówiąc, opisy cotygodniowych partii szachowych Euzebusza i Fryderyka należą do najlepiej opisanych pojedynków w dziejach literatury (jeśli ktokolwiek sądzi, że partia szachowa jest nudna, odsyłam go do książki Włócznika, uśmiechając się pod wąsem!). Szachy wyznaczają ponadto cały fabularny zarys powieści: każda część, rozgrywana pomiędzy partiami, jest transpozycją tego, co wydarzyło się na szachownicy. Szukanie analogii, rozszyfrowanie zasad tej oryginalnej translacji literackiej, jest podczas lektury przygodą samą w sobie.

Podczas pierwszej z opisanych rozgrywek Euzebiusz i Fryderyk rozmawiają o życiu, i wtedy właśnie dochodzi do słynnej przemowy starego matematyka, który deklaruje się jako jednoznaczny ateista, szydzi z wierzeń w życie pozagrobowe i wygłasza krytykę lęku przed śmiercią (tu Włócznik w ciekawy sposób uzupełnia i brawurowo udoskonala znane z Diogenesa Laertiosa argumenty Epikura).

Po kilku dniach od diagnozy sędziwy matematyk odkrywa, że ma w życiu jeszcze jedną niezalutowaną sprawę. Otóż jego ukochana trzecia żona zginęła przed laty w niewyjaśnionych do końca okolicznościach. Wedle jednych było to samobójstwo, wedle innych – morderstwo. Sprawcy nie ujęto i sprawa została zamknięta. To ponure wydarzenie miało miejsce w willi, w której nadal mieszka Euzebiusz. Dlatego naukowiec postanawia ostatnie tygodnie życia przeznaczyć na wyjaśnienie tej sprawy. Szuka śladów, przegląda zgromadzone dowody, próbuje po latach dotrzeć do ludzi, którzy mogli coś wiedzieć.

Jednak jego ścisły umysł wystawiony jest na poważną próbę. Nagle bowiem zaczyna słyszeć głosy zmarłych – to jego żona z zaświatów kieruje jego śledztwem; stary dom zaczyna przemawiać. Z początku Euzebiusz w to nie wierzy. Nigdy nie podzielał ludzkich przeświadczeń eschatologicznych, był typem zapiekłego scjentyisty. Nagle musi poradzić sobie ze wszystkimi tymi wydarzeniami, które przekraczają zdrowy rozsądek. Z początku bierze przeżycia za omamy, które podsuwa mu zmęczony umysł. Konsultuje to nawet z onkologiem, który potwierdza, że przy tego typu nowotworze możliwe są takie zaburzenia.

Ale niebawem pojawiają się głosy, których nie sposób wytłumaczyć w ten sposób. Zmarła trzecia żona uwiarygodnia się, podając szczegóły, nieznane nie tylko nikomu innemu, ale nawet samemu Euzebuszowi. Mówi mu, na przykład, o tym, by sprawdził w kufrze na strychu jej halkę – którą zachował na pamiątkę. Halka ma pod pachą ledwo widoczną cerę, na styku koronki i materiału. Euzebiusz o tej zaszytej dziurce nie wiedział. Sprawdza gorączkowo rzeczony fragment bielizny i słowa zmarłej żony zostają potwierdzone. Kilka podobnych dowodów przekonuje Euzebusza do istnienia świata

zmarłych. To wywraca jego światopogląd na nice.

Widać więc, że powieść nie jest klasycznym kryminałem, choć Włóczykiew umiejętnie gra znanymi z tej konwencji motywami. Jest zbrodnia, jest śledztwo, pojawia się nawet błyskotliwy detektyw alkoholik w średnim wieku. Jednak Włóczykiewowi chodzi o coś innego. A skoro nie mamy tu do czynienia z klasycznym kryminałem, to wyjawienie zakończenia nie zburzy niczyjej przyjemności ewentualnej lektury. Albowiem to nie odpowiedź na pytanie „Kto zabił?” buduje wielkość tej powieści.

Euzebiusz nie wyjaśni śmierci swej małżonki. Nie dożyje zaznaczonej na czerwono w kalendarzu daty. Na tydzień przed śmiercią pośliznie się i spadnie ze schodów, łamiąc obie nogi i doznając licznych obrażeń. Bezradny, nie mogąc zawołać o pomoc ani sięgnąć po telefon, umrze w ciągu kilku godzin. Te ostatnie chwile są jednym wielkim krzykiem rozpaczony, głosem człowieka, który nie ma już w sobie spokoju matematyka. Jest przerażony śmiercią i wizją piekła, którą poznał w ciągu minionych dni. Chce żyć, choć wie, że to niemożliwe. Umiera z trwogą człowieka oszukanego.

## O tajemniczym przybyszu

Następny dzień przyniósł drobne z pozoru zdarzenie, które jednak miało zmienić cały układ sił na Finneganach. Oczywiście, jak to zazwyczaj bywa w podobnych sytuacjach, nikt – nie wyłączając mnie – nie potrafił tego wówczas przewidzieć. Wszystko to jednak miało sprawić, że na kilka dni porzuciłem swoje dotychczasowe zajęcia i żelazny rygor uporządkowanego życia. Nagle projekt *Nowa Iona* zszedł na plan dalszy, zaniedbałem też, co wyznaję ze wstydem, moją przyjaźń z Lwem Michajłowiczem.

Od przebudzenia wiedziałem, że będzie to dzień ważny. Na statku tygodniowym miała bowiem przypląć zaadresowana do mnie specjalna przesyłka, która zawierała jedną fajkę, puszkę irlandzkiego tytoniu Galway i niezbędne do palenia akcesoria. Wszystko wcześniej sprawdziłem na fajczarskich forach internetowych i byłem już, mówiąc skromnie, teoretycznym ekspertem w tej materii. Śniadanie zjadłem w pośpiechu, dwa skromne tosty z serem i mocną kawę. Pani Magee zaczęła już wtedy poważnie chorować; nikt jeszcze nie wiedział, że z pozoru lekki nieżyt nosa zakończy się śmiercią. Nie mogłem się doczekać statku i wraz z innymi siedziałem w pubie u starego Toby'ego, nasłuchując portowej syreny. Czułem dziwne podekscytowanie. Wprawdzie od kilku tygodni uczestniczyłem już w tym cotygodniowym rytuale, lecz po raz pierwszy byłem w grupie osób, które czekały na jakąś przesyłkę.

I rzeczywiście, ten marsz w dół Main Street, w tłumie odzianych w tweed Finnegańczyków, był dla mnie czymś niezapomnianym. Czułem podniecenie jak dziecko w wigilijny poranek. Przecież tylko minuty dzieliły mnie od uzyskania upragnionej fajki! Stłoczony na nabrzeżu tłum wypatrywał wąsatego listonosza, który po zejściu z trapu flegmatycznie rozdzielał listy i paczki, wywołując adresatów po nazwisku. Trzeba było podchodzić pojedynczo i nie tłoczyć się wokół niego, gdyż człowiek ten był drażliwy na punkcie naruszenia własnej przestrzeni prywatnej i podobno w poprzednich latach zdarzało mu się z tego powodu zabierać niedoręczone przesyłki z powrotem. Oczekujący musieli uzbroić się w cierpliwość i przeżyć długie siedem dni, aż wąsaty urzędnik irlandzkiej poczty ponownie przyplynie na tygodniowym statku.

Wreszcie padło moje nazwisko (przeczytane zresztą z licznymi błędami) i Lesław Srebroń stał się posiadaczem zgrabnej paczuszki, w której grzechotały zamówione produkty. Wyobrażałem sobie, jak zasiądę wraz z Lwem Michajłowiczem w jego apartamencie i oddamy się sztuce fajkowej, a on będzie mi mistrzem i przewodnikiem, gdyż w tej dziedzinie wiedza teoretyczna zawsze przegra z wieloletnią praktyką. Liczyłem też, że ja z kolei będę mógł wprowadzić go w najnowsze fajczarskie trendy, których on zapewne od lat nie śledzi, a ja poznałem je doskonale podczas sumiennej internetowej kwerendy.

Chciałem wymknąć się z tłumy Finnegańczyków i pognać do domu, by rozpakować przesyłkę, ale czułem, że będzie to niestosowne. Jednym z obyczajów Newport był powrót mężczyzn do pubów zaraz po wizycie w porcie. Wracali do swych piw, stawiali

nieodpakowane paczki i listy na stołach i ćwiczili się w cierpliwości. Im dłużej zwlekali z dobraniem się do przesyłki – choćby to był nawet list od ukochanej – tym większy szacunek zyskiwali w lokalnej społeczności. Ten prosty lud miał swe rytuały i obrzędy, którym nie śmiałem się przeciwstawiać. Ponadto chciałem pokazać, że moja cnota cierpliwości w niczym nie ustępuje tej, którą od lat praktykowali miejscowi rybacy. Byłem wszak jednym z nich.

Naciągnąłem więc kaszkiet mocniej na głowę i wesoło rozmawiając, ruszyłem z powrotem do starego Toby'ego. Cotygodniowe święto dobiegło końca, na nabrzeżu zostały tylko zawiedzione kobiety; po raz kolejny nie dostały one listu od swych narzeczonych i mężów, którzy przed laty opuścili Newport za chlebem. Żyli gdzieś poza horyzontem, rozsiani po całym świecie: w Dublinie, Wielkiej Brytanii, Stanach Zjednoczonych, Australii. Niektórzy pewnie ułożyli sobie życie na nowo, a wierne finnegańskie kobiety czekały.

Aby ta opowieść właściwie wybrzmiała, muszę przerwać moją drogę powrotną z portu do pubu, gdzie czekało na mnie niedopite pół pinty guinnessa. Kiedy bowiem stałem w grupce ludzi stłoczonych wokół wąsatego listonosza, ze statku tygodniowego zszedł mężczyzna mniej więcej w moim wieku, z walizką na kółkach i plecakiem, po czym, niezauważony przez nikogo, przedarł się przez tłum i ruszył pierwszą ulicą, na którą trafił, a więc Main Street. W połowie drogi postanowił odpocząć nieco i zasięgnąć języka, więc wszedł do pubu Pod Lwem, gdzie jednak nikogo nie zastał. Był zmarznięty po podróży, więc zdziwiony nieobecnością ludzi i pełnymi szklankami na stołach, stanął przy kominku i zaczął się rozgrzewać.

Tak go zastaliśmy wszyscy, prowadzeni przez starego Toby'ego. Wzruszyła mnie ta scena, bo w skulonych plecach nieznajomego rozpoznałem siebie samego sprzed kilku tygodni. Minął już ponad miesiąc mego pobytu w Newport, odmierzany rytmem codziennych zajęć. Czułem się Finnegańczykiem pełną gębą i wiedziałem, że miejscowi ludzie oraz akademicka społeczność zaakceptowali mnie bezwarunkowo. Byłem im wszystkim za to bardzo wdzięczny. Kiedy więc zobaczyłem te zziębnięte plecy, postanowiłem wyciągnąć do przybysza przyjazną dłoń.

Tak poznałem Marcina Swobodę.

## O Marcinie Swobodzie

Przybysz okazał się Polakiem, który pojawił się na wyspie z podobnych powodów co ja. Był stypendystą pewnej fundacji z Sankt Gallen, która wysłała go na Finnegany na dwa miesiące, by mógł w spokoju dokończyć monografię poświęconą Martinowi Heideggerowi. Wprawdzie Newport nie leżało na głównym szlaku pielgrzymkowym europejskich heideggerzystów, ale dawało spokój i stabilizację, niezbędną w pracy naukowej. Do tego dysponowało świetną kadrą uniwersytecką (o której już wielokrotnie wspominałem), zawsze skora do pomocy. Czasem rozmowa z uczonym uprawiającym odległą dyscyplinę naukową pozwala lepiej spojrzeć na własny projekt. I ja tego doświadczyłem, a owocem tego był mój skromny udział w przełomowych badaniach profesor O'Sullivan.

Marcin Swoboda pochodził z podkarpackiej wsi, z rodziny o korzeniach łemkowskich. Studiował w Lublinie i zrobił doktorat już w wieku lat dwudziestu siedmiu. Z pewnym zawstydzeniem przyznaję, że nawet ja nie obroniłem pracy tak młodo. Później jeździł na rozmaite stypendia, przemierzył cały świat, zaangażował się też w życie polityczno-społeczne, lecz tu podzielił los wszystkich filozofów od czasów Platona: chciał naprawiać politykę, a został wykorzystany przez jedną z partii politycznych, po czym rozczarowany, wziął rozbrat ze społeczeństwem, stając się anarchistą. Przez kilka lat wykładał na pomniejszym niemieckim uniwersytecie, potem wrócił do Polski. Przez cały ten czas wytrwale pracował nad swoją książką życia i oto przybywał na Finnegany, by napisać ostatnie jej rozdziały.

Wielokrotnie później dyskutowaliśmy o naszych poszukiwaniach naukowych i wyznam, że niewiele zrozumiałem z projektu Marcina Swobody, choć dość biegle orientowałem się w twórczości fryburskiego filozofa. Swoboda na przestrzeni siedmiuset stron rozwijał jedną głęboką intuicję: otóż w języku rosyjskim słowo *zabyt'* („zapomnieć”) powiązane jest z słowem „być”. Jeśli więc ktoś kiedykolwiek czytał u Heideggera o aletheicznosci prawdy (polecam jego analizy platońskiej jaskini z *Wegmarken*), w lot zrozumie, o co chodzi. A kto nie czuje się zbyt pewnie na tym gruncie, to i tak nic z tego nie pojmie. Chcę jednak zaznaczyć, że nie podzielam wszystkich wniosków z powyższej pracy, a w wielu kwestiach posiadam nawet wyrobione zdanie odrębne.

Celowo zacząłem charakterystykę tajemniczego przybysza od opisu jego drogi intelektualnej, gdyż uważam, że to właśnie ona określa, kim jesteśmy my, uczeni. Odnosi się to do wszystkich ludzi, ale do ludzi nauki w szczególności. Jednak Marcin Swoboda nie był czystym intelektem. To mężczyzna z krwi i kości, jak każdy chłop oglądał się za ładnymi kobietami (których zresztą w St. Brendan nie brakowało), jak każdy na Finneganach pił guinnessa, jadł jagnięcinę, dorsza i przegrzebki.

Wzrostu był niepozornego, w ramionach wąski, choć z zarysowanym już wyraźnie brzuchem. Trudno nazwać go przystojnym, choć jego twarz nie była szczególnie



odrażająca. Ot, zwykła zaniedbana twarz naukowca, rozmazane rysy, skryte za okularami świńskie oczka i pogryzione do krwi wargi. Jeśli dodamy do tego niemyte zbyt często włosy, uzyskamy fizys, którą często mija się w tłumie i od razu zapomina. Nie potrafiłbym teraz naszkicować go z pamięci, choć posiadam rzadki dar wiernego portretowania ludzi. Zresztą, moje wspomnienia należą przecież do królestwa słowa, a nie obrazu; więc na tym, co powiedziałem, mogę poprzestać.

Z pewnym zażenowaniem dodam – kierując się tylko dobrem czytelnika, względem którego zobowiązałem się do wiernego i szczerego opisywania faktów – że Swoboda posiadał nieznaczny defekt, niemal niewidoczny, ale zapewne bardzo utrudniający życie. Na ile się bowiem zorientowałem, ten zdolny heideggerzysta był nosicielem niewielkiego garbu, garbku właściwie, asymetrycznie wysklepionego nad lewą łopatką. To niewielkie kalectwo maskował udatnie wyciągniętymi swetrami, które wprawdzie nie dodawały mu uroku, ale skutecznie kryły wstydliwą przypadłość. Dramat zaczynał się w chwili, gdy Marcin Swoboda postanawiał ubrać się bardziej oficjalnie i przychodził do St. Brendan w marynarce, taniej konfekcji kupionej w supermarkecie. Wówczas poliestrowa tkanina wybulwiała się z lewej strony pleców i ułomność dominowała nad wątkim ciałkiem.

Z początku bardzo zachęcałem go do kupna marynarki tweedowej, ale odkąd odkryłem jego garb (garbek w zasadzie), nie wracałem już litościwie do tematu. Nie przestawałem jednakże namawiać go na kupno kaszkietu, gdyż dla jego wizerunku zakrycie pozlepianych strąków włosów byłoby wielce korzystne.

Od pierwszej chwili polubiłem tego małego, zagubionego filozofa i stałem się w pierwszych dniach jego pobytu prawdziwym *cicerone*, wprowadzając go w topografię wyspy, przedstawiając moim przyjaciołom i przekazując syntetyczną wiedzę o lokalnych obyczajach. To ze mną Marcin Swoboda wypił pierwszego guinnessa w Newport, ze mną zjadł pierwsze *irish stew* oraz przegrzebki, ja pokazałem mu St. Brendan i północne pustkowia. Oglądał ten świat moimi oczyma, przefiltrowany przez moją wrażliwość i doświadczenie.

Pamiętam jak dziś nasze pierwsze spotkanie. Podszedłem, przedstawiłem się i kiedy rozpoznałem w nim uczonego i Polaka, zaoferowałem pomoc. Był zagubiony i nieco przestraszony, gdyż Finnegany swą surowością potrafią zrobić na nowo przybyłych dość niekorzystne wrażenie. Ucieszył się z wyciągniętej ku sobie dłoni i poprosił o pomoc w znalezieniu lokum. Nie chciał, jak się wyraził, zostać na noc bez dachu nad głową. Rozczuliła mnie ta obawa, osadziłem go jednak w miejscu frazą zaczerpniętą z prozy Filipa Włócznika:

– Od zmierzchu dzieli nas ocean chwil. – I zamówiłem dla nas po pincie guinnessa (stawiałem).

Potem wielokrotnie wspominał tę chwilę, a w jego niewielkich oczkach widziałem wdzięczność. Na jednej pincie się nie skończyło i dopiero po godzinie wytoczyliśmy na Main Street jego wysłużoną i poobijaną w portach lotniczych Europy walizeczkę, a ja powiodłem nas w górę, ku przytulnej przystani sióstr MacLaughlin.

Te dwie ujmujące stare panny, które pamiętały jeszcze czasy wojennej zawieruchy,

dysponowały dwoma pokojami gościnnymi na poddaszu, nawiasem mówiąc nieco lepszymi i tańszymi niż oferta pani Magee. Jednak zadomowiwszy się u mej poczciwej gospodyni, nie chciałem jej porzucić i się przeprowadzić, choć przyznaję, że w chwili pojawienia się Marcina Swobody perspektywa zamieszkania w jego sąsiedztwie wydawała mi się niezwykle kusząca. Wyobrażałem sobie te liczne prowadzone nocami rozmowy, tę polską solidarność na obczyźnie. Do tego choroba pani Magee stawała się dla mnie coraz bardziej krępująca i kłopotliwa. Ostatecznie jednak uznałem, że pozostanę wierny swojemu wyborowi. Czyż wierność wyborom nie czyni nas ludźmi?

Siostry MacLaughlin były żywą legendą Newport, choć ich gwiazda nieco już przybladła. Ponoć w epoce swej świetności te obdarzone nieposkromionym temperamentem kobiety hojnie szafowały swymi wdziękami, stając się obiektem płomiennych kazań ówczesnego proboszcza. Mężczyźni byli zachwyceni, ich żony mniej, zaś jowialny zazwyczaj kapłan wieszczył nadejście szatana. Niestety, każda historia ma swój smutny kres, a czasem i pouczający morał. W tej, powtarzanej do dziś, puenta jest taka, że każda z sióstr została nie tylko starą panną, ale też panną z dzieckiem. Można sobie łatwo wyobrazić, co to oznaczało w późnych latach pięćdziesiątych na irlandzkiej prowincji.

Jedyną pociechą był fakt, że dostały w spadku po ojcu sporą sumę, gdyż stary MacLaughlin zrobił fortunę, handlując podczas wojny na czarnym rynku (to inna, wyborna legenda Finneganów, ale oszczędzę czytelnikom kolejnej dygresji). Dość powiedzieć, że starczyło na przyzwoite życie i odchowanie dwóch synów. Jeden zginął w Belfaście, ponoć zaangażowany mocno w walkę po stronie IRA, drugi prowadzi firmę przetwórczą w Cork. Kiedy siostry wyprawiły w świat swoje nieślubne potomstwo, całe Newport wybaczyło im błędy młodości. Odtąd stały się szanowanymi starszymi paniami, które wynajmowały wędrownym uczonym bardzo przyzwoite pokoje.

Tam właśnie zaprowadziłem nieco zmęczonego podróżą Marcina Swobodę i dając mu najlepsze rekomendacje, pozostawiłem w rękach uroczych starszych panien.

## O sztuce fajkowej

Pojawienie się na wyspie kolegi z Polski nieco zmieniło moje plany. Jednak cały czas pamiętałem, że cotygodniowy statek przywiózł nie tylko tego zdolnego i nieśmiałego filozofa, ale także paczuszkę, której rozpakowania nie mogłem się doczekać.

Zrobiłem to od razu po powrocie do swego pokoiku. Marcin Swoboda regenerował się po podróży, pozostawiony w opiekuńczych rękach sióstr MacLaughlin, a ja z nabożeństwem wyciągałem nowe zabawki. Fajka była piękna, wygięta jak na ilustracjach z przygód Sherlocka Holmesa. Tytoń pachniał wanilią, a wszystkie akcesoria wyglądały, jakby zostały wyprodukowane tylko dla mnie. Muszę w tym miejscu wspomnieć, że nigdy wcześniej nie paliłem nie tylko fajki, ale też żadnych innych wyrobów tytoniowych. Kilka razy zapaliłem papierosa przy jakiejś okazji towarzyskiej, ale kończyło się zawsze na paru pociągnięciach, kaszlu i ogólnym rozbawieniu otoczenia.

Teraz byłem sam, bogaty w wiedzę fachową, i zamierzałem próbować tak długo, aż mi się uda. Z zewnątrz sztuka palenia fajki wygląda na dziecinnie łatwą. Ot, zapala się tytoń w kominku i pyka spokojnie przez długie godziny. Rzeczywistość okazała się o wiele bardziej złożona.

Napełniwszy kominek, postanowiłem pociągnąć na próbę i wtedy okazało się, że nie ma żadnego cugu. Niemal uległem hiperwentylacji, zanim udało mi się złapać jakiś ciąg. Potem fajka ciągle gasła i poparzyłem sobie palce od ciągłego rozpalania. Wreszcie udało mi się, choć byłem już zmęczony i zniechęcony. Ciągnąłem mocno i wytrwale, aż fajka rozgrzała się na tyle, że nie mogłem jej utrzymać. Tymczasem w pokoju zawisła gęsta mgła, która gryzła mnie w oczy.

Nieco się tym wszystkim rozczarowałem, choć postanowiłem wytrwale ćwiczyć i w kolejnych dniach doszedłem do niejkiej wprawy. Wtedy jednak okazało się, że jedna fajka to stanowczo za mało, gdyż nie mogła należycie wyschnąć przez noc. Zamiast przyjemności wdychania dymu, ciągnąłem przez ustnik jakiś gorzki sok, który bulgotał jak w tygielku. Nadal zamierzałem zasiąść kiedyś z Lwem Michajłowiczem i zapalić wspólnie (to wytworzyłoby pomiędzy nami pewną więź, gdyż reszta akademików prowadziła pod tym względem obrzydliwie zdrowy tryb życia). Niemniej uznałem sztukę fajkową za rozrywkę mocno przereklamowaną.

Jedyną pociechą był mi fakt, że oddawałem się jej samotnie i nie ma na świecie świadków mych upokorzeń.

## O maskonurze po finnegańsku

Mimo niepozornej postury Marcin Swoboda okazał się wybornym kompanem. Znał niezliczone anegdotki o polskich i zagranicznych intelektualistach, znakomicie parodiował ich sposób bycia i z ostrą ironią opowiadał o słabostkach i potknięciach poznanych badaczy. Nagle jak żywy stanął mi przed oczami cały ten światek polskiej nauki, z jej kompleksami, zaściankowością i niespełnionymi ambicjami. Cieszyłem się, że Swobodzie i mnie udało się wyrwać z tego marazmu. Byliśmy członkami (*fellows*) St. Brendan, otaczali nas wybitni uczeni, mogliśmy robić wielkie rzeczy.

Słuchałem go z dużą przyjemnością, gdyż po kilku tygodniach dobrowolnej emigracji stęskniony już byłem polskiej mowy. Nawet nie wiedziałem, jak mi tego brakuje; dopiero pojawienie się Marcina Swobody uświadomiło mi tę stratę.

Wprawdzie z początku konwersowałem sobie z Lwem Michajłowiczem Protopopowem, ale po kilku pierwszych rozmowach rosyjski uczony wrócił do języka angielskiego. Szczerze mówiąc, nawet nieco się obawiałem, czy będzie w stanie przeczytać ze zrozumieniem *Ostatni miesiąc Euzebiusza*, napisany polszczyzną wyrafinowaną i bogatą (do dziś pamiętam olśniewający i skrzący się neologizmami opis porośniętej dzikim winem altany w ogrodzie sędziwego matematyka – to stamtąd pochodzi genialny twór językowej wyobraźni Włócznika, zadomowione już od lat w polszczyźnie słowo „zuchwozielony”).

Aż do przybycia Swobody mój kontakt z mową ojczystą był zatem ograniczony do wsłuchiwania się w brzmienie własnego głosu (któremu to zajęciu oddawałem się pokątnie). Często mówiłem sam do siebie podczas długich przechadzek chłodnym nabrzeżem, prowadząc wewnętrzne dysputy i ostre spory; tylko one (oraz lektury powieści Filipa Włócznika) pozwalały mi zachować duchową więź z ojczyzną. Wieczorami, kiedy byłem już zbyt zmęczony, by poświęcać się pracy naukowej, zamykałem na klucz drzwi pokoiku na poddaszu, ubierałem tweedowy kaszkiet i na stojąco czytałem pomnikowe akapity Włócznika, nieraz roniąc przy tym zabarwione nostalgią łzy. Dźwięczą mi do dziś wypowiedane wówczas frazy, jak „złóż tułów żółwia wzdłuż włóczni kłów” czy „szczwany trzask krzeszących skry skrzypiec skryby”.

Koszula bliższa ciału, dlatego przez pierwsze dni po przybyciu Marcina Swobody moi uniwersyteccy przyjaciele musieli pogodzić się z tym, że nie będą widywać mnie zbyt często. Lubiłem słuchać, jak mój rodak opowiada swoim spokojnym głosem, lekko się jękając. Co stanowiło raczej objaw nieśmiałości niż rzeczywistej wady wymowy, po czterech piwach mówił bowiem płynnie w kilku językach i trudno było w nim rozpoznać tego zahukanego chłopca, którego zobaczyłem pierwszego dnia w pubie starego Toby’ego.

Wspominałem już, że Swoboda poprosił mnie, bym przynajmniej na początku pobytu został jego *cicerone*. Ochoczo wywiązywałem się z tego zadania, układając sobie w głowie własną opowieść o Finneganach, które zdążyłem już znakomicie poznać. Jestem pewien, że moje przewodnictwo dużo mu dało, gdyż dzieliłem się nie tylko informacjami,

które można znaleźć w popularnych przewodnikach, ale też zasłyszanyymi opowieściami i celnymi spostrzeżeniami, jakie poczyniłem przez czas mojego pobytu, pilnie notując je w „dzienniczku pokładowym”. Słowem, przekazałem mu gotową wiedzę, na którą ja musiałem pracować kilka długich tygodni. Ale nie żałowałem tego, gdyż radość ze spotkania z rodakiem była wielka i nie myślałem wtedy o tym, że mógłbym część informacji zachować zazdrośnie tylko dla siebie. Dzieliłem się też szczerze obserwacjami o naszych wspólnych już teraz kolegach z St. Brendan, przedstawiając treściwe i trafne charakterystyki poszczególnych osób. Marcin Swoboda zawdzięczał mi wiele.

Jednak już trzeciego dnia po naszym spotkaniu miała miejsce sytuacja, która kazała mi inaczej spojrzeć na jego osobę. Wtedy niestety nie doceniłem jej wagi, lecz późniejsze wydarzenia kazały mi do niej wrócić i w niej właśnie szukać prześlepionego sygnału ostrzegawczego. Z pozoru cichy i wycofany, Marcin Swoboda z uczniowską pilnością słuchał moich opowieści o wyspie, czasem zanotował coś szybko w swoim notesie. Muszę dodać, że z zasady nie korzystał on z dobrodziejstw technologii, dzielając Heideggerowską krytykę współczesnej techniki. Dbał o prawdę bycia i gruntujące istnienie jego jawności, a ja to szanowałem. Pięknie kaligrafował piórem wiecznym i często żartował z mojego umiłowania nowoczesnych sprzętów.

Z początku bawiło mnie to bezrefleksyjnie, ale po niedługim czasie odkryłem w tych żartach drugie, głębsze dno. Jak bowiem mogłem krytykować nowoczesną Europę, pisząc me płomienne polemiki na komputerze? Czy sam nie zaprzedałem się demonom, które tak radykalnie odrzucałem? Piętnowałem dehumanizację, a sam stałem się wyznawcą bezdusznych maszyn, człowiekiem od nich uzależnionym i niewyobrażającym sobie życia *off-line*. Kiedy tylko odkryłem tę przenikliwość Swobody, bardziej niż wcześniej uważałem na słowa. Z czasem doprowadziło to wypadków, o których nie chcę jeszcze teraz mówić, pozostawiając opowieść jej naturalnemu biegowi.

Pierwszy raz Marcin Swoboda zaskoczył mnie właśnie trzeciego dnia naszej znajomości. Pokazywałem mu fascynujące nagrobki na miejscowym cmentarzu, w niczym nieustępujące tak wielbionemu przez turystów dublińskiemu Glasnevin. Opowiadałem też o historiach spoczywających tu ludzi, gdyż niektóre z nich poznałem w pubie starego Toby’ego. Nikt by nie podejrzewał, jakie fascynujące żywoty mieli ci prości, oddani morzu ludzie! Finnegany bywały w przeszłości sceną tragedii o antycznym niemal rozmachu. Jednak Swoboda okazywał lekkie zniecierpliwienie, aż wreszcie zapytał:

– Gdzie tu podają maskonury po finnegańsku?

Zdębiałem. Pierwszy raz słyszałem o takiej potrawie, więc uznałem to za dobry żart. Zaśmiałem się szczerze i szturchnąłem druha w ramię.

– Pytam poważnie. Mam ochotę na maskonura po finnegańsku – powtórzył Swoboda i nie doczekawszy się odpowiedzi, ruszył sam w poszukiwaniu informacji.

Podbiegłem za nim, a on wyjaśnił, że to wyjątkowa potrawa, która narodziła się w latach wielkiego głodu i wie o niej każdy rdzenny Finnegańczyk. Maskonury łapie się i wędzi lub marynuje podobnie jak śledzie. Nie są specjalnie smaczne ani pożywne, ale były czasy, kiedy ludziom to nie przeszkadzało. Nie sposób odwiedzić Finneganów i nie

spróbować tego tradycyjnego dania.

Zaczęliśmy więc rozpytywać, gdzie możemy to zjeść. Marcin wysyłał mnie na przeszpiegi, sam zaś czekał z boku.

– I co? I co? – pytał, kiedy wracałem z rozmowy z kolejnym Finnegańczykiem.

Ale nikt nie słyszał o maskonurach po finnegańsku. Wtedy Swoboda uznał, że pewnie średnie pokolenie nie pamięta lat głodu, a pamięć o tej potrawie musiała przetrwać wśród osób starszych. Wyszukaliśmy więc najsędziwszych starców z Newport, ale wszyscy odsyłali nas z kwitkiem. Straciliśmy dwie godziny, akurat świeciło słońce. Kiedy zrezygnowaliśmy z dalszych poszukiwań, znad Atlantyku nadciągnęły stalowe chmury i zaczął wiać zimny wiatr. Tak zmarnowałem jeden z niewielu słonecznych dni na wyspie. Wreszcie dla chwili wytchnienia siedliśmy w najbliższym pubie i sycąc się guinnessem, planowaliśmy dalsze poszukiwania.

– Możemy kontynuować, ale wydaje mi się, że to nie ma sensu.

– Jak to? Przecież miałeś taką ochotę! – odparłem.

– Tak, ale takiej potrawy nie ma – powiedział lodowatym głosem, po czym wybuchnął śmiechem.

Długo cieszyliśmy się z tego żartu, aż wreszcie zamówiliśmy duszonego dorsza i piliśmy do wieczora. Ten dzień nas mocno zjednoczył. Wymieniliśmy wiele opowieści, które zawsze zacieśniają więzy. On wiedział już o mnie wszystko, ja o nim też. Tak w każdym razie sądziłem. Ten dzień dał mi potem dużo do myślenia i wyrzucałem sobie, że wcześniej nie zwróciłem na niego uwagi.

Marcin Swoboda tak inteligentnie obrócił wszystko w żart, iż nie podejrzewałem wówczas, że pod powierzchnią drobnego incydentu może kryć się coś głębszego. Często też nawiązywałem do tego żartu, pytając z poważną miną któregoś z moich serdecznych uniwersyteckich kolegów o maskonury po finnegańsku, po czym – widząc ich zaskoczone miny – opowiadałem o pysznym dowcipie. Nie podejrzewałem w tamtych czasach, że ta niewinna sytuacja jest znakiem czegoś poważniejszego. Jak się bowiem miało okazać, Marcin Swoboda o wiele częściej ulegał nierzadkiej dla wielu humanistów przypadłości, mianowicie nie odróżniał fikcji od rzeczywistości. Żył we własnym świecie, zupełnie oderwanym od twardych faktów i zdrowego rozsądku. Jednak prawdziwa eksplozja tej choroby miała nastąpić później.

Zaobserwowałem też u niego pewną przykrą cechę, o której piszę z niejakim zażenowaniem, gdyż zazwyczaj daleki jestem od obmawiania bliźnich, a tym bardziej przyjaciół. Jeśli więc tak robię, to nie z naturalnej większości ludziom skłonności do plotkowania, ale dla dobra tej opowieści, którą zobowiązałem się prowadzić drogą bezwzględnej szczerości. Dlatego też zatajenie tego faktu byłoby może kolejną oznaką wspaniałomyślności, ale jednocześnie zdradą ducha tej opowieści. Wolę więc narazić się na przykre komentarze, niż ukrywać istotne fakty.

Otóż mój rodak bardzo chętnie opowiadał o własnych badaniach. Wówczas stawał się mistrzem konwersacji i chętnie słuchał rozmaitych opinii, uwag i wątpliwości. Czułem wtedy, że rozumiemy się doskonale i rozmawiamy naprawdę, a nie tylko wymieniamy

konwenanse. Jednak jego zaangażowanie słabło, kiedy próbowałem mu opowiadać o tym, co było bliskie mnie. Odniosłem nawet wrażenie, że próby przedstawienia Swobodzie twórczości Filipa Włócznika nużą go tak bardzo, że nie potrafi opanować ziewania. Tłumaczył się wprawdzie zmęczeniem po podróży, aklimatyzacją i zmianą czasu, ale jednak niesmak pozostał.

Dotknęło mnie to tym boleśniej, że sam odczuwam moralną powinność słuchania drugiego człowieka i jestem szczególnie wyczulony, kiedy ktoś nie interesuje się niczym innym poza samym sobą.

Dla pełnego obrazu muszę jednak dodać, że w owych dniach naszej przyjaźni Marcin Swoboda sam mnie poprosił, bym pożyczył mu którąś z powieści Filipa Włócznika. Nie wypowiedział tego wprawdzie na głos, ale jego oczy błagały. A znaliśmy się już na tyle, że potrafiłem bezbłędnie odczytać te sygnały. Siedzieliśmy właśnie u starego Toby'ego (drogi Toby, irlandzki druhu, tyle ci zawdzięczam!), kiedy dostrzegłem w oczach Marcina nagłą zmianę spojrzenia. To był wyraz jakiejś męki, wewnętrznego udręczenia, którego mój przyjaciel nie mógł sam ukoić. Chwilę patrzyłem na niego z niepokojem, ale w lot zrozumiałem, co dzieje się w tej mrocznej, pogarbionej duszy. Nakazałem mu czekać, po czym wybiegłem z pubu i kilkoma krokami chyżo dopadłem drzwi domku pani Magee. Po chwili wróciłem i z dumą złożyłem na stole zaczytany egzemplarz *Roku bez końca*.

– Nic nie mów, nic nie mów – rzekłem z powagą.

Marcin Swoboda nic nie powiedział, lecz jego spojrzenie mówiło wszystko. Był mi wdzięczny.

## O raporcie nad stanem polskiej fantastyki

Posileni maskonurami po finnegańsku – jak żartowaliśmy w tamten dzień – wracaliśmy wieczorem z portu, spacerując swobodnie po Newport. Ponieważ dobrze nam się rozmawiało, dlatego krążyliśmy od portu do St. Brendan, kilkakrotnie nawracając. Było chłodno, ale nam to nie przeszkadzało; dwóch Polaków z dala od domu, rzuconych poza horyzont.

Los chciał, że zatrzymaliśmy się pod pubem Pod Psim Zębem.

– Jeszcze jedno piwo przed snem – zaordynowałem jako przewodnik.

W środku zastaliśmy moich serdecznych druhów: Haggisa, O’Connella i poczciwego Balzavoura. Przedstawiłem im nowego kolegę i postanowiliśmy się przysiąść. Chciałem pokazać Marcinowi Swobodzie, jak tu, na Finneganach, prowadzimy życie intelektualne. Mój towarzysz siadł, a ja poszedłem po dwa guinnessy (nie chcę wypominać, ale ciągle stawiałem). Kiedy wróciłem, zagadał do mnie Jeremy O’Connell.

– Drogi kolego, za dwa dni spotkanie naszej grupy roboczej, a my właśnie rozmawiamy o tym, że nie wiemy jeszcze, czy w projekcie *Nowa Iona* jest jakieś miejsce na polską literaturę fantastyczną. Literatura bowiem często profetycznie pokazuje ludzkości właściwą drogę. Oczywiście nie wąpimy w kompetencję kolegi w tej materii, ale chętnie sami wyrobilibyśmy sobie własne zdanie. Czy kolega dysponuje jakimś syntetycznym raportem omawiającym główne wątki tej prozy?

– Niestety nie – przyznałem z żalem.

– O to się właśnie martwiliśmy. A czy byłoby dla kolegi dużym kłopotem, aby taki zwięzły raport na jutro opracować? Nie chodzi oczywiście o szczegółową analizę, lecz raczej o to, byśmy zyskali generalną orientację w temacie.

– To jest możliwe.

– Jesteśmy wdzięczni! – odpowiedzieli wszyscy trzej chórem.

Ja zaś pożegnałem się szybko i wróciłem do domu, by nadrobić tę lukę. Naturalnie, jak mogłem zapomnieć o polskiej fantastyce! Przecież cały projekt *Nowej Iony* jest pośrednio inspirowany intuicjami Filipa Włócznika. Iona była wręcz obsesją tego pisarza i choć pojawia się niejako na obrzeżach jego twórczości, to bez owej idei nie da się zrozumieć wyrafinowania tej prozy (wyznam, że metafory do płomiennej przemowy, którą wkupiłem się w łaski finnegańskich uczonych, czerpałem właśnie z kart powieści Włócznika). Jeśli dodamy do tego głęboki mesjanizm wielu polskich utworów fantastycznych, okaże się, że bez tej działki badań jakakolwiek refleksja nad kondycją duchową i intelektualną Europy jest wręcz niemożliwa.

Już w drodze układały mi się w głowie gotowe zdania i siadłem do komputera, jak stałem, w marynarce i kaszkiecie. Klawiatura furczała, a ja pisałem całą noc raport, który nad ranem wysłałem do członków grupy roboczej. W *postscriptum* przeprosiłem gorąco, że musiałem tak nagle opuścić ich zacne towarzystwo, ucinając tym samym możliwość przyjacielskich dysput, które prowadziliśmy zazwyczaj. Wyraziłem też nadzieję, że



przyjmą moje usprawiedliwienie.

## O przegrzebkach i hołdzie

Kolejne dni upływały nam na długich rozmowach oraz dalszym poznawaniu wyspy. Kulminacją tych wydarzeń było cotygodniowe zebranie u dziekana O'Grady'ego. Podczas niego miało się odbyć oficjalne przedstawienie Marcina Swobody akademickiej wspólnoty, choć zadbałem o to, by większość przyjaciół poznała już mego drogiego rodaka wcześniej. Wziąłem na siebie ciężar wprowadzenia go w nasze grono i przygotowałem sumaryczne *curriculum vitae*, które chwaliło w sprawiedliwy sposób liczne dokonania i sukcesy tego młodego polskiego uczonego. Marcin Swoboda był tak ujmująco skromny, że zarumienił się, biedaczysko, gdy mówiłem o jego wkładzie w europejską filozofię. Odłożyłem na bok prywatne wątpliwości co do interpretacji Heideggera, przedstawiając jego naukową drogę od jak najlepszej strony. Tym samym wprowadziłem nowy obyczaj w St. Brendan, gdyż do tej pory każdy z nowo przybyłych mówił o sobie sam. Taka forma jednak nie pozwala nadmiernie chwalić własnych dokonań. „Lepiej, by chwalili cię inni, choćby i własny pies” – jak głosi nieśmiertelny aforyzm Filipa Włócznika.

Dziekan uprzejmie podziękował za ten trud, w imieniu wszystkich powitał Marcina Swobodę i zapewnił o swej życzliwości, po czym przeszedł do innych punktów porządku dziennego. Tego samego dnia podczas obiadu w Brendan's Toe Marcin Swoboda stał się duszą towarzystwa, opowiadając, żartując i zyskując sobie sympatię wszystkich. Cieszyłem się tym, gdyż nieco obawiałem się, czy ten nieśmiały i nieco zagubiony kaleka odnajdzie się w nowych okolicznościach. Ludzie jego pokroju zazwyczaj wycofują się do drugiego rzędu i raczej z ukrycia obserwują toczące się wokół nich życie, niż w nim uczestniczą. Ku mej radości dzielny heideggerzysta przełamał lody w mistrzowski sposób. Uwiódł wszystkich i przez cały wieczór pozostawał w centrum towarzystwa.

Z początku czułem pewien dyskomfort, gdyż miałem nadzieję, że obiad będzie okazją do spokojnej dyskusji o projekcie *Nowa Iona*. Jednak po zastanowieniu uznałem, że pojawi się jeszcze wiele okazji, by o tym temacie merytorycznie porozmawiać. Nie chciałem poza tym psuć Swobodzie *entrée*. To był jego dzień. I muszę przyznać, że znakomicie wykorzystał tę okazję. Wszyscy „hołd by mu oddali, ale przegrzebki jedli”, jak pisał przed wiekami finnegañski poeta (choć akurat owego dnia szef kuchni podał filety z łososia pod beszamelem).

Od tamtej pory widywałem Marcina rzadziej. Wessało go życie towarzyskie naszego uniwersytetu i spotykał się sam z nowo poznanymi uczonymi, pijąc piwo i spacerując po mieście. Z okien swego pokoiku widziałem ich wędrujących tam i z powrotem Main Street, roześmianych i radosnych. Cieszyło mnie, że mój rodak tak szybko zaaklimatyzował się na surowych i wietrznych Finneganach.

## O nowej nadziei

Lekkie osłabienie intensywności naszych kontaktów było mi zresztą na rękę, gdyż przez pojawienie się Marcina Swobody nieco zaniedbałem swoje akademickie obowiązki. Nie miałem jednak sumienia wyrzucać mu tego w tych pierwszych dniach, tak trudnych dla każdego przybysza. I choć ciągnęło mnie do własnej pracy, to przecież nie mogłem zostawić rodaka samemu sobie. Czuję się odpowiedzialny za pokazanie mu tego skrawka ziemi, na którym będzie przez jakiś czas żył.

Inteligentny uczony doskonale to wyczuwał, dlatego gdy tylko wprowadziłem go do naszej wspólnoty, postanowił wspólnie odciążyć mnie od obowiązków *cicerone* i zacząć spotykać się z innymi uczonymi. Byłem mu za to wdzięczny, gdyż wreszcie mogłem wrócić do przerwanej pracy. Dzień po spotkaniu u dziekana miało bowiem miejsce zebranie grupy roboczej, pierwsze, jakie doszło do skutku. Kiedy rozpoczęliśmy, szybko zrozumiałem, jak potrzebna była wszystkim ta zwłoka, która niegdyś tak mnie irytowała. Czas, który upłynął od mojej pierwszej prezentacji projektu *Nowa Iona*, pozwolił wszystkim członkom zespołu zaznajomić się z tą złożoną i niełatwą problematyką. Nawet pocziwy Balzavour przyswoił sobie wszystkie informacje, choć przecież większa część tego wielkiego naukowego zamierzenia pozostawała poza sferą jego naukowych zainteresowań i kompetencji. Jakże śmieszny wydał mi się wówczas mój wcześniejszy pośpiech i zniecierpliwienie! Podczas tego spotkania zrozumiałem, że przełomowe programy badawcze rodzą się tygodniami i miesiącami. Potrzeba czasu, by oszlifować genialną intuicję, która zazwyczaj stoi u podstaw. Każdy z zebranych przedstawił swoją merytoryczną ocenę sytuacji.

Nie chciałbym nadmiernie obciążać tej opowieści niepotrzebnymi szczegółami, do czego niewątpliwie by doszło, gdybym zacytował choćby skrótowo wszystkie uwagi moich zacnych kolegów. Powiem tylko tyle, że nieznaczącej krytyce poddana została moja kombinatoryczna metoda grupowania problemów oraz przypisywania ich poszczególnym osobom i podzespołom badawczym. Nikt nie kwestionował oczywiście jej obiektywnej wartości, zasugerowano mi jedynie, że grozi to nadmiernym rozproszeniem badań. Gdybyśmy dysponowali w St. Brendan nie kilkunastoma, lecz kilkudziesięcioma uczonymi, gotowymi ponadto poświęcić w ciągu najbliższych lat cały swój czas temu projektowi, moglibyśmy zastosować moje propozycje w skali 1:1. Jednak w obecnej sytuacji rozsądniejsze będzie zmodyfikowanie pomysłu i dostosowanie go do skromniejszych możliwości, którymi dysponujemy jako wspólnota akademicka.

Oczywiście za stroną krytyczną szły konkretne propozycje. Zamiast rozbudowanego systemu spotkań licznych podzespołów moi koledzy proponowali, aby każdy podjął główny temat, a więc przyczyny kryzysu cywilizacyjnego, na własną rękę i z perspektywy swej dyscypliny nakreślił obraz sytuacji. Dzięki temu po kilku miesiącach będziemy dysponować kilkunastoma raportami z pól bitewnych (to znakomite wyrażenie zawdzięczam nieocenionemu O'Connellowi), które mogą być podstawą dalszych działań.

To z nich właśnie (a nie z mechanicznego spisania obiektywnie ważnych problemów) będzie można wyłonić jakiś badawczy projekt. Na comiesięcznych spotkaniach moglibyśmy prezentować wyniki tych prac przygotowawczych, zachowując większość energii na dociekania indywidualne. Rzecz jasna niewykluczone są też nieoficjalne spotkania w nieformalnych podgrupach. Haggis, O'Connell i poczciwy Balzavour zadeklarowali od razu gotowość do konsultacji we własnym gronie, które łączyła nie tylko przyjaźń, ale i pokrewieństwo prowadzonych badań.

Wracałem do domu pełen nowej nadziei. Cieszyło mnie, że koledzy poważnie podeszli do tematu, choć przecież wymagało od nich odwagi skrytykowanie niektórych moich pomysłów. Byłem im wdzięczny za to zaangażowanie, gdyż wiedziałem dobrze, że w wielu ośrodkach akademickich spotkałaby mnie obojętność i bezrefleksyjne przyzwolenie na wszystko, z którego potem nic jednak nie wynika. Tu trafiłem na wybitnych uczonych, którzy nie lękając się powiedzieć prawdy, potrafią jednocześnie pomóc w rozwinięciu cennych pomysłów. Oto, czym były Finnegany i ich naukowa społeczność!

Rzeczywiście, wyrzucałem sobie, podszedłem do sprawy zbyt technicznie, moja sławetna metoda niepomijania niczego mogła rozsadzić cały projekt. Liczyłem po cichu, że już po pierwszym etapie badań (które dzięki zaproponowanym innowacjom będą postępować szybko i owocnie) nasz projekt stanie się kulą śniegową, przyciągającą do siebie kolejnych uczonych. Zainteresowani bowiem naszym projektem wybitni naukowcy z innych ważnych ośrodków zapewne chętnie dorzucą własną porcję badań, dzięki czemu *Nowa Iona* obejmie ostatecznie wszystkie postulowane przeze mnie dziedziny i grupy problemów. Najważniejsze, mówiłem sobie, że tu, w St. Brendan, idea moja padła na podatny grunt. Jak iskra, która rozpała ognisko. Wierzyłem, że jego płomień będzie widoczny w najdalszych nawet zakątkach starej Europy.

Czekało mnie wiele pracy. Przede wszystkim musiałem przeredagować cały projekt wedle wskazań kolegów. To wymagało gruntownego przemyślenia całości. Poza tym sam zobowiązałem się do opracowania raportów z trzech dziedzin, co nakładało na mnie dodatkowe obowiązki. Jednak siadałem do pracy pełen spokoju i nowej nadziei. Albowiem mimo słów krytyki nikt nie podważył mej naczelnej idei, która była fundamentem projektu *Nowa Iona*. Czuję, że zaraziłem nią wszystkich. I wiedziałem, że stoimy u progu wielkich zmian. Nasz entuzjazm był jak kamyczek, który wywołuje lawinę.

## O mailu, który może zmienić życie

Nikogo nie powinno dziwić, że w takiej sytuacji wdzięczny byłem Marcinowi Swobodzie, że powściągnął swą natarczywą obecność i uszanował moje prawo do prywatności. Jako uznany uczony doskonale wiedział, że nie jesteśmy na Finneganach tylko dla przyjemności – choć przecież radość płynąca ze spotkań towarzyskich wzbogacała nas duchowo i intelektualnie – ale mamy pewne zobowiązania względem nauki i studentów. Ja zatem oddałem się pracom nad rozwojem *Nowej Iony*, on zaś nawiązywał relacje, które zapewne były mu niezbędne do własnej pracy. Nie potępiałem go – choć częściej widywało się w tamtych dniach Marcina Swobodę w pubie niżli w bibliotece uniwersyteckiej – gdyż dobrze wiedziałem, jaką szansą jest możliwość konfrontacji własnych koncepcji z innymi uczonymi. Bez tego człowiek zasklepia się we własnych obsesjach i odrywa od rzeczywistości. To realne zagrożenie w każdej pracy twórczej, ale szczególnie bolesne w dziedzinie humanistyki.

Minął ledwie tydzień od pojawienia się w naszym gronie nowego kolegi, a ja, pozbywszy się go dyskretnie, pracowałem na wielu frontach naraz: nadal siedziałem nad monografią poświęconą Filipowi Włócznikowi, ale też przygotowywałem kolejną wersję projektu i opracowywałem owe trzy raporty, których trud przygotowania wzięłem na swe barki.

I wtedy właśnie miało miejsce wydarzenie, które zaważyło nad moim całym pobytom na Finneganach. Otóż kiedy wracałem z pubu starego Toby'ego (do którego wyszedłem tylko na jedno piwo po całym dniu wyteżonej pracy naukowej), w swej poczcie znalazłem e-mail, którego nadawcą był użytkownik o loginie „filip.wlocznik”. Nie muszę chyba dodawać, co poczułem.

Treść listu była krótka.

Otóż Filip Włócznik, jak sam pisał, dowiedział się o moim istnieniu, natrafiwszy przypadkiem na mój artykuł poświęcony jego twórczości. Krótka kwerenda utwierdziła go w przekonaniu, że ma do czynienia z najprzenikliwszym badaczem jego twórczości (tylko proszę się nie rumienić – napisał). Dlatego pozwala sobie mnie niepokoić i odrywa od pracy naukowej, gdyż właśnie zaczął pisać kolejną powieść i będzie wdzięczny, jeśli na bieżąco podzielę się z nim uwagami na temat powstającego tekstu. Z szacunkiem, itd.

W załączniku znajdował się plik z pierwszym rozdziałem powieści.

Nie sposób opisać emocji, jakie się we mnie wtedy pojawiły. Gdybym nawet sucho je zrelacjonował, i tak zostałbym oskarżony o egzaltację i sentymentalizm. Mówiąc krótko – to był najpiękniejszy dzień mego życia. Sam Filip Włócznik, ten eremita polskiej fantastyki, anachoreta słowa, napisał do mnie! Mało tego, wysłał mi swoje dzieło z prośbą o ocenę! Czyż uczonego może spotkać większa nagroda?

Naraz ogarnęły mnie wątpliwości. Albowiem kiedy odpłynęła pierwsza fala radości, zrozumiałem, że nie jestem godzien, by cokolwiek radzić wielkiemu Włócznikowi. Kim byłem? Skromnym badaczem jego twórczości, który miał świadomość, że jest dopiero na

progu labiryntu znaczeń, lęklwie zagląającym w te mroczne korytarze w obawie, że może się do szczętu zagubić. Dlatego wypełniły mnie bojaźń i drżenie. Jednocześnie czułem gdzieś w trzewiach, że przecież Filip Włóczyk nie napisałby do mnie, gdybym nie był tego zaszczytu godny. Skoro prosił o tę przysługę, to zapewne doskonale wiedział, na co się decyduje. Może w swej przenikliwości wielki prozaik wiedział o mnie więcej niż ja sam? Może dostrzegł we mnie coś, co mnie samemu umykało? Może byłem mądrzejszy, niż mi się wydawało?

Zaufałem intuicji Filipa Włóczyka i z ekscytacją otworzyłem załącznik.

## O rozdziale pierwszym

Otwarłem plik, ale się powstrzymałem. Nie, nie mogłem powierzonego mi w zaufaniu dzieła Filipa Włócznika czytać ordynarnie z ekranu. Byłem jednak staroświecki i czułem niestosowność takiego potraktowania wielkiej literatury. Dlatego ubrałem się i ruszyłem do St. Brendan, gdzie była najbliższa drukarka, i tam, patrząc, jak maszyna wypluwa kolejne stronicę, czekałem z przejęciem. Potem wróciłem do pokoiku, zadzwoniłem na wszelki wypadek do Marcina Swobody, że tego wieczoru będę zajęty i proszę, by mi nie przeszkadzał, po czym zaparzyłem najprzedniejszą herbatę, jaką tylko można dostać na Finneganach, i zabrałem się do lektury.

Czułem, że uczestniczę w czymś uroczystym. Za każdą literą kryło się uderzenie w klawiaturę jednego z subtelnych i wrażliwych opuszków wielkiego pisarza. Czułem, jakbym zaglądał mu przez ramię, śledząc poród nowej powieści. Czułem się (przyznaję, że nieco na wyrost) akuszerem arcydzieła.

Rozdział liczył dokładnie sto tysięcy znaków ze spacjami; typowa objętość, znana wszystkim znawcom prozy Filipa Włócznika. Dla mnie, obytego z językiem mistrza, wprowadzonego w piętrowe konstrukcje i labirynty symbolicznych odniesień, to lektura na godzinę. Mimo to czytałem go do północy, wolno, delektując się każdą frazą. Byłem zapewne jedynym człowiekiem na całej ziemi, który dostąpił tego zaszczytu. Z każdym zdaniem czułem, że pomiędzy mną a ukrytym gdzieś w głuszy beskidzkich hal autorem zawiązuje się tajemna więź. Z każdą stroną z komentatora i badacza stawałem się jego powiernikiem. Czułem ciężar tej sytuacji.

Powieść rzuca nas od pierwszych stron w okres nazywany nie bez powodu Wiekami Ciemnymi. Jest koniec VI stulecia, na zgłiszczach Imperium Romanum tańczą hordy barbarzyńców, tradycja klasyczna umiera.

W niewielkim tokańskim klasztorze żyje młody brat, Goffredo da Siena, który wstąpił do zakonu, by ku chwale Boga poznawać prawdę i zgłębiać wiedzę. Niestety, miejsce, w którym się znalazł, najmniej nadaje się do tych celów. Mnisi nie potrafią czytać ani pisać, zarzucili nie tylko pracę intelektualną, ale też chrześcijańskie rytuały. Od lat nie sprawuje się tu liturgii, a wszystko przypomina raczej zapuszczone wiejskie gospodarstwo niż przybytek kontemplacji i modlitwy. Klasztorny kościół służy jako chlew, a po dawnej bibliotece biegają kury, niszcząc swoimi odchodami dziedzictwo spisane na pergaminach. Zakonnicy folgują najniższemu instynktowi, kopulując z wiejskimi dziewczkami, sobą nawzajem i zwierzętami gospodarczymi.

Trudno się więc dziwić, że w takiej sytuacji młody Goffredo przeżywa udręki duchowe i wytrwale modli się o ocalenie. Wyrzywa spod ubłoconych świńskich zadów resztki manuskryptów, czyta każdy, nawet pozbawiony kontekstu fragment. Wie, że Odys wrócił do domu, ale nie ma pojęcia, gdzie się podziewał; zna parabolę jaskini, ale nie rozumie, co ona oznacza; płacze nad rozterkami Agamemnona i kończy urwany w połowie zdania fragment z naiwną nadzieją, że wielki król przeciwstawi się wszystkim i

nie poświęci niewinnej Ifigenii.

Zewsząd dochodzą wieści o kolejnych spalonych klasztorach, o zabitych mnichach i splądrowanych bibliotekach. Jutro jest niepewne. Klasztor udziela schronienia licznym wędrowcom, którzy podróżując po Italii, roznoszą wieści i chętnie dzielą się informacjami za miskę strawy i nocleg. Jednego dnia zakonników odwiedza tajemniczy pielgrzym o długiej brodzie i wysokim czole, który przy wieczerzy opowiada o swojej ojczyźnie, dalekiej Hibernii. W opowieściach tych pojawia się święta wyspa Iona, na której mądry opat Kolumba nakazuje swym mnichom przepisywanie ksiąg i przechowywanie tradycji. Na Ionę z całego chrześcijańskiego świata przywożone są ocalone z zagłady manuskrypty, a ubrani na biało iroszkoccy mnisi nie ustają w wysiłkach, by spuścizna Greków, Rzymian i ojców Kościoła została zachowana.

Nad ranem tajemniczy pielgrzym znika, ale w duszy Goffreda zasiane zostaje ziarno, które szybko kiełkuje. Odtąd młody zakonnik nie przestaje śnić o zielonej wyspie i białych mnichach, wyobraża sobie wielkie biblioteki i ocalone dziedzictwo Zachodu.

Tak kończy się pierwszy rozdział. Nie muszę dodawać, że każde zdanie napisane jest z mistrzostwem i wyczuciem, po którym można rozpoznać niepodrabialne pióro Filipa Włócznika. Widzimy spustoszoną Italię, czujemy grozę upadku wielkiej cywilizacji, obserwujemy pełzające po jej gruzach barbarzyństwo. To, co innemu autorowi zajęłoby setki stron, Włócznik oddaje kilkoma pociągnięciami pędzla, budując jednak obrazy tak mocne i wyraziste, że niepotrzebne jest ani jedno dodatkowe słowo. Dojrzałość mistrza, mistrzostwo dojrzałości.

Pierwsze strony nie pozwalają się jeszcze w pełni zorientować w zamierzeniach autora. Mamy krótką ekspozycję głównego bohatera (znając epicki talent polskiego pisarza, wiedziałem, że ten skreślony kilkoma zdaniami portret zostanie w trakcie dalszej opowieści rozwinięty i zniuansowany, a na twarzy naiwnego Goffredo pojawi się subtelna gra światłocieni). Autor przytacza też słowa pielgrzyma opisujące samą Ionę, tak surową jak Finnegany. Kiedy czytałem o zielonym wzgórzu i ostrych klifach, widziałem północne pustkowia mojej wyspy; kiedy Włócznik pokazuje czytelnikowi klasztor Kolumby, miałem przed oczami szary masyw St. Brendan.

Oczywiście umierałem z ciekawości, co przyniosą kolejne rozdziały. Co zrobi Goffredo, jak potoczą się losy Europy? Należy pamiętać, że Filip Włócznik to rasowy fantasta i należy się liczyć z każdą możliwością, a dokładna znajomość historii tamtego okresu może jedynie zwieść czytelnika w jego domysłach. Co szykuje beskidzki geniusz?

Przeczytałem tekst dwukrotnie, robiąc uważne notatki i zaznaczając ołówkiem na wydruku uwagi. Nie śmiałem używać kolorowych cienkopisów, jak to robię zazwyczaj, w nabożnym szacunku dla drogiego tekstu. Nie muszę chyba dodawać, że nie miałem żadnych spostrzeżeń krytycznych. Każde zdanie było dopracowane, każdy akapit przemyślany i doskonały. Wiem, że wydawanie pochopnych sądów nie przystoi uczonemu, ale już wtedy wiedziałem, że czytam nie tylko najlepszą powieść mojego mistrza, ale też że obcuję z arcydziełem.

Wszystkie te emocje wyraziłem naturalnie w długim e-mailu do wielkiego



polskiego pisarza. Dziękowałem mu za dar zaufania i za pierwszy rozdział, wyrażając cichą nadzieję, że nie zmieni zdania i będzie mi podsyłał kolejne porcje swego arcydziełnego tekstu. Podzieliłem się też swymi domysłami i pytaniami, zaznaczając oczywiście, że nie liczę tu na listowną odpowiedź; odpowiedzią będą kolejne rozdziały. Życzyłem zdrowia i powodzenia w pracy twórczej, wyrażając nadzieję, że nic nie stanie na przeszkodzie ukończenia dzieła, które właśnie powstaje.

Wysłałem ten żarliwy e-mail i położyłem się spać. Nie mogłem jednak zasnąć, tylko wierciłem się na moim wąskim łóżku, które odpowiadało skrzypieniem na najdrobniejszy niemal ruch. Chciałem, by już nastał świt, bym już mógł podzielić się swoją radością ze światem. Ale potem pomyślałem, że Filip Włócznik, obdarzywszy mnie zaufaniem, zapewne nie oczekiwał, że sekret naszej korespondencji wyjawię całemu światu. Postanowiłem zatem strzec go jak żrenicy oka i nikomu nie mówić ani o tym, że powstaje nowa powieść wielkiego pisarza, ani tym bardziej co zawierają jej pierwsze strony. Wyznam, że nigdy tajemnica nie ciążyła mi tak bardzo! Nie mogłem jednak zawieść mego mentora.

Dlatego przez kolejne tygodnie męczyłem się tak straszliwie. Jest coś niezrozumiałego i perwersyjnego w konieczności chronienia przed innymi prawdy, którą powinien jak najszybciej poznać cały świat. Przecież z jednej strony czułem się zobowiązany do milczenia, z drugiej jednak wiedziałem, że krzywdzę moich finnegañskich przyjaciół, nie ujawniając im treści rodzącego się na moich oczach arcydzieła. Uważałem, że każdy ma prawo je poznać. Ale pocieszałem się faktem, że kiedy skończona już powieść ujrzy wreszcie światło dzienne, każdy będzie mógł dostąpić radości obcowania z nią duchowo i intelektualnie.

Noc była trudna, bezsenna i pełna emocji. Sprawdzałem tętno, wysokie jak po długim biegu. Oto, jakie emocje potrafi wywołać naprawdę wielka literatura! Jednak nad ranem, kiedy szarzejący świt wsączył się do pokoju, pojawiły się pierwsze wątpliwości. Czy osoba, która skrywa się pod loginem „filip.wlocznik”, jest naprawdę Filipem Włócznikiem? Jaki mam dowód, że nie padłem ofiarą prowokacji? Walczyłem jednak z tymi skrzydlatymi demonami orężem literaturoznawcy: żaden prowokator nie mógłby napisać arcydzieła, nie będąc prawdziwym Filipem Włócznikiem. Byłby co najwyżej zdolny do taniej podróbki, której mizerność odkryłbym już w pierwszym akapicie.

Uspokojony tym racjonalnym tłumaczeniem, zasnąłem i spałem aż do popołudnia.

## O tajemnicy północnych pustkowi

Po przebudzeniu nie byłem pewien, czy to wszystko tylko mi się nie śniło, jednak bezcenne stronice nowej powieści Filipa Włócznika były dokładnie tam, gdzie je zostawiłem. A więc jednak! Tak bardzo chciałem podzielić się z kimś swoją radością, ale wiedziałem, że obowiązuje mnie bezwzględne milczenie. Postanowiłem jednak odwiedzić Lwa Michajłowicza Protopopowa i zagadnąć go o wrażenia z jego lektury. Wprawdzie nie będzie to pasjonująca dyskusja nad nowym arcydziełem, ale jednocześnie mój intelekt zostanie pobudzony nowymi bodźcami związanymi z genialnym polskim prozaikiem. W ten sposób rosyjski humanista, sam pozostając nieświadomy, przysłuży się podtrzymaniu mej ekscytacji. Przyznam bowiem, że tamtego dnia żaden inny temat nie mógł mnie zainteresować.

Miałem też nieznaczne poczucie winy względem Protopopowa, gdyż obiecałem mu regularne odwiedziny, ale z powodu pojawienia się na wyspie Marcina Swobody słowa swego nie dotrzymałem. Martwiłem się, że sędziwy uczoney wyczekuje mnie nadaremnie od wielu dni, nasłuchując kroków na korytarzu. Rozbudziłem w nim nadzieję i zaraz go porzuciłem. Byłem egoistą. Zauważyłem ponadto, że Protopopow nadal nie pojawia się w miejscach, gdzie zwykle się spotykaliśmy. Nie było go na przykład na ostatnim posiedzeniu u dziekana O'Grady'ego, co od razu zauważyłem i odnotowałem skrupulatnie w moim „dzienniczku pokładowym”. Nie przeceniam tu swej spostrzegawczości, ale nieobecność Lwa Michajłowicza od razu rzuciła mi się w oczy, gdyż chciałem przedstawić mu osobiście naszego nowego kolegę. Liczyłem, że poznając tych dwóch uczonych, stanę się akuszerem prawdy, gdyż Rosjanin Protopopow mógł wielce wspomóc badania Swobody, które – jak pamiętamy – wiązały Heideggera z intuicjami językowymi rosyjskiej mowy.

Ruszyłem więc na uniwersytet, by zapukać do drzwi prywatnego apartamentu wielkiego literaturoznawcy, ubrany w tweed, kaszkiet i z fajką w kieszeni. Liczyłem, że zasiądziemy sobie w fotelach, jak doktor Watson i Sherlock Holmes, każdy w swej marynarce, i gawędząc o Filipie Włóczniku, będziemy pykać z fajeczki i wymieniać fachowe uwagi na temat rodzajów tytoniu i jakości wrzośca.

Przepelniony takimi myślami, dziarsko piąłem się w górę Main Street i już miałem wejść na dziedziniec St. Brendan, kiedy na drodze prowadzącej w stronę północnych pustkowi zobaczyłem kobiecą postać. Kobiety nie są oczywiście rzadkością na Finneganach, choć jak już wspominałem, rzadko wychodzą ze swych domostw. Jednak postać, którą zobaczyłem, była kobietą ze zdjęcia. Tą samą, którą uchwyciłem nieświadomie na brzegu klifu, otoczoną kołującymi maskonurami, i tą samą, którą zauważyłem w tym samym miejscu jakiś czas później.

Protopopow nie zając, pomyślałem bystro, i nagle zmieniłem plany. Do profesora postanowiłem zajrzeć w drodze powrotnej. Tymczasem, udając, że nie zauważam kobiety, ruszyłem drogą na pustkowie. Postanowiłem wyjaśnić jej tajemnicę.

Szliśmy spacerowym krokiem, przystając co jakiś czas. Udawałem, że podziwiam przyrodę, rozglądałem się po okolicznych wzgórzach. Dzień był nieprzyjemny i pochmurny, zbierało się na deszcz i trochę się obawiałem, że moja nowa wspaniała marynarka ulegnie zamoczeniu i być może nieodwracalnemu zniszczeniu. Jednak zwyciężyła ciekawość, ten intelektualny narkotyk ludzi nauki. Minęliśmy tkalnie tweedu, gdzie bardzo chciałem zajrzeć, ale obawiałem się, że zgubię śledzoną osobę. O ile wśród zabudowań moja postać nie budziła podejrzeń, w finnegańskim tweedzie doskonale zlewałem się z otoczeniem, o tyle na wolnej przestrzeni rzucałem się jednak w oczy. Wyglądałem jak ktoś, kto śledzi tę kobietę. Gdyby tylko się odwróciła, z pewnością wyciągnęłaby takie właśnie wnioski. Wykonywałem więc różne maskujące gesty, które miały zmienić to wrażenie. Przysiadłem na kamiennych murkach; robiłem zdjęcia telefonem komórkowym; zatrzymywałem się w zadumie i z zaplecionymi na plecach rękoma podziwiałem szare, stalowe obłoki; obserwowałem maskonury, składając dłonie tak przemyślnie, że z odległości mogły udawać lornetkę; kuciałem nagle za kamiennymi murkami i przemieszczałem się na znaczne odległości niemal na czworakach, niewidoczny dla nikogo. W końcu skutecznie uśpiłem jej czujność.

Przez ten czas oddaliliśmy się znacznie od Newport i miasta nie było już widać. Za nami wyrastał tylko masyw St. Brendan. Kobieta szła w kierunku samotnej zagrody, o której wspominałem wcześniej. Domostwo leżało przy północno-wschodnim krańcu wyspy. Budynek mieszkalny i kilka gospodarczych (zapewne stajnie na owce) tworzyły malowniczy obraz na tle zielonych wzgórz. Z gospodarstwa tego niedaleko było do morza, brzeg opadał łagodnie i mogłem zaobserwować pozostałości niewielkiej przystani. Potem dowiedziałem się, że tam właśnie znajdował się stary port rybacki na Wielkim Finneganie; co tłumaczyło znakomicie pochodzenie nazwy Newport (nad czym wcześniej długo łamałem sobie głowę).

Idąc tak, zbliżyliśmy się do zabudowań, ja trzymający się w pewnej odległości, a kobieta zupełnie nieświadoma mej obecności. Nagle zagrzmiało i lunął rześisty deszcz. Nie wiedziałem, co wpierw ratować: siebie czy moją nową marynarkę. Rzuciłem się do biegu i niedługo po nieznajomej dopadłem pierwszych zabudowań samotnego gospodarstwa. W tym momencie ją rozpoznałem.

– Śledzisz mnie? – zapytała Jadranka Vidović.

– Nie, schowałem się przed deszczem.

– Spacerowałeś po Newport i kiedy lunęło, to najbliższym schronieniem okazał się ten dom na pustkowiach, tak?

– Każdy może spacerować po pustkowiach. Mnie się lepiej myśli na świeżym powietrzu.

– Myślał, kicając jak zając – zaśmiała się Chorwatka.

– To jakiś cytat z prozy bałkańskiej? – spytałem zaciekawiony.

Spojrzała na mnie zdziwiona. Miałaby piękną twarz, gdyby nie ta odrażająca blizna. Duże, bursztynowe oczy, czarne włosy. Gdyby tylko nie ta blizna!

– Nie, zwykła obserwacja. Teraz mniej pada, przebiegnijmy szybko do domu.

I nie czekając na moją decyzję, puściła się biegiem przez rozmoknięte podwórko. Rzuciłem się za nią i po chwili moja tweedowa marynarka była ocalona. Znaleźliśmy się w kuchni gospodarza, pana Harrisa, właściciela większości owiec na naszej wyspie. Widać, że znali się z Chorwatką dobrze, bo rozmawiali przyjaźnie. Jadranka przedstawiła mnie zdawkowo, nie wspominając o moich badaniach naukowych, sukcesach i kluczowej roli, jaką odgrywałem w ostatnich działaniach St. Brendan College. Pan Harris był miłym Finnegańczykiem zbliżającym się do sześćdziesiątki, jego wiek potwierdzały hodowane od lat bokobrody, wspomnienie młodości i szalonych lat siedemdziesiątych.

Siedliśmy w obszernym pomieszczeniu, a pan Harris zaparzył kawę i nalał nam po szklaneczce whiskey. Owinięci pledami, ogrzewaliśmy się w ciepłe paleniska, popijając mocną kawę z blaszanych kubków.

– Po śmierci żony wytlukły mi się filizanki – powiedział przeprasząco, kiedy oparzyłem się w wargi.

Po kwadransie gospodarz przeprosił nas i wyszedł po drewno. Zostaliśmy sami. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Patrzyłem na Jadrankę, ale mój wzrok ściągała ta blizna, paskudna, o nierównych brzegach, a kiedy odwracałem spojrzenie i udawałem, że podziwiam wewnątrz, wyglądało to jeszcze mniej naturalnie. Kłopotliwa sytuacja. Chorwatka milczała, aż w końcu usłyszałem jej śmiech.

– Możesz na nią patrzeć, przyzwyczaiałam się przez te lata. Masz taką głupią minę.

Zachęcony, zacząłem wypytywać o wątek winorośli w prozie Bałkanów. Miałem kilka ciekawych intuicji i spostrzeżeń, którymi od razu podzieliłem się z tą dziwną kobietą. Ona zapytała mnie o Marcina Swobodę, czy można mu zaufać, i tak gwarząc wesoło, wypiliśmy kawę, whiskey, a deszcz przestał padać. Pożegnaliśmy się z panem Harrisem, który w gumowcach przemierzał podwórko, wykonując sobie tylko znane obrzędy gospodarcze, i razem ruszyliśmy w drogę powrotną. Umówiliśmy się, że będziemy czasem razem spacerować po północnych pustkowiach, oczywiście przy sprzyjającej pogodzie. Tak się zagadałem, że zapomniałem o planowanych odwiedzinach u Protopopowa. Kiedy więc Jadranka Vidović, zatrzymując się przy St. Brendan, powiedziała, że idzie do Lwa Michajłowicza, stwierdziłem, że ja też.

Chorwatka nagle spoważniała i zdawało mi się, że przez jej twarz przeleciał grymas strachu. Nie mam jednak pewności, gdyż wyraźna deformacja, o której już wspominałem, nie pozwalała mi czytać z niej jak z księgi. Jadranka chwilę milczała, jakby szukała słów, po czym poprosiła:

– Nie chodź do niego, on ostatnio ciężko choruje. Dlatego się nie pojawia w dawnych miejscach. Obawiam się, że to już koniec...

Urwała i oddaliła się, zakłopotana. A więc wielki Lew Michajłowicz umierał! Przez me serce przeszedł mróz i pozostawił tam wielki, raniący duszę sopel. Przed oczyma stanęła mi pogodna, dostojna twarz rosyjskiego humanisty, który zapewne jeszcze kilka tygodni temu nie przeczuwał, że swój kres znajdzie na położonych poza horyzontem wysepkach Finneganów. Nerki i wrastające paznokcie, na to się przecież nie umiera. A jednak! Taki był wesoły i pełen nadziei, kiedy ostatnio gwarzyliśmy sobie od serca. Tyle

mieliśmy planów, tyle tematów do przegadania! Zapewne chciał dowiedzieć się czegoś o Filipie Włóczniku albo opowiedzieć o swym *opus magnum* i być może zasięgnąć nawet mej skromnej opinii. Zasmuciłem się, myśląc nad tą przyszłością, której nie będzie. I postanowiłem uszanować powagę śmierci.

Minąłem więc tylko gotycki masyw uniwersytetu i ruszyłem do domu. Tajemnica kobiety z pustkowi została wyjaśniona. Przyznam, że liczyłem w duchu na ciekawsze rozwiązanie tej zagadki.

## O końcu badań

Tego wieczoru miałem kolejną sesję badawczą w domu profesor O'Sullivan. Przebrałem się więc w suche ubranie, zostawiłem mój wspaniały tweed, aby ostatecznie wysechł, i ubrany w znienawidzone sztruksowe okrycie ruszyłem na Slam Row. Przemykałem chyłkiem, licząc, że nie spotkam żadnego ze swych studentów, którym przecież obiecałem już tę marynarkę.

Sadhbh przyjęła mnie ciepło. Od razu poszliśmy na górę i po półgodzinnej prezentacji technik wzajemnej masturbacji oznajmiła mi, że mój udział w badaniach dobiegł końca. Wiedziałem, że to kiedyś musi nastąpić, ale zrobiło mi się smutno. Zżyłem się z tym projektem i po cichu miałem nadzieję, że profesor O'Sullivan znajdzie w nim dla mnie ważne miejsce. Miałem też wiele pomysłów, jak rozwinąć jej badania i sądzę, że wprowadzenie moich propozycji mogłoby znacznie podnieść rangę tych dociekań. Nie chciałem się jednak narzucać.

Sadhbh podjęła mnie na zakończenie skromną kolacją, podczas której opowiadała o swych dalszych planach. W zanadrzu miała pomysł na książkę, o którym mówiła rozemocjonowana, co chwila dolewając nam wina. Miało to być swoiste dopełnienie rozpoczętego trzy dekady temu dyptyku, zatytułowane *Łechtaczka w dziejach* (choć tu dużo lepsze jest brzmienie oryginału: *Clit in Time*). Z zaciekawieniem wysłuchałem obszernego omówienia tego fascynującego projektu, wtrącając czasem swoje celne obserwacje i bystre domysły.

Pożegnaliśmy się w przyjaźni, obiecując sobie współpracę naukową w bliżej nieokreślonej przyszłości.

## O odwadze i miłości

Wróciłem do domu i tam, na łóżku, do późna rozmyślałem intensywnie o kobietach. Sadhbh była dojrzała, pełna i mądra. Jadranka dużo młodsza i ładna, ale ze skazą. Tamtego dnia przebywałem z nimi obydwoma. Relacje z profesorem O'Sullivan miały charakter czysto zawodowy, łączyło nas wspólne umiłowanie prawdy i wysoki etos naukowców.

Natomiast zaczynałem podejrzewać, że biedna Chorwatka podkochuje się we mnie. Zawsze była wobec mnie oschła, nawet niegrzeczna, jakby chciała zamaskować głębsze uczucia. Kilkakrotnie pojawiła się na mojej drodze, jakby postawiona tam celowo. Zawsze sam na sam, podczas spacerów na pustkowiach. Nie pisałem o tym wcześniej, ale podczas popołudniowego epizodu z tropieniem jej tajemnicy miałem wrażenie, że sama mnie prowokuje. Celowo (widząc, że zbliżam się do gmachu uniwersytetu) stanęła na drodze, abym ją zobaczył. Kiedy tylko upewniła się, że skojarzyłem jej postać z sylwetką widzianą wcześniej na klifie, ruszyła pod górę i dalej, w głąb pustkowi, jakby wciągała mnie w zasadzkę. Szedłem za nią, przekonany, że to ja jestem łowcą, a tymczasem byłem zwierzyną. Jakże dałem się podejść!

Zwabiła mnie na bezdroża, aż do zagrody pana Harrisa. Stary irlandzki pasterz o wszystkim wiedział, czekał już z kawą i szklaneczką whiskey, o nic nie pytał, a w kluczowej chwili dyskretnie wycofał się rąbać drewno. Rąbać drewno w deszcz, też pomysł! O nic nie pytał, gdyż Jadranka o wszystkim go uprzedziła. Poprosiła o dyskrecję, może nawet za nią zapłaciła, i miała mnie wyłącznie dla siebie.

Tylko po co? Po co te zabiegi, kluczenie, zasadzki? Wszystko było jasne: młoda chorwacka humanistka zakochała się we mnie! Zakochała od pierwszego wejrzenia. Spacerowała z Lwem Michajłowiczem, zobaczyła mnie i trafił ją piorun. Bałkańska krew od razu się gotuje, nic dziwnego, taki temperament. Potem próbowała się do mnie zbliżyć, impuls serca, kiedy spotkaliśmy się w sklepie z tweedem. Zalotna, przymierzająca czapkę, pewnie szybko wystraszyła się swej odwagi. Ale dlaczego nie umówiła się ze mną, nie podeszła, nie zagadała podczas tak licznych spotkań? Co tydzień bywaliśmy na zebraniach u dziekana, potem wspólne obiady w porcie, wreszcie nie było tajemnicą, gdzie mieszkam ani gdzie chodzę wieczorami na zasłużoną szklanekę guinnessa. Dlaczego tego nie wykorzystała, tylko wymyśliła tę dziecinną grę z pustkowieciami, jakby właśnie przeczytała powieść którejś siostry Brontë i zatęskniła pensjonarsko za wrzosowiskami i wyspiarskimi wichrami?

Z początku nie potrafiłem tego zrozumieć, lecz po chwili wszystko stało się jasne. Nauczona smutnym doświadczeniem Jadranka wiedziała doskonale, że w miejscach publicznych mogę ją odrzucić, mogę wstydzić się jej szpetoty i podświadomie chcieć uciec. Otaczaliby nas ludzie, mnie krępowałoby jej uwodzicielskie spojrzenie, wszyscy by na nas patrzyli. Tak, ta biedna dziewczyna musiała nieraz doświadczyć podobnych upokorzeń. Dlatego wywiodła mnie na pustkowieciami – wywiodła w pole, można powiedzieć

– aby dać się poznać poza tym całym zgiełkiem i towarzyskimi konwenansami. Biedna Jadranka, zraniona pewnie o wiele głębiej niż ta ohydna blizna! Ileż musiała przeżyć, ileż wycierpieć. Najpierw tam, w dawnej Jugosławii, a potem tu, przez te wszystkie lata. Inteligentna, urodziwa, lecz zawsze odtrącana. Oto, na co jej przyszło: pielęgniarzka starego Protopopowa, wspierająca go niczym kula kalekę.

Leżałem w swym małym pokoiku, pykałem fajkę i nagle zrobiło mi się Jadranki Vidović tak strasznie żal, że pod powiekami poczułem łzy. Tak, nie wstydzę się tych łez współczucia, które wywołało we mnie cierpienie drugiego człowieka. Wtedy, w tej chwili głębokiego wzruszenia, podjąłem heroiczną decyzję: dam Jadrance miłość. Nie potrafiłbym jej pokochać naprawdę (blizna!), ale mogę sprawić, by przez ten czas, który mi pozostał na Finneganach, czuła się kochana. Będę udawał, że odwzajemniam jej uczucie, a później, po moim wyjeździe, wszystko się jakoś rozejdzie. Ale biedna dziewczyna zyska te kilka tygodni szczęścia, które zachowa w sobie do końca życia. Mogłem jej ofiarować to wspomnienie.

Na początek wybaczyłem jej w myślach tak powierzchowne przedstawienie mojej osoby panu Harrisowi. Wiedziałem już bowiem, że musiała mu o mnie długo opowiadać wcześniej, wprowadzając go w szczegóły swego sekretnego planu.

Rozumiałem powagę mojej decyzji. I jednocześnie wiedziałem, jak niebezpieczny jest to plan. Jadranka wprawdzie kochała mnie nieszczęśliwie, a miłość zaślepia, ale nie była głupia. Przecież nie każdy potrafi przedrzeć się przez całą literaturę południowych Słowian i wydobyć z niej oraz zinterpretować tak fundamentalny motyw, jak motyw winorośli. Była zatem mądra i inteligentna, tak więc potrzebowałem sprytu, by uwierzyła w ten cud – że oto ja, mężczyzna przystojny i inteligentny, który może mieć wszystkie kobiety, jakich tylko zapragnie, nagle zakochuje się w oszpeconej potworną blizną chorwackiej humanistce nie pierwszej już młodości. Musiałem się zachowywać wiarygodnie. Już moja w tym głowa, żeby uwierzyła!

Usypiałem ze spokojem człowieka, który dokonał słusznego wyboru. Ilekroć bowiem wiemy, że dzięki naszym czynom i wyrzeczeniom pomnaża się w świecie dobro, możemy spać spokojnie.



## O pewnym podejrzeniu

Byłem z siebie dumny, gdyż od dłuższego czasu prowadziłem życie nienaganne moralnie i intelektualnie. Heroizm postanowienia, by odwzajemnić miłości Jadranki, oraz dyscyplina pracy naukowej czyniły ze mnie człowieka szczęśliwego. Niestety, mój nowy towarzysz, Marcin Swoboda, nabrał dziwnego obyczaju dzwonienia o różnych porach dnia i wyciągania mnie na piwo. Sprawiał wrażenie, jakby nie do końca rozumiał, jaką szansą jest dla niego pobyt na Finneganach.

Ten wytrawny intelektualista i znawca Heideggera najwyraźniej został zepsuty przez mizериę niemieckich uniwersytetów. A przecież funkcjonowały one zapatrzona w lata dawnej świetności, podupadając coraz bardziej. Na teutońskiej ziemi nie rodzili się już wielcy filozofowie, słynne katedry przejmowane były przez żalosnych epigonów i pokurczów intelektualnych.

Marcin Swoboda zachowywał się, jakby przyjechał do Newport tylko po to, by chodzić po pubach i pić piwo. Z początku tego nie zauważałem, lecz z czasem stawało się to coraz wyraźniejsze. Schodziłem więc i ja do starego Toby'ego, aby przekonywać polskiego uczonego, że nauka jest najważniejsza. Próbowałem przemawiać mu do rozsądku, dodawać otuchy, chwalić ponad miarę jego wątpliwy (o czym już wspominałem) projekt monografii. Niestety: nie dość, że mój przyjaciel pograżał się coraz bardziej, to jeszcze ciągnął mnie na dno ze sobą.

Ileż to razy zmuszony byłem towarzyszyć mu w portowych knajpkach, pijąc podejrzaną whiskey i śpiewając patriotyczne pieśni? Ileż razy dochodziło przez niego do gorszących scen, gdy pijani wracaliśmy do swych kwater, recytując uśpionym mieszkańcom miasteczka najpiękniejsze strofy polskiej poezji, plugawiąc je naszym upojeniem?

Chcąc uprzedzić pełną potępienia reakcję czytelników, muszę zaznaczyć, że nie wspominam o tym wszystkim dla czezej przechwałki („swego czasu potrafiło się wypić...”), lecz by uświadomić, jak drastycznej zmianie uległa nasza serdeczna przyjaźń. Mój wierny druh staczał się na dno egzystencji, a ja nie potrafiłem go uratować. Kiedy zadzwonił po raz pierwszy, niedługo po moim spotkaniu z Jadranką Vidović, przyjąłem jego zaproszenie z entuzjazmem. Rad, że Marcin Swoboda zaaklimatyzował się na dobre i postanowił wieść życie pełne intelektualnych dysput, narzuciłem marynarkę, wziąłem fajkę i tytoń, po czym zbiegłem po schodach do pubu starego Toby'ego.

Tu muszę wyjaśnić, że wprawdzie na Finneganach – podobnie jak w całej Irlandii – oficjalnie obowiązuje zakaz palenia w miejscach publicznych, jednak moc starego obyczaju jest silniejsza niż prawo. Nadto nie ma na wyspie żadnego funkcjonariusza państwowego, który mógłby się temu lekceważeniu dla przepisów porządkowych przeciwstawić. O ile mi wiadomo, w Newport nie było umundurowanych ludzi od czasów wojny (nie liczę tu listonosza z Tory Island, który raz w tygodniu schodził z trapu na nabrzeże, przebywając na finnegańskiej ziemi nie dłużej niż kilka minut).

W pubie zastałem Marcina Swobodę w szampańskim humorze. Jak się później okazało, jego samopoczucie było związane z wcześniejszą konsumpcją alkoholu. Po chwili siedzieliśmy w fotelach (biedny, umierający Protopopow nadal nie pojawiał się publicznie; tak puste było miejsce po nim!) i spowici żeglującymi łagodnie chmurami fajkowego dymu rozmawialiśmy w najlepsze o literaturze i filozofii. Wtedy zrozumiałem mój dramat. Byłem otoczony życzliwymi ludźmi, którzy lubili mnie i podziwiali. Z każdym chciałem rozmawiać o tym, co dla mnie najważniejsze, ale z nikim nie mogłem. Zaufanie, jakim obdarzył mnie Filip Włóczyk, pieczętowało mi usta. Nie miałem prawa pokazać jego najnowszej powieści ani Lwowi Michajłowiczowi, ani Jadrance, ani Marcinowi Swobodzie – że o Haggisie, O’Connellu i pocziwym Balzavourze nie wspomnę.

Prowadziłem więc rozmowy na tematy drugorzędne, zapewne ważne i doniosłe, lecz mało mnie w tamtym czasie obchodzące. Byłem sam pośród przyjaciół, obcy pośród bliskich. Tajemnica ciążyła mi jak nigdy.

Nagle spojrzałem na Marcina Swobodę i doznałem olśnienia. Mówił o czymś, gestykulował, radosny i rozentuzjasmowany, pozornie taki sam jak zawsze. Ale uświadomiłem sobie, że oto siedzi przede mną sam Filip Włóczyk! Nikt przecież nie znał jego twarzy, autor skrzętnie ukrywał swój wygląd, nie dementując pogłosek i pozwalając rosnąć plotkom. Obrószony zaś legendą, mógł niepostrzeżenie pojawiać się w dowolnym towarzystwie i podając się za kogoś innego, prowadzić swoją grę: właściwą literatom bezlitosną obserwację świata i ludzi.

Dlaczego Marcin Swoboda nie zainteresował się moimi opowieściami o Filipie Włóczyku? Dlaczego ziewał i nie potrafił opanować znużenia? Odpowiedź jest tylko jedna: bo to wszystko nie było dla niego niczym nowym. Znał swoje dzieła, znał je lepiej niż ktokolwiek. Znał też moje prace na swój temat, o czym wspominał w e-mailu. Nie potrafiłem go zaskoczyć. Mało tego – rozmawiając o twórczości Filipa Włóczyka, mógł doprowadzić do własnej demaskacji! Nie dałby rady udawać w dyskusji, że nie zna swych książek. Podjąwszy polemikę, zdradziłby się, że zna tę twórczość lepiej, niż powinien. Stąd musiał pochodzić ten smutek, który odkryłem w jego oczach, kiedy wręczałem mu jego własną książkę, pamiętny *Rok bez końca*. Miałem go jak na widelcu!

Ktoś inny przyspiliłby mistyfikatora kilkoma prostymi sztychami. Można było rzucić, niby mimochodem, uwagę, że Włóczyk to grafoman, i śledzić reakcję Marcina Swobody; można było zawołać go, gdy się na chwilę odwróci lub pójdzie po kolejną kolejkę do baru, własnym imieniem. Nic prostszego niż tak zrobić; ale nie chciałem. Zbyt go szanowałem, by sprawdzać jak uczniaka, który wykradł czekoladę z kredensu. Co z tego, że udowodniłbym słuszność swoich podejrzeń, a jemu wykazał, że wiem? Zdemaskowany Włóczyk odsunąłby się ode mnie, poczuł zdradzony. Wołałem naszą dotychczasową grę.

E-mail z pierwszym rozdziałem nowej powieści przyszedł już po przyjeździe Swobody. A zatem chciał być przy tym, jak go dostaję, obserwować moje reakcje. Nie mogłem się wygadać, że dostałem taki załącznik, ale mogłem wykazywać ogólny

entuzjazm. Jeśli Marcin Swoboda jest w istocie wielkim polskim fantastą, będzie znał powód mojej radości. Tak też zachowywałem się przez cały tamten wieczór.

Kiedy jednak mój przyjaciel wyszedł do toalety, nie mogłem się opanować i sięgnąłem do kieszeni jego kurtki, by zerknąć na jakiś dokument. Marcin Swoboda miał w portfelu dowód osobisty na nazwisko Marcin Swoboda, jakąś kartę kredytową i legitymację biblioteczną z bardzo starym zdjęciem. Byłem zawiedzony, ale tylko przez moment: przecież Marcin Swoboda to mogły być prawdziwe personalia Filipa Włócznika, to zaś, co brałem za imię i nazwisko, było literackim pseudonimem! Wszystko układało się w spójną całość. Tym się zdemaskował – posiadając dokumenty na prawdziwe nazwisko.

Swoboda, niczego nie podejrzewając, wrócił do mnie z dwoma piwami, nieco teatralnie rozgarnął dłońmi dym fajkowy i usiadł w głębokim fotelu. Był taki malutki i przykurczony, w niczym niepodobny do wielkiego pisarza!

– Przeleciałeś już tę grubą feministkę? – zapytał nagle.

Dałbym mu w twarz, ale wiedziałem, że tylko udaje grubiaństwo, by oddalić moje podejrzenia. I hołd by mu oddali, ale przegrzebki jedli! Albo maskonury po finnegańsku.

## O Margaret z Yorku

Jeśli mogę sobie coś zarzucić, to niepełne zaangażowanie w pracę dydaktyczną. Tak wiele spraw odciągało mnie od moich kochanych studentów, że nie przykładałem się do wykładów tak, jak to planowałem jeszcze w Polsce. Oczywiście, moje doświadczenie i rutyna starego belfra sprawiły, że prowadziłem zajęcia na najwyższym poziomie i nie sądzę, by uczniowie mieli jakiegokolwiek powody do skargi. Chcę tylko powiedzieć, że wykłady, które dla mnie samego miały się stać nowym otwarciem, świeżym spojrzeniem na twórczość Filipa Włócznika, okazały się tylko powtórzeniem błyskotliwych kursów, które prowadziłem wcześniej.

Dla moich finnegańskich studentów wszystko było tak nowe i świeże, że ich entuzjazm rozgrzeszał mnie z tego zaniedbania. Podczas gdy oni czytali na głos przygotowane przeze mnie jeszcze w ojczyźnie streszczenia kolejnych powieści Włócznika, ja spacerowałem po sali i przyglądałem się badawczo tym młodym i pełnym siły witalnej ludziom.

Margaret z Yorku jest cichą myszką, która siedzi w kącie, wszystko notuje i nigdy nie zabiera głosu. Zapytana o dowolną rzecz, tłumaczy się, że nie wie, i nerwowo kartkuje notatki. Byłaby typową przedstawicielką znanego wśród uczniów gatunku, gdyby nie to, że jest piękna, nie nosi okularów i dobrze się ubiera. To połączenie jest zachwycające, gdyż jej uroda powiązana z niewymuszoną i pokorną fascynacją wiedzą przyciągają uwagę w dwójnasób. Ma duże, niebieskie oczy, które ze skupieniem wodzą nie tylko za mną – co zupełnie zrozumiałe – ale za każdym, kto akurat trzyma pałeczkę w intelektualnej dyspacie. Jednak kiedy ktoś próbuje jej przekazać ową pałeczkę, ta upada na ziemię i intelektualna sztafeta zostaje przerwana.

Margaret nie jest głupia, tylko nie ma własnego zdania. Oplata się wokół czyichś słów, zapamiętuje je, z większością się zgadza. Mimo milczenia prowadzi wewnątrz burzliwe spory, jest zaangażowanym w każdą rozmowę uczestnikiem, któremu jednak ktoś wyłączył fonię. Tylko słucha, nic nie mówi. Wie wszystko, a jak nie wie, to spędza długie godziny w czytelni, by nadrobić braki w wiedzy. Wystarczy wspomnieć o czymś, aby zobaczyć, jak Margaret pilnie notuje, a potem sprawdza u źródła. Jednak sama wie – albo niedługo się dowie – że jest jak encyklopedia, która samodzielnie nie myśli. Zachwyca się każdą wartą zachwyty myślą, i tak przechodzi od zachwyty do zachwyty, onieśmielona wielkością omawianych postaci, ważnością przywoływanych cytatów i przenikliwością prezentowanych teorii. Jest tylko świadkiem humanistycznych sporów, kibicem mądrości, sublokatorką nauki.

Nie wiem, co Margaret będzie robiła za kilka lat. Ale nie sądzę, żeby zajęła się pracą badawczą. Znajdzie pewnie jakąś przyzwoitą, dobrze płatną pracę, która spożytkuje jej wiedzę. Czasem powróci wspomnieniami do lat uniwersyteckich i pasjonujących dyskusji, które prowadziła – bo tak zapamięta swoją niemą obecność na zajęciach. Nie przestanie śledzić z dystansu tych kilku dziedzin, które fascynują ją najbardziej, lecz z

każdym rokiem będzie się od nich coraz bardziej oddalać, bo mało czasu, bo praca, bo rodzina. Kiedy zostanie babcią, nikt nie pomyśli, że kiedyś dobrze się zapowiadała i nosiła w sobie wiedzę wartą fortunę.

Moje myśli żeglowały jednak nie ku młodej Angielce, lecz odpływały w stronę Jadranki, z którą byłem umówiony zaraz po zajęciach. Ilekroć ją wspominałem, przypominała mi się moja wspaniałomyślność i czułem wewnętrzną dumę.

## O długich spacerach

Tak zaczęły się nasze spotkania, z początku sporadyczne, niby przypadkowe, a później już planowane i wyczekiwane. Najpierw spotkałem ją niby niespodziewanie na korytarzu w St. Brendan. Przywitałem się i zauważyłem, że nie pada, po czym wspomniałem nasz spacer.

– Może byśmy go powtórzyli? – zaproponowałem niezobowiązująco, kartkując ostentacyjnie powieść Filipa Włócznika.

Jadranka zgodziła się i popołudnie następnego dnia wypełniła nam długa przechadzka po północnych pustkowiach. Wędrowaliśmy wzdłuż kamiennych murków, które tworzyły na zielonych płaszczyznach wzgórz istny labirynt. Kiedyś oddzielały pastwiska różnych właścicieli. Po latach, gdy większość mieszkańców na Wielkim Finneganie wycofała się z hodowli owiec, wszystkie pola przejął pan Harris. Dlatego w części szarych ogrodzeń wybito przejścia, by stada owiec mogły nieskrępowanie krążyć w poszukiwaniu najlepszej trawy. Ale ktoś, kto nie znał tych sekretnych bram, mógł łatwo się zgubić. Nie groziło mu co prawda żadne niebezpieczeństwo, ale punktualny powrót na obiad stawał pod znakiem zapytania.

Zaprowadziłem Jadrankę na północne klify i przez wiele minut oglądaliśmy kolonie maskonurów, które tak uwielbiała. Później wdrapaliśmy się na sam szczyt Toehill, a ja pokazywałem jej z wierzchołka cały archipelag Finneganów. Słuchała uważnie, jak pilna uczennica, lekko otwierając usta. Starłem się nie patrzeć na nią, by na dnie mych oczu nie wyczytała prawdy. Ale szybko stałem się jej mentorem i z tej relacji zamierzałem przejść metodycznie w stronę zakochania. Oto inteligentny i przystojny humanista znajduje pojętną uczennicę, która może nie grzeszy urodą, ale podziela jego pasje. Dlatego, nie zważając na fizyczne mankamenty, zakochuje się w niej, odpowiadając na jej uczucie. Ten plan wydał mi się świetny, dlatego precyzyjnie przystąpiłem do jego realizacji. Naszym sojusznikiem był pan Harris, częstujący dobrą irlandzką whiskey i mocną kawą.

Jadranka była kilka lat młodsza ode mnie. Nie za wiele, ale ta różnica dawała mi możliwość zbudowania naszego związku na relacji mistrz-uczeń. Słuchała moich opowieści o Filipie Włóczniku, o jego prozie (oczywiście ani słowem nie zdradziłem sekretu ostatniej powieści!). Chętnie pytała o Polskę, o naszą kuchnię i obyczaje. Czasem próbowaliśmy porzucić angielszczyznę, rozmawiając we własnych językach. Ta słowiańska śpiewność, którą wiatr niósł po zielonych finnegańskich łąkach, była nam obojgu bardzo potrzebna. Oczywiście Jadranka nie mówiła po polsku, ale ponieważ ja dość biegle władałem wszystkimi językami dawnej Jugosławii, rozmawialiśmy bez przeszkód.

Z czasem moje opowieści zmieniły się w krótkie i błyskotliwe wykłady, improwizowane na dowolny temat. Mówiłem o obyczajach godowych maskonurów, o przepisach na jagnięcinę, o wspinaczce górskiej, a Jadranka słuchała, zakochana. Szliśmy wtedy na przełaj, po trawie, ja w tweedowej marynarce, z dłońmi splecionymi na plecach,

ona dwa kroki za mną, jakby chcąc nadążyć. Gubiliśmy się w kamiennych labiryntach, by po chwili znowu odnaleźć drogę.

To były piękne chwile.

## O rozdziale drugim

Równy dwa tygodnie po otrzymaniu pierwszej części rodzącego się w umyśle i komputerze Filipa Włócznika arcydzieła dostałem e-mail z kolejną porcją tekstu. Przyznam, że czas ten spędziłem na nerwowym oczekiwaniu, gdyż nie wiedziałem, czy wielki polski fantast odezwie się znowu ani też kiedy to nastąpi. Równie dobrze kolejny rozdział mógł spłynąć z dalekiej Polski na moje finnegańskie wygnanie za miesiąc lub dwa. Wyznam, że takiego napięcia bym nie wytrzymał. Co bym wtedy zrobił? Wolę o tym nie myśleć. Kiedy wreszcie znalazłem w wieczornej poczcie upragnionego e-maila, a pod nim znajomy symbol spinacza, poczułem, jak schodzi ze mnie stres. Poczułem błogość.

Znów powtórzyłem rytuał i zaparzywszy herbatę, siadłem do lektury. Kupiłem nawet w księgarni specjalną ozdobną teczkę, w której z nabożeństwem składałem przeczytane już strony. Z czasem zapełniła się niemal po brzegi, ale nie uprzedzajmy faktów.

Drugi rozdział rozpoczyna się wspaniałym opisem zmagania ludzkiego ducha. Przez kilka tygodni Goffredo da Siena męczy się ze swymi snami, coraz wyraźniej widzi, że jego codzienne życie rozmija się z niegdysiejszymi marzeniami. Śni o wspaniałej Ionie i dojrzewa w nim gotowość do czynu.

Pewnego dnia bierze pielgrzymi kostur, do sakwy pakuje chleb, oliwki i kawałek sera, po czym rusza w stronę Iony. Idzie, pokonując przeciwności losu, walcząc z niebezpieczeństwami i odpędzając liczne pokusy. Wiemy, że nigdy nie wróci do Italii, nigdy nie zobaczy rodzinnych stron.

Drugi rozdział wypełniony jest opisem tej straceńczej na pozór podróży, upartego przedzierania się przez wypalony ogniem barbarii kontynent ku północnym morzom, ku wyspie św. Kolumby. Warto wtrącić, że Iona pojawia się ciągle w marzeniach braciszka i młody mnich wyobraża ją sobie jako piękną kobietę w białej szacie, która uwodzi go, ale jednocześnie pozostaje niedostępna. Wspaniałe połączenie erotyki i symboliki maryjnej, kolejny dowód mistrzostwa Filipa Włócznika!

Jednocześnie brat Goffredo niesie w swojej sakwie wstydlivy sekret, brzemię własnej winy. Oto z klasztornej biblioteki, spomiędzy wiechci słomy i kaskad kurzych odchodów, wykradł ostatnią dobrze zachowaną księgę, *Confessiones (Wyznania)* św. Augustyna. Wie, że ocalił rękopis przed zagładą, wie, że nikomu z współbraci nie będzie wykradzonej księgi brakowało, gdyż nawet nie wiedzieli o jej istnieniu, a analfabetyzm uniemożliwiał im delectowanie się frazami biskupa z Hippony. Jednak mimo tych oczywistych argumentów kradzież pozostaje kradzieżą. W duszy młodego Goffredo rozgrywa się dramat sumienia. Ratując rękopis, stracił niewinność; oto konflikt tragiczny co się zowie! Podróż na północny zachód odbywa się więc w kontekście wewnętrznego konfliktu. Ileż razy bohater chce zawrócić, ileż razy prosi Boga o wybaczenie! Nie muszę chyba dodawać, że dziś w polskiej prozie nikt lepiej nie potrafi oddać napięć, które rozrywają człowieka, niż genialny Filip Włócznik.



Podróż jest trudna nie tylko z powodów moralnych. Na biednego Goffredo czyhają liczne niebezpieczeństwa. Lasy pełne są dzikiego zwierza, gościńce roją się od zbójników, połacie Italii i Galii przemierzają hordy rzezimieszków. Do tego pielgrzymowi grożą liczne pokusy. Ileż razy chciał zaprzestać swej wędrówki i osiąść u dobrych ludzi, którzy obdarowali go gościna! Ileż razy ledwie oparł się pragnieniu, by szukać spokoju w objęciach galijskich i frankońskich dziewcząt! Założyć rodzinę, osiąść na roli, wieść normalne życie i cieszyć się nim – to wszystko było tak blisko!

Jednak nasz bohater brnie dalej, aż dociera na brzeg morza. Tu kończy się znany świat i zaczyna groza wyprawy w nieznane. Goffredo widzi białe wybrzeża, dopływa do Anglii, przemierza wyspę i przedostaje się na ziemię Irlandii, gdzie udaje mu się znaleźć statek płynący na Ione. Jest blisko, święta wyspa już majaczy na horyzoncie.

Wtedy jednak zrywa się sztorm i łódź zbacza z kursu. Celtyccy żeglarze przekrzykują się w nieznanym młodemu zakonnikowi języku, na morzu szaleje burza, niebo jest czarne i nieprzeniknione. Walka z żywiołem trwa, wycieńczony morską podróżą Goffredo mdleje. Kiedy się ocknie, dookoła zobaczy zielenie wyspy, a za swymi plecami resztki zniszczonej przez żywioł łodzi. Jest obolały i poraniony, ale ocalał – jako jedyny z całej załogi. W zatoce unoszą się trupy żeglarzy, na brzegu widać połamane wręgi i splątane liny.

Nad zakonnikiem pochylają odziani na białe mnisi. Dotarł do celu.

Opowieść, którą snuje Włócznik, jest jak irlandzka plecionka, w której wątki krzyżują się i zazębiają, gubią i powracają na nowo. Kunszt polskiego pisarza jest tu wprost niebywały. Nigdy wcześniej nie czytałem w języku polskim takich fraz, nigdy nie byłem świadkiem tak dopracowanej konstrukcji. Każdy akapit jest małym arcydziełem, miniaturką w wielkiej iroszkockiej księdze, pełnej wzorów, inicjałów i bordiur. Rozdział drugi przeczytałem z zapartym tchem.

## O pierwszych rysach

Mając pewność, że Marcin Swoboda jest naprawdę Filipem Włócznikiem (lub, ujmując rzecz precyzyjniej: Filip Włócznik jest naprawdę Marcinem Swobodą), postanowiłem memu przyjacielowi dawać sygnały, że kolejny rozdział jego powieści zrobił na mnie wielkie wrażenie. Nie musiałem udawać, chodziło tylko o wydobycie i podkreślenie pewnych emocji, które i tak przeżywałem. Zawsze więc w dzień po lekturze nowej partii tekstu byłem ożywiony i rozemocjonowany, nie zdradzając oczywiście powodu tego nastroju.

Kiedy dotarło do mnie, że Filip Włócznik jest moim przyjacielem, razem pijamy piwo i żartujemy, zrozumiałem, jakie szczęście mnie spotkało. I jednocześnie byłem mu wdzięczny, że przyszedł do mnie pod postacią Swobody. Spójrzmy bowiem prawdzie w oczy: nawet ja, którego opanowanie i powściągliwość są znane, nie podołałbym spotkaniu twarzą w twarz z Filipem Włócznikiem (przedstawiającym się jako Filip Włócznik). Byłbym onieśmielony i zakłopotany, klecił niezdarne komplementy. Początkowa radość ze spotkania mistrza przerodziłaby się w udrękę. Nie byłem gotowy na spotkanie z geniuszem.

Wiedział o tym wszystkim Filip Włócznik, znawca ludzkiej duszy i genialny obserwator naszych zachowań. I dlatego pojawił się w moim życiu nie jako wielki pisarz, tylko garbaty heideggerzysta, oczekujący raczej pomocy niż podziwu; biedny, zahukany człowiek, którym mogłem się troskliwie zająć.

Z takimi myślami szedłem na umówiony obiad z Marcinem Swobodą (bo tak go będę konsekwentnie nazywał). Umówiliśmy się w tej przytulnej portowej knajpce, gdzie podawali znakomite przegrzebki („I hołd by mu oddali, ale przegrzebki jedli”).

Jednak miła z początku konwersacja – podczas której okazywałem nadnaturalny wprost entuzjazm i wewnętrzne pobudzenie – szybko przybrała nader osobliwy obrót. Oszołomiony alkoholem Marcin (dodam, że na spotkaniu pojawił się już w stanie sugerującym uprzedni pobyt w pubie starego Toby’ego) zaczął komentować życie St. Brendan. Nie ma nic niestosownego w rozmawianiu o osobach trzecich, jeśli tylko ta wymiana uwag nie przekracza granic dobrego smaku. Jednak złośliwe i kłamliwe charakterystyki naszych wspólnych przyjaciół, które kreślił bez cienia zażenowania Swoboda, przekraczały granice dobrego smaku.

Wedle niego wszyscy – od dziekana O’Grady’ego począwszy, a na pocziwym Balzavourze skończywszy – byli nie wielkimi uczonymi, lecz hochsztaplerami i miernotami. Ich prace, wtórne i miałkie, nie wносиły nic do dziedzin, którymi się zajmowali. Wszyscy oni schronili się na tym zapadłym „uniwersyteciku” (tak właśnie powiedział, cedząc każdą sylabę i powtarzając to kilka razy), bo nigdzie indziej nie mieliby najmniejszych szans na karierę. Tylko taka zapomniana przez ludzi dziura jak Finnegan mogła ich przyjąć i karmić.

Choć wiedziałem, że to Filip Włócznik mnie testuje, jednak muszę przyznać, że

mną zatrzęsło. Marcin Swoboda był bowiem tak wiarygodny, tak przekonujący, iż na moment uwierzyłem, że naprawdę myśli w ten sposób. Oczywiście zacząłem bronić kolegów, wymieniać ich osiągnięcia, drogi kariery. Swoboda popijał kolejne piwo i patrzył na mnie z politowaniem. Wtedy nie wytrzymałem i rzuciłem koronny argument:

– A Lew Michajłowicz Protopopow?

Wiedziałem, że są jakieś granice tej prowokacji. Jednak ku memu zdumieniu Marcin Swoboda i tę pomnikową postać postanowił opluć (choćby nawet i w słusznej sprawie utrzymywania mnie w iluzji, ale jednak). Powiedział, że owszem, Protopopow to jedyne „nazwisko” na wyspie. Ale od dwudziestu lat nic nie napisał, jego książki straciły aktualność, moda przeminęła, a Lew Michajłowicz na tym zapadłym u-ni-wer-sy-te-ci-ku zapija swój talent i sławę, czekając na śmierć.

Jakże chciałem zakrzyknąć: „Dość już tego, Filipie!”. Ale nie mogłem. Jadłem więc przegrzebki, naburmuszyłem się – nawet nie musiałem tego udawać. Marcin zamawiał co chwila kolejne piwo i tak dotrwaliśmy do końca tego spotkania. Musiałem wyjść, przestać na niego patrzeć, na chwilę odwrócić wzrok od tej śliskiej twarzy o świńskich oczkach i tłustych włosach. Później, na nabrzeżu, długo spacerowałem wąskimi uliczkami Newport. Nad miasteczkiem górował majestatyczny gmach St. Brendan, którego widok dodawał mi otuchy.

Wtedy to właśnie na nieskazitelnym dotąd wizerunku Marcina Swobody pojawiła się pierwsza rysa. Powinienem powiedzieć, że były to dwie rysy. Pierwsza dotyczyła Swobody: czy człowiek, który nie potrafi dostrzec wielkości swoich uniwersyteckich kolegów, jest godzien nazywać się uczonym? Czy mówiąc takie rzeczy, nie sprzeniewierzał się etosowi naukowca, szanowanemu w Europie od wieków? Druga rysa dotyczyła Włócznika: czy naprawdę prawdziwy Filip Włócznik posunąłby się tak daleko, by uwiarygodnić swoją mistyfikację? Czy rzeczywiście cel uświęca środki?

Znając prawdziwego Filipa Włócznika – tego, który napisał znane mi wielkie powieści – śmiałem w to wątpić.

## O pierwszym dotyku

Dzieliłem swoje życie między naukowe i dydaktyczne obowiązki, swoje sekretne obcowanie z kolejnymi rozdziałami powieści Filipa Włócznika, spotkaniami z Marcinem Swobodą a spacerami z Jadranką. Czas, który z początku pobytu na Finneganach pozwalał mi na całe godziny naukowego skupienia, nagle się zagęścił, wplątując mnie w kilka dziwnych historii i odciągając od pracy nad monografią.

Pocieszałem się, że i tak powinienem wstrzymać się z moimi analizami do czasu, kiedy poznam w całości ostatnie dzieło Włócznika. Ale mimo to ze zdziwieniem zauważyłem, że powinienem zacząć prowadzić terminarz, aby rozmaite spotkania i obowiązki nie wchodziły ze sobą w kolizję. Szczęściem nie musiałem już uczestniczyć w badaniach empirycznych profesor O'Sullivan (choć nieco tęskniłem do jej kompetencji i intelektualnej odwagi). Widywaliśmy się na korytarzach St. Brendan, pozdrawialiśmy uprzejmie i wymienialiśmy po parę zdań.

Z początkiem grudnia, kiedy zrobiło się chłodno i nasze spacerowanie stały się coraz trudniejsze do usprawiedliwienia, postanowiłem zrobić kolejny krok. Kiedy więc doszliśmy z Jadranką w pobliże gospodarstwa pana Harrisa, przysiadłem na murku niby dla zaczerpnięcia oddechu (w rzeczywistości nie męczyłem się wcale, dysponując znakomitą jak na swój wiek kondycją i tężyzną) i zacząłem czyścić fajkę. Przekonałem się, że palenie podczas mówienia – a moje miniwykłady wypełniały niemal cały czas naszych wędrówek – nie jest dobrym pomysłem. Fajka, z której się nie pociąga co jakiś czas, szybko gaśnie, natomiast częste pykanie wytrąca człowieka z rytmu przemowy. Uznałem więc, że fajka jest „przyjacielem samotnych i zasłuchanych” (co zanotowałem w dziale aforyzmów „dzienniczka pokładowego”). Mimo to wyglądałem z nią tak sztywnie, że nie mogłem sobie odmówić spokojnego popalania.

Sugeruję czytelnikowi wyobrażenie sobie tego obrazu choćby na krótką chwilę: harmonijnie zbudowany mężczyzna – w dobrze skrojonej tweedowej marynarce, kaszkiecie, wełnianym szaliku targanym wiatrem – który wędruje przez zielone zbocza i pyka zagiętą fajeczkę. Wokoło szumi morze, pasą się owce (owiec już nie było), obok kroczy zakochana i zasłuchana kobieta. Czyż jest piękniejszy widok?

Zatrzymałem się więc niby dla przetkania fajki, przysiadłem na murku i udając obojętność, zagadałem:

– Widzę, że nasze spacerowanie są coraz częstsze.

Jadranka potaknęła, lekko zmieszana.

– Dlatego uważam, że muszę ci coś wyznać.

Dziewczyna zastygła na moment, a jej usta ściągnął grymas. Uznałem, że albo czeka w napięciu na moje słowa, albo nie jest jeszcze na nie gotowa.

– Otóż chcę, abyś wiedziała, że brałem udział w pewnym naukowym eksperymencie.

Jej oczy wyrażały tym razem bezbrzeżne zdziwienie. Zacząłem jej wtedy opowiadać

o projekcie profesor O'Sullivan i jego epokowym znaczeniu, a na koniec powiedziałem w kilku słowach o moim skromnym udziale w części empirycznej tych badań.

– To tylko nauka. Ale chciałem, żebyś wiedziała.

Jadranka zaczęła się głośno śmiać.

– Z tą nimfomanką wszyscy tu spali. Jest niezła w łóżku, prawda? Ale skąd pomysł, że to projekt naukowy?

Bystra dziewczyna! W lot zrozumiała, o czym mówię. Oczywiście, że wie o projekcie, zapewne sama też w nim uczestniczyła. Ale przecież profesor O'Sullivan zobowiązała mnie – i na pewno również doktor Vidović – do dyskrecji. I dlatego Jadranka opowiada te bzdury o domniemanej nimfomanii Sadhbh. Słusznie, lepiej puścić parę niewinnych plotek (kto w naszych czasach uważa nimfomanię za wadę?), niż zdradzić tajny program badawczy o przełomowym charakterze.

– Słusznie, nie powinienem był tego mówić; zapewne jest nimfomanką.

Ruszyliśmy dalej, a ja starałem się niby przypadkiem chwycić Jadrankę za rękę. Jednak Chorwatka sprytnie mi się wymykała, aż w końcu powiedziała:

– Nie tu.

Do Newport wróciliśmy w milczeniu, ale przed rozstaniem umówiliśmy się na kolejny spacer. Sprawy szły więc do przodu z zatrważającą prędkością.

## O sztuce podglądania

Zamierzałem wrócić prosto do domu, gdyż było chłodno i o niczym nie marzyłem tak jak o filiżance ciepłej herbaty. Te spacerunki coraz więcej mnie kosztowały. Byłem gotowy na rozmaite poświęcenia, dobro sprawy tego wymagało. Ale obawiałem się, że jedynym skutkiem tych wędrówek po północnych pustkowiach będzie zapalenie płuc. Kilkakrotnie czułem już niepokojące drapanie w gardle i gorączkowe bóle głowy. Nie chodziło o mnie, żyłem przygotowany na rozmaite formy cierpienia. Żał mi było tylko studentów, gdyż choroba wykluczyłaby mnie na jakiś czas z zajęć. Nieznośnie sumienna dusza dydaktyka apelowała do mego sumienia.

Aby odtajać (wieczór był wyjątkowo nieprzyjemny, kolejny smutny dzień bez słońca), zaszedłem na chwilę do gmachu uniwersytetu. Zaglądnąłem do toalety w celu ogrzania rąk pod ciepłą wodą i mimowolnie stałem się świadkiem pewnej niecodziennej sceny. Oto z jednej z kabin dochodziły odgłosy, które dorosłemu człowiekowi trudno pomylić z czymś innym (ktoś niewątpliwie kopulował we wnętrzu). Regularne jęki przerywane były spazmatycznymi okrzykami, pochrapywaniami i nieartykułowanymi rżeniami.

Oczywiście zbulwersowało mnie, że ktoś nie może opanować pożądania i zaspokaja je w tak szacownym miejscu. Jeśli kogoś nie onieśmiela sam majestat uniwersytetu, to powinien się powściągnąć choćby przez wzgląd na historię tego gmachu. Chciałem jak najszybciej opuścić to miejsce, ale przypomniałem sobie, po co tu przyszedłem. Niezręcznie było jednak odkręcić teraz wodę, która mogłaby spłoszyć toaletowych oblubieńców. Nie zależało mi oczywiście na tym, by stworzyć im komfortowe warunki, ale spłoszeni wypadliby z kabiny, zobaczyli mnie i sytuacja wysoce by się skomplikowała.

Dlatego położyłem zmarznięte dłonie na kaloryferze i uwięziony w ten sposób uczestniczyłem przez drzwi w akcie seksualnym anonimowych kochanków. Nie muszę dodawać, że sytuacja ta była dla mnie nad wyraz niezręczna. Jednak szczyt kłopotliwości został osiągnięty wtedy, kiedy pomiędzy organicznymi odgłosami pojawiły się słowa, po intonacji których bez trudu rozpoznałem sprawców (nawiasem mówiąc, wymiana zdań dotyczyła pewnych szczegółów anatomicznych kopulującej kobiety). Otóż w męskim głosie rozpoznałem mego studenta Ciarana, a w żeńskim komentarzu do uwagi Ciarana – jego partnerkę życiową i seksualną, Shaunę.

Trudno opisać, jak wielką ulgę przyniosło mi to odkrycie! Wcześniej bowiem, nasłuchując mimo woli anonimowych jeszcze wtedy odgłosów, moja wyobraźnia podsuwała mi rozmaite obrazy, a rączy w takich sytuacjach rozum snuje najróżniejsze domysły. Nie powiem, jakie hipotezy co do tożsamości sprawców pojawiły się wtedy w mojej głowie. Dodam tylko, że w przypuszczeniach tych znaczącą przesłanką był fakt, że scena owa rozgrywała się w męskiej toalecie. Poczciwy Balzavour, jakże niesłusznie przeze mnie oskarżony!

Dlatego z ulgą przyjąłem fakt, że w ciasnej kabinie rozkoszy zażywają osoby, które

występują oficjalnie jako para również poza granicami uniwersyteckiej toalety. Ach, młodzi! Polubiłem ich jeszcze bardziej.

Nie muszę dodawać, że po tym rozpoznaniu natychmiast ostrożnie opuściłem ten sekretny przybytek uciech, nie przeszkadzając namiętnym studentom. **O Ciaranie z Donegal** Ciaran jest zakochany, ale nie to go najbardziej określa, choć zapewne jego obecny stan i stała obecność wpatrzonej weń partnerki podbijają i tak wyraźne cechy chłopaka. Mianowicie ignorancję i arogancję. Najgorsze połączenie, jakie może się pojawić w młodym człowieku.

Znałem takich na pęczki, tych wyszczekanych młodzieńców, którzy stali się intelektualistami po przeczytaniu kilku urywków z Nietzschego. Na szczęście doświadczenie mówi mi, że z tego się na ogół wyrasta. Czasem jednak jest za późno. Ci, którzy tego nie zrozumieli, przekonują dziś telefonicznie ludzi do odnalezienia sensu życia w polisie na wszystko. A mieli zmieniać oblicze świata i zarzucić biblioteki uniwersyteckie swymi książkami!

Ciaran z Donegal zna kilka cytatów, rzuca nimi przy każdej okazji, lecz przy trzecim spotkaniu łatwo zauważyć, że jego mądrości coraz częściej się powtarzają i coraz rzadziej pasują do sytuacji. Ciaran wie, jak wiele mu brakuje, ale jest za leniwy, by nadrobić braki. Jego ignorancja jest w pełni uświadomiona i jeśli niczego w swym życiu nie zmieni, ta samoświadomość (dająca zazwyczaj jeśli nie radość, to przynajmniej pewną intelektualną dojrzałość) zawiedzie go na bezkresne pola zgorzknienia. Wszyscy go wyprzedzą, a on, zapewne w szkole średniej najbardziej obiecujący, zostanie tam, gdzie jest.

Ignorancję maskuje arogancją. Jest kieszonkowym obrazoburcą, gdyż ogłaszanie śmierci Boga w XXI wieku wydaje się cokolwiek spóźnione. Ciaran epatuje więc swymi przemyśleniami, odkryciami (pochwalił się na przykład podczas zajęć, jaką pozycję seksualną najbardziej lubią z Shauną). Dziewczyna zachichotała, reszta była zażenowana. Ciaran z Donegal miał wrażenie, że zaszokował nas swoją bezpruderyjnością. Zapewne tkwi w tym błędzie do dziś.

Jest on przystojny, bystry, dlatego uważa, że wszystko mu się należy; samo spłynie, przyciągnięte jego magnetyzmem. Za kilka lat obudzi się i odnajdzie wokół siebie pustkę. Jeszcze tego nie wie, bo czuje się zdobywcą i wierzy, że zdobywcy wygrywają. Myślę, że w hrabstwie Donegal jest wiele stacji benzynowych, na których paliwo leją podstarzali zdobywcy.

Nawiasem mówiąc, higiena osobista Ciarana z Donegal pozostawia wiele do życzenia. Widocznie jego pozbawiona wątpliwości wiara we własny urok osłabiła przyrodzony instynkt, który ostrzega nas przed zbytnim zaniedbywaniem tej sfery życia. Dziwiłem się nieustannie, że ten przejawiający się głównie zapachowo fenomen nie przeszkadza partnerce chłopaka, z którą łączyły go – jak sam zapewniał publicznie – regularne stosunki płciowe.

## O Shaunie z Donegal

O Shaunie z Donegal nie potrafię myśleć w oderwaniu od Ciarana. Nie potrafię też o niej nic powiedzieć, gdyż na własne życzenie podczas mego pobytu grała rolę lustra, w którym jej ekspansywny partner lubił się przeglądać. Miała kolczyk w sutku, tatuaż na wzniesieniu łonowym i lubiła seks oralny – to wszystko wiem, podobnie jak reszta naszego seminarium, od Ciarana, walczącego groteskowo o pozycję samca alfa. Zastanawiające, że nie dowiedziałem się o niej wiele więcej. Poprawna, sumienna, choć bez przesady, zawsze gdy mówiła, patrzyła na zdobywcę z Donegal, szukając akceptacji. Jeśli okazywał znudzony wyraz twarzy, milkła.

Mam nadzieję, że w końcu się rozstali i Shauna z Donegal odnalazła siebie: taką, jaką była, kiedy nikt nie patrzył.



## O darze wyobraźni

Jeszcze tego samego wieczoru odwiedził mnie niespodziewanie Marcin Swoboda. Siedziałem ponownie zaczytany w drugim rozdziale powieści Filipa Włócznika, gdy usłyszałem trzaśnięcie drzwi na dole i szybkie kroki po schodach – bieg, jakby ktoś przeskakiwał po dwa stopnie. W ostatniej chwili wepchnąłem luźne kartki pod poduszkę.

Nawiasem mówiąc, pomięły się przy tej okazji, dlatego musiałem wydrukować je raz jeszcze i nanieść na nie wszystkie moje uwagi z pierwszego wydruku, a zniszczone stronicze spalić.

Drzwi otwarły się bez pukania i stanął w nich radosny, ale trzeźwy Marcin Swoboda.

– Nie zgadniesz, czego się dowiedziałem! – zaczął od progu.

Po tych słowach zrobił efektowną przerwę, umościł się w moim fotelu (ja usiadłem niezręcznie z ręką pod poduszką) i przez chwilę świdrował mnie tymi swoimi małymi oczkami. Kiedy uznał, że moja ciekawość sięga zenitu, wspaniałomyślnie zaczął opowiadać.

Z niejakim zażenowaniem przywołuję teraz tę historię. Właściwy komentarz i ocenę sytuacji podam po jej streszczeniu, zaznaczając jednak na wstępie, że nawet przez moment nie uwierzyłem w ani jedno słowo. Otóż Marcin dowiedział się, że osoba, która podaje się za Lwa Michajłowicza Protopopowa, w rzeczywistości nie jest wielkim uczonym rosyjskim, tylko kimś zupełnie innym. Tajemnicze źródło, pochodzące z kręgu naszej akademickiej wspólnoty – którego przygarbiony heideggerzysta nie chciał ujawnić – rozpoznało w nim serbskiego nacjonalistę, pułkownika Milorada Hvalicia, ściganego przez haski trybunał za zbrodnie przeciwko ludzkości, których Hvalić miał się dopuścić w roku 1991 podczas walk o Vukovar. Swoboda ze znakomicie udawaną przyjemnością opowiadał o okrucieństwach serbskiego pułkownika, którego ponura legenda do dziś żyje na Bałkanach.

Po podpisaniu traktatu w Dayton Hvalić zniknął nagle i do dziś nie udało się go wytropić. Ponoć ukrywał się w Chilandarze, serbskim klasztorze na Świętej Górze Athos. Jednak prawda była inna. Los chciał, że pewnego razu (działo się to w roku 1997 lub '98) w czarnogórskim Kotorze – wówczas jeszcze należącym do Federalnej Republiki Jugosławii – Milorad Hvalić spotkał wybitnego rosyjskiego uczonego, literaturoznawcę Protopopowa; los chciał, by Protopopow pił z Hvaliciem rakiję w pokoju jednego z pensjonatów na terenie starego miasta; los chciał, że stare serce Protopopowa nie wytrzymało tego eksperymentu; los chciał, by Hvalić był podobny z twarzy do Lwa Michajłowicza. Wszystkie te zrządzania doprowadziły w końcu do tego, że o śmierci wybitnego naukowca nikt się nie dowiedział, a pensjonat w Kotorze opuścił, posługując się szwajcarskim paszportem Protopopowa, Hvalić, postarzony przez wprawną charakteryzatorkę.

Od tamtej chwili widać wyraźny uwiąd kariery naukowej Protopopowa. Nie

pojawiają się nowe publikacje, wystąpienia na konferencjach są żenującymi autoplgiatami, zaś uczone – niegdyś gwiazda największych uniwersytetów – wybiera zaciśniętą prowincjonalnych uczelni. Od kilku lat siedzi na Finneganach i nie opuszcza wyspy. Można to tłumaczyć starością, choć prawda – wedle Marcina Swobody – jest zupełnie inna.

To pierwsza część historii; druga dotyczyła Jadranki Vidović. Ta urodzona w Vukovarze Chorwatka doświadczyła najstraszliwszych okrucieństw wojen bałkańskich (Marcin Swoboda ze znakomicie akcentowaną przyjemnością opowiadał o wojennych losach młodej Jadranki). Po tamtych czasach została jej paskudna blizna i niezaleczone rany w duszy. Ale potrafiła zacząć nowe życie, wyjechała z rodzinnych stron i zajęła się karierą naukową. Najpierw studia, potem stypendia, następnie doktorat i otwarte bramy wielu uniwersytetów. Na jednej z konferencji spotkała Protopopowa-Hvalicia. Nie wiedząc o jego prawdziwej tożsamości, uległa zalotom mężczyzny i jeszcze na tej samej konferencji zostali kochankami. Odtąd spotykali się na sympozjach i kongresach, aż wreszcie wybrali Finneganę jako miejsce wspólnego pobytu. Oto cała historia.

Patrzyłem na Marcina Swobodę z mieszaniną przyjemności i obrzydzenia. Z jednej strony posiadał on dar wyobraźni, jaki znałem z powieści Filipa Włócznika. Czuję radość, że mogę obserwować ten rzadki dar na żywo, przejawiający się w mowie niespisanej i niespetyfikowanej drukiem. Z drugiej jednak opowieść o Hvaliciu i Jadrance była tak odrażająco niemoralna, tak wulgarna i bezczelna, że nie mogłem uwierzyć, by była dziełem fantazji Filipa Włócznika. Nie wierzyłem bowiem, że Marcin Swoboda usłyszał ją od jednego z naszych kolegów z St. Brendan. Nie wierzyłem jednak też, by mówił prawdę.

Lew Michajłowicz Protopopow serbskim zbrodniarzem wojennym? Ten subtelny umysł, który mnie samemu tyle razy dane było spotkać, nie mógł nosić w sobie nawet ułamka zła, o jakie oskarżany był pułkownik Milorad Hvalić. Rozmawiałem przecież z rosyjskim uczonym, odwiedzałem go. Nie można symulować wielkości, nie można symulować mądrości.

A Jadranka Vidović, ta zakochana we mnie kobieta, miałyby być kochanką Protopopowa? Pomagała mu jak córka, wspierała, być może wysłuchiwała jego starych żali. Ale kochanka? Gościłem w finneganskim mieszkaniu Lwa Michajłowicza i widziałem ślady: w sercu literaturoznawcy było miejsce na jedną kobietę – tę, która odeszła wiele lat temu. To ją czcił – z całym swoim dwuznacznym fetyszyzmem – ten wybitny teoretyk literatury.

I wreszcie: ofiara wojenna kochanką swego kata? To spiętrzenie przerastało granice wszelkiego prawdopodobieństwa. Już sama sugestia tego perwersyjnego romansu jest tak obrzydliwa i odrażająca, że nie potrafię znaleźć słów, by to skomentować. Przecież mój rodak, znając mnie trochę i wiedząc, jakimi wartościami kieruję się w życiu, nie mógł podejrzewać, że mój rozum przystanie na tak zdegenerowany pomysł!

Czemu zatem miała służyć prowokacja Marcina Swobody? Dalszemu zniechęceniu mnie do przyjaciół z St. Brendan? Podważeniu wiary w etyczność Filipa Włócznika? Tego

nie rozumiałem. Czy Swoboda opowiedział mi historyjkę o pułkowniku Hvaliciu, wiedząc, że podejrzewam go o bycie Filipem Włócznikiem, czy też zrobił to z naturalnego odruchu swej nieokiełznanej wyobraźni? Marcin bawił się ze mną, a ja nie wiedziałem, jak nazywa się ta gra. W co grasz, smutny filozofie, chciałem go zapytać, lecz nie mogłem się zdradzić. Ja też grałem swoją grę. I szanowałem jej zasady.

Dlatego nie okazałem radości, tylko oburzenie. Jako członek (*fellow*) St. Brendan zaprotestowałem stanowczo i zasugerowałem, by Marcin Swoboda opuścił mój pokój. Z początku chciałem go otrzeźwić, wyjaśnić, że Protopopow umiera i wszelkie tego rodzaju żarty są dalece nie na miejscu. Ale uznałem, że zachowam wiedzę o agonii wielkiego humanisty dla siebie. Kto tak drwi ze starego człowieka, nie jest godzien znać prawdy.

– Muszę wrócić do pracy naukowej – powiedziałem przepaszająco.

Mimo wszystko nie chciałem go urazić.

– Z ręką pod poduszką? – Chromy heideggerzysta uśmiechnął się dwuznacznie. – Na mnie już czas, koledzy czekają.

I wyszedł, głośno zbiegając po schodach. Widziałem go, jak szybkim krokiem przechodzi na drugą stronę Main Street, by po chwili usiąść w pubie starego Toby'ego z Haggisem, O'Connellem i poczciwym Balzavourem. Cieszyłem się, że moi druhowie przygarnęli tego nieszczęśliwego człowieka i okazali mu trochę serca.

Na mnie czekały lekko pomięte stronicie drugiego rozdziału najnowszej powieści Filipa Włócznika, do których wracałem codziennie. I znów przeniosłem się na Ione, by wraz z białymi mnichami oczekiwać na ciąg dalszy, który dopiero miał nadejść.

## O pochodzeniu skazy

Los chciał, że niedługo potem miałem okazję wysłuchać zupełnie innej opowieści, która jednak dotyczyła poniekąd tego samego tematu. Również i ją przytaczam, by pokazać czytelnikowi, jak twórcza i zarazem niszczycielska potrafi być siła wyobraźni. Wyznam przy tej okazji skrycie, że jako człowiek twardo stąpający po ziemi i mający opinię osoby do bólu racjonalnej (co, jako uczony, uznaję za komplement), odkrywam w sobie tajemniczą fascynację ludzką wyobraźnią. Wystarczy wspomnieć moją wieloletnią miłość do literackich fantazji Filipa Włócznika. Jeśli mi bowiem na czymś zbywa, to na wyobraźni właśnie. I potrafię trzeźwo dostrzec tę wadę. Być może dlatego z takim zainteresowaniem przyglądam się ludziom, którzy nie tylko używają swej fantazji, ale też nieraz stają się jej zakładnikami.

Podczas jednego z naszych spacerów Jadranka zaczęła opowiadać o sobie. Zazwyczaj milczała, wołała słuchać, a ja tłumaczyłem dzieła Filipa Włócznika, wywołując w niej dobrze skrywaną zazdrość, że Bałkany nie wydały na świat tak wielkiego prozaika. Podziwiała tego polskiego fantastę i ceniła wysoko moje skromne próby interpretacyjne. Przy okazji tłumaczyłem jej pewne nowe zagadnienia metodologiczne, których widać nie znała. Byłem pewien, że dzięki moim delikatnym sugestiom wzbogaci metodologię swego własnego studium.

Szliśmy właśnie u podnóża Toehill, kiedy zagadałem, subtelnie zmieniając temat:

– Tak mówię i mówię, a pewno sama chciałabyś coś powiedzieć.

Oczywiście zaprzeczyła, ale niedługo potem zaczęła opowiadać o sobie. Przytaczam tę historię nie dlatego, bym znajdował jakąś szczególną przyjemność w ujawnianiu cudzej prywatności, ale w celu pokazania, jak daleko posunięte mogą być w człowieku mechanizmy obronne. Czasem tak rozpaczliwie bronimy się przed trudnymi wspomnieniami, że spychamy je głęboko w podświadomość, sami zaczynamy wierzyć w wymyślone na poczekaniu bajki.

Jadranka mówiła, że urodziła się w Niemczech, gdyż jej rodzice wyemigrowali z Jugosławii w połowie lat siedemdziesiątych. Matka była już w zaawansowanej ciąży, kiedy wreszcie udało im się wydostać z obozu przejściowego w Trieście i trafili do Berlina Zachodniego. Ojciec miał kwalifikacje budowlane, był inżynierem budownictwa lądowego bez dyplomu. Te braki w wykształceniu tłumaczyła powodami politycznymi. Sam żyłem w ustroju realnego socjalizmu, więc uśmiechnąłem się tylko w duchu pobłażliwie.

Już w Berlinie urodziła się mała Jadranka. Ojciec zarabiał na rodzinę, pracując na budowach, z czasem awansując na coraz wyższe stanowiska. Tak dotrwali do końca komunizmu, upadku muru berlińskiego i wybuchu krwawej wojny na Bałkanach. Jadranka była już studentką na Uniwersytecie Humboldta, kiedy ojciec zabrał ją na budowę wieżowca DaimlerChrysler, gdzie pracował na jakimś nadzorczym stanowisku. Wówczas cały Potsdamer Platz był jednym wielkim placem budowy, nowy Berlin piął się ku niebu.

Niefortunnie postawiona stopa i oto młoda niemiecka Chorwatka spada kondygnację niżej i łamie obie nogi. Kości na szczęście się zrastają, ale na twarzy po wypadku zostaje potworna blizna. Ojciec pracuje na czarno, nie ma ubezpieczenia, jak większość emigrantów, którzy w pocie czoła wznoszą nową stolicę zjednoczonych Niemiec. W rodzinie nie ma pieniędzy na operacje plastyczne, Jadranka heroicznie wybiera edukację zamiast urody. Woli dokończyć studia i zabrać się za doktorat, niż spędzić długie i kosztowne miesiące w klinikach w nadziei na przywrócenie urody.

Być może opowiadam tę historię zbyt lekko. Wiem, że pod nią kryje się autentyczny dramat. Ale wiem też, że opowieść o wypadku na Potsdamer Platz jest tylko lukrowaną polewą. Nie potrafiłem się nią przejąć, a o prawdę nie chciałem pytać. Skoro bowiem Jadranka Vidović kłamała – a co do tego nie miałem żadnych wątpliwości – to miała swoje powody.

## O prywatnym demonie

Kłamstwo Jadrunki dało się usprawiedliwić. Marcina Swobody nic nie tłumaczyło. Wybrał fikcję zamiast rzeczywistości, a to dla intelektualisty jest grzech bodaj najcięższy. Filip Włóczykiel zamykał swoje fantazje w granicach literatury. Marcin Swoboda – nawet jeśli naprawdę był Włóczykiem – mieszał życie z literaturą. A tego jako człowiek i jako uczonego nie mogłem wybaczyć.

Nie muszę tłumaczyć, przed jak trudnym wyborem stanąłem. Biłem się z myślami i rozważałem wszystkie możliwości. Postanowiłem w końcu dalej wielbić Filipa Włóczyka jako wielkiego prozaika, zaś Marcinowi Swobodzie ofiarować to, na co zasłużył – nawet jeśli miała być tym moja pogarda.

Różniliśmy się jak ogień i woda, tak bardzo, jak to tylko możliwe. Od początku Swoboda budził moją niechęć i mimo życzliwości, jaką mu okazałem, zawsze czułem wobec niego skrytą odrazę. Chcę w tym miejscu zaznaczyć, uprzedzając wszelkie podejrzenia, że nie miałem mu za złe jego garbu (który zresztą stał się z czasem coraz bardziej widoczny, co litościwie pominąłem w tych wspomnieniach). Marcin Swoboda miał brudnego ducha; tak bym to określił.

Niemal zawsze zachowywał się tak, jak ja nigdy bym nie postąpił. Od początku starał się wślizgnąć w łaski miejscowych uczonych. Próbował omotać nie tylko mnie, ale też Haggisa, O'Connella i poczciwego Balzavoura. Nadszkwilił im, znosił z uśmiechem żarty i drobne upokorzenia, których ci weseli kompani mu nie szczędzili. Jego rozpaczliwe parcie, by być przez nich zaakceptowanym i docenionym, było żalosne. Stanowczo przeceniał też znaczenie swojego dorobku naukowego. Lubił stawiać się w lepszym świetle niż to, które w rzeczywistości oświetlało go wątłym, gasnącym co chwila płomykiem. Jego wysokie mniemanie o sobie zbudowane zostało na bardzo kruchych fundamentach. W rzeczywistości osiągnął niewiele i bardzo wątpię, czy jego projekt, o którym z emfazą mówił „wielki” i „przełomowy”, zostanie kiedykolwiek ukończony.

Znałem takich ludzi od czasu mej młodości, uniwersytety zawsze były ich pełne. I muszę wyznać, choć nie lubię się przyznawać do tego niskiego uczucia, że zawsze nimi pogardzałem. „Śliskie węże akademickich korytarzy” – tak o nich mówiliśmy w gronie prawdziwych ludzi nauki.

Znajdowaliśmy się ze Swobodą zawsze na antypodach postaw, awers i rewers, jakby natura odpychała nas niczym dwa magnesy. Zawsze na dwóch biegunach, bez możliwości spotkania, bez szans na pojednanie. Byliśmy jak Naphta i Settembrini, a Newport stało się naszym małym Davos. Nie wiedziałem, który z nas jest kim, ale wiedziałem jedno: to ja stałem po stronie dobra, prawdy i piękna. Gdzie był Marcin Swoboda – wołałem nie wiedzieć.

Po wulgarnym wizycie Marcina Swobody zrozumiałem jeszcze jedno: ten człowiek był moim demonem, kusicielem, który przybył na Finnegany, by zniszczyć we mnie wszystko to, co dobre. Działał przebiegle, wsączał w moje myśli swój jad, w dawkach

niewielkich i łatwych do przeoczenia. Ale kiedy wspomniałem nasze rozmowy, niemal w każdej z nich znajdowałem jakiś ślad, który ten garbaty zwodziciel zostawił. Powoli obrzydzał mi wszystko, co było piękne i dobre, plugawił moją radość świata i umiłowanie życia.

Wiedziałem, że nie jest jednym z nas – dzielnych, uczonych mężów z St. Brendan, którzy mimo walącego się w gruzy świata Zachodu chcą ratować europejską cywilizację. Był wysłannikiem upadku, ambasadorem zagłady, który miał zachwiać moją wolą. Czyż nie próbował mnie skłócić ze wszystkimi? Czyż nie odwoził mnie od pracy nad *Nową Ioną*, zaciągając na siłę do podejrzanych portowych spelunek, gdzie piliśmy tanią, niedobrą whiskey i jedliśmy ciężkostrawne finnegańskie potrawy, po których spędzałem bezsenne noce, walcząc z uporczywymi wzdęciami? Dla jego podejrzanych wycieczek zarzuciłem moje czujne staranie o rozwój całego projektu. Nie dyscyplinowałem kolegów, nie aranżowałem nowych spotkań, nie wywierałem tej subtelnej presji, która pobudza do wytężonej pracy. Zarzuciłem te wzbogacające obie strony spotkania i mając pod ręką życzliwych mi wielkich uczonych, najwybitniejszych intelektualistów Zachodu, wybrałem to dwuznaczne towarzystwo małego heideggerzysty o podejrzanej przeszłości! A kiedy z szacunku dla powagi śmierci niemal zerwałem relacje z rosyjskim humanistą, śliski duchem Marcin Swoboda postanowił mi zohydzić tę piękną postać, opowiadając jakąś ordynarną historyjkę!

Przyznaję, że odkąd to wszystko zrozumiałem, dzielnie stawiałem czoła zapędom tego złego ducha, choć nawiedzał mnie często. Jeśli mam sobie coś do zarzucenia, to fakt, że sam wprowadziłem go w nasze grono, dając mu mocną rekomendację podczas zebrania u dziekana O'Grady'ego. Mogłem jedynie żywić nadzieję, że tylko ja stałem się ofiarą knowań Swobody, który skupiając się na walce o moją duszę, zrezygnował z nękania innych.

Ojców Pustyni też kusiły demony, też walczyli z własnymi słabościami. Dziś to ja jestem tym pustelnikiem, który walczy na pierwszej linii frontu, a moim demonem stał się Marcin Swoboda. Bóg umarł, demony przeżyły – oto dramat naszych czasów. Aforyzm ten zanotowałem oczywiście w swoim „dzienniczku pokładowym”.

## O wyczekiwaniu

Teraz każdy dzień upływał na oczekiwaniu na e-mail od Filipa Włócznika. Nie wiedziałem, czy kolejne rozdziały będą spływać regularnie, nie znałem przecież na tyle metod pracy tego wielkiego prozaika. Czy pisze systematycznie, co dwa tygodnie wypuszczając kolejne sto tysięcy znaków (ze spacjami), czy może miewa chwile przerwy, kiedy dusza trwa na jałowym biegu, a proces twórczy zamiera? Miałem jednak nadzieję, że nie później niż dwa tygodnie po rozdziale drugim spłynie do mnie rozdział trzeci. Nie mogłem się doczekać.

W międzyczasie spotykałem się z Jadranką i prowadziłem walkę z moim prywatnym demonem, który miał odrażającą twarz Marcina Swobody – nadal bowiem wierzyłem, że otworzę mu oczy i ujrzy wreszcie prawdę. Jednak prawdziwymi uderzeniami, które wyznaczały bicie mego serca i rytm życia, były kolejne rozdziały powieści.

Czytałem ją i tak przed wszystkimi innymi, a mimo to nie mogłem się doczekać. Raz nawet, już prawie tracąc cierpliwość, napisałem do Włócznika przyjacielski list, żartobliwie łajając go i poganiając. Ale na całe szczęście w ostatniej chwili przed wysłaniem skasowałem go. Co mi dawało prawo, by tak się spoufalać, by tak poganiać wielkiego pisarza? Czym Filip Włócznik sobie na to zasłużył? Zaufał mi i dopuścił do swych największych tajemnic, a ja chciałbym go popędzać jak jucznego muła?

Dopiero kiedy nieszczęsny e-mail wylądował w koszu, uświadomiłem sobie, co uczyniłem. I co dopiero mogłem uczynić – gdybym go wysłał, polski prozaik na pewno zerwałby naszą kruchą znajomość. Byłem skazany na jego inicjatywę, jego e-maile i wyznaczany nimi rytm. Gdyby przestał korespondować, urażony moją impertynencją, straciłbym z nim wszelki kontakt.

Byłem więc skazany, ale chciałem takiego skazania. Czułem się przecież wyróżniony.



## O rozdziale trzecim

Trzeci rozdział nadszedł z zegarmistrzowską precyzją. Ten sam dzień, ta sama pora. Podziwiałem dyscyplinę twórczą tego pisarza. Jak poprzednie rozdziały, i ten liczył równe sto tysięcy znaków (ze spacjami). Może zbyt pedantycznie odnotowuję ten fakt, ale chciałbym uświadomić czytelnikom, jak precyzyjnym i konsekwentnym twórcą jest Filip Włóczykiel. Wydrukowałem tekst, zaparzyłem herbatę i zanurzyłem się w lekturze.

Rozdział drugi doprowadza nas do sceny, w której brat Goffredo da Siena budzi się na wybrzeżu, otoczony białymi mnichami. Zakonnicy zajmują się nim w milczeniu, zanoszą do jednej ze swych chatek i tam karmią, pielęgnują, czekając, aż wycieńczony podróżnik i morską katastrofą młodzieniec odzyska siły. Wszystko wydaje się zmierzać do szczęśliwego finału. Goffredo znalazł upragnioną Ionę, niedługo stanie na nogi i wstąpi w szeregi uczniów mądrego opata Kolumby. Jednak ktokolwiek tak myśli, nie zna ani fabularnej przewrotności Filipa Włóczykiela, ani nieokiełznanej mocy jego wyobraźni!

Z pozoru wszystko układa się dobrze, Goffredo, wspierając się na wystruganej przez opiekującego się nim Snedgusa lasce, spaceruje po wyspie. Jednak rzeczywistość nie wygląda tak jak w snach. Na wyspie żyją mnisi, mają białe habity, długie brody i iroszkockie tonsury. Wyspa przypomina Ionę z opisu tajemniczego pielgrzyma, którego opowieść pchnęła Goffreda do niemal straceńczej wędrówki. Zakonnik modli się żarliwie w niewielkim kościółku, mijają chatki mnichów. Jednak nigdzie nie widzi biblioteki.

Jego przewodnik, pytany o księgi, milczy tajemniczo. Goffredo da Siena cierpliwie czeka. Kiedy wraca do pełni zdrowia, prosi o widzenie z opatem. Ten nie wygląda dostojnie, sprawia surowe, ale dość prostackie wrażenie. Nie tyle rozmawia z przybyszem, ile raczej jedynie słucha go, ciągle nachylony w stronę innego mnicha, który coś mu bez przerwy szepcze. Italski wędrowiec opowiada o swej podróży, o pragnieniu zobaczenia wspaniałych ksiąg i gotowości służenia nauce. Opat milczy, po czym przez swego pomocnika nakazuje przybyszowi cierpliwość.

Oczekiwanie się przedłuża, Goffredo stara się zrozumieć wszystko to, co się wokół niego dzieje. Podejrzewa, że biblioteka jest dobrze chroniona, okolica jest niebezpieczna, a kaledońscy Piktowie nie do końca ochrzczeni. Może legendarny księgozbiór znajduje się w jednej z przybrzeżnych jaskiń, do której dostęp znają tylko *seniores* klasztoru? Goffredo jest cierpliwy. Kilkakrotnie mijają opata, ale ten tylko powtarza słowa o czekaniu.

Młodzieniec zaczyna rozumieć, że opat proponuje mu drogę ascezy, wyzbycie się wszelkich pożądań, nawet pożądania względem mądrych ksiąg. Czuje, że musi oczyścić duszę, by stać się godnym uczestnictwa w tej wspólnotce mędrców. Każdą wątpliwość przekuwa w nadzieję, każdy niepokojący znak – w zapowiedź spełnienia. Nie docierają do niego żadne sygnały, które każdemu innemu na jego miejscu uświadomiłyby, że jest oszukiwany.

Niewiele ocalało z rozbitego o szkiery statku, ale na plaży Goffredo znajduje *Confessiones* św. Augustyna. Ze wzruszeniem sięga do księgi, która jednak jest pusta.

Woda wypłukała atrament, zostały tylko białe strony pergaminu. Wzruszająca jest scena, kiedy załamany młody mnich płacze, gdyż wie, że zamiast ocalić, zniszczył wielkie dzieło biskupa z Hippony. Popełnione zło, które przez całą podróż wydawało mu się mniejszym złem, stało się złem ultimatywnym, ostatecznym, demonicznym.

Zostawmy jednak zapłakanego Goffreda na plaży i odsłońmy genialny zamysł Filipa Włócznika. Otóż młody mnich na skutek morskiej burzy nie trafił na Ionę, lecz na Eigg, inną wyspę, również zamieszkaną przez iroszkockich mnichów. Ta wspólnota, choć oczywiście świadoma istnienia wielkiego opata Kolumby, nie składa się jednak z intelektualistów. To dobrzy ludzie i ciekawe osobowości. Ale też prości mnisi, często nieznający łaciny, niemający ksiąg, acz pobożni i oddani sprawie.

Większość z nich, w tym opat (który w powieści nosi imię Donnan), brała udział w misjach nawracania Piktów, a teraz dożywa swych dni na Eigg. Wiemy z historii, że nie doczekają spokojnej starości. W roku 617 okrutna piktyjska królowa dokona rzezi, w której zginą wszyscy. Na razie jednak ci poczciwi, lecz ograniczeni zakonnicy próbują wymyślić, co powiedzieć młodemu Goffredowi. Nie ma biblioteki, nie ma ksiąg, nie ma łodzi, która zawiezie go na Ionę. Zamiast spełnienia snów, młodego mnicha czeka rozczarowanie.

Na razie jednak wierzy naiwnie, że trafił na Ionę, nazywa opata Donnana wielkim Kolumbą, wypytuje poznawanych mnichów o Wergiliusza, Horacego i Klemensa Aleksandryjskiego. Traktuje nowych współbraci jak wielkie autorytety, ich milczenie bierze za mądrość, zdawkowe odpowiedzi za przejaw powściągliwości godnej uczonego, a może nawet wyraz lekkiej i uzasadnionej pogardy wobec niego, niedokształconego uczniaka. Rumieni się więc podczas spotkań, wyznaje swoją ignorancję, prosząc jednocześnie o naukę i modlitwę. Wszyscy czekają na przełom.

Cały trzeci rozdział wypełniony jest oczekiwaniem. Nikt nie potrafi lepiej opisać oczekiwania niż Filip Włócznik! W jego tekście jest wszystko: nadzieja, gonitwa myśli, zniecierpliwienie, zmiany nastroju, ciągłe wybieganie pragnieniem w stronę nieznannej przyszłości, niepewność. Zdania są pisane w rytm bijącego szybko serca, akapity zwarte. Ten pusty czas narrator próbuje wypełnić różnymi dygresjami, chcąc oszukać nielitościwego *Chronosa* i przyspieszyć bieg chwil. Jego opowieść żegluje więc pomiędzy białymi mnichami, zatacza coraz szersze kręgi.

Z maestrią opisuje kolejne postaci, przysłych bohaterów wielkiego dramatu, którego wielkość już czytelnik przeczuwa. Poznajemy ich imiona – Snedgus, Kilena, Anchora, Morgan, Ninian, Cormac, Fergus, Pirmin Iberyjczyk, Corgu – oraz krótkie charakterystyki, które są jak przynęta, połykamy je wraz z haczykiem i już po chwili chcielibyśmy dowiedzieć się o każdym z nich więcej, ale wtedy narrator przypomina, że główny nurt opowieści płynie gdzie indziej. Wracamy więc skruszeni z tej pobocznej wyprawy, po czym dajemy się ponownie złapać na lep kolejnej dygresji.

A jednocześnie nic się w tym rozdziale nie dzieje! Czas się zatrzymał, mnisi są nieruchomi, stłoczeni jak na obrazach Bruegla. Jednak ta nieruchoma scena pokazana jest z taką wewnętrzną dynamiką, że nie sposób się od niej oderwać. Oto pióro mistrza!

## O nocy myśli

Nie muszę chyba pisać, co czułem, kiedy odłożyłem trzeci rozdział najnowszej powieści Filipa Włócznika. Jakież braterstwo myśli! Jakież wspólne, przedzielone lądami i morzami zatroskanie o losy cywilizacji Zachodu!

Jednocześnie nie mogłem dać się zwieść pozornym podobieństwom, wszak scenografia to sprawa drugorzędna. Wspomniałem już, że Finnegany przypominały mi Ioneę, zapewne też podobnie wyglądała wyspa Eigg, świadek okrutnej masakry sprzed stuleci. Sam też byłem przybyszem z dalekiego kraju, wędrowcem zmartwionym kondycją kultury i szukającym ratunku. Ale na tym rączy umysł musi poprzestać, dość analogii, gdyż łatwo przy ich snuciu oderwać się od rzeczywistości.

Estetyczna przyjemność wynajdywania podobieństw kusi łatwością, lecz oddala od prawdy. Cóż bowiem z tego, że Finnegany przypominają wyspę Eigg z powieści Włócznika, a ja czytając o spacerach Goffreda po wyspie, wspominałem własne wędrówki po północnych pustkowiach Wielkiego Finneganu? Przecież moja sytuacja w niczym nie przypomina kondycji młodego mnicha!

On jest naiwnym młodzieńcem posiadającym wielkie luki w wykształceniu, ja wyznającym obiektywizm naukowcem, gruntownie przygotowanym do prowadzenia badań i odpornym na liczne miraży, które zwodzą tak wielu mi współczesnych. On żyje iluzją, w niezbyt rozgarniętych mnichach widzi mądrych uczonych, żyje nadzieją, że dopuszczą go do swych tajemnic; ja jestem członkiem (*fellow*). Wreszcie Goffredo trafił w miejsce, gdzie otoczony jest ludźmi prostymi, prostackimi i niewykształconymi (co zresztą Filip Włócznik znakomicie opisuje), dla których księgi są artefaktem równie egzotycznym, co dla dawnych italskich współbraci Goffredo. Ja wybrałem St. Brendan College, ostoję cywilizacji.

Jak mógłbym więc porównywać naszą sytuację, rzucony pomiędzy tak nietuzinkowe postaci jak Protopopow, O'Grady, O'Sullivan czy nawet pocziwy Balzavour? Co więcej, dopiero widząc dramat młodego Goffreda, mogłem należycie docenić własne szczęście, ów dobry los, który rzucił mnie pomiędzy kolegów z Finneganów.

Muszę wyznać, że drażniła mnie trochę naiwność głównego bohatera. Sytuacja dla każdego czytelnika zrozumiała, dla niego była tajemnicą. Jednak to rozdrażnienie w najmniejszym stopniu nie odnosi się do prozy Filipa Włócznika. Podziwiałem, z jakim mistrzostwem pokazuje nam autor ten prosty, bezbronny wobec oszustwa umysł, jak kunsztownie opisuje te nieprzeniknione do końca mechanizmy naszego intelektu, prowadzące niektórych na manowce politowania godnej donkiszoterii.

Noc, która nastąpiła po lekturze rozdziału trzeciego, była nocą myśli. Pamiętam, że mój intelekt otuliło niewidzialne światło. Wszystko wydawało mi się jasne, zrozumiałe, wszystko nagle zyskało sens. To był kolejny najważniejszy dzień (noc) mojego życia.

Rankiem wszystko minęło. Ale na dnie duszy pozostał ślad, ognek, który

postanowiłem pielęgnować i podsycać, by jego żywego żaru nie przykryła popielata warstwa martwego popiołu codzienności.

## O rozmowie ostatniej

Gdyby nie marmurowe piękno prozy Filipa Włócznika, Marcin Swoboda pożarłby moją duszę. Wielka literatura stała się tarczą przeciw nasłanemu na mnie demonowi, który wybrał odludne Finnegany, by mnie kusić i zwodzić. Nie, stanowczo Swoboda nie mógł być Włócznikiem. Żaden duch nie pomieści w sobie tyle piękna i szpetoty naraz, tyle subtelności i prostactwa. Nie musiałem wybierać między pisarzem a człowiekiem: taki człowiek nie mógł być takim pisarzem. Kiedy to zrozumiałem, nadeszło oczyszczenie i spokój.

Ograniczyłem więc radykalnie spotkania z tym marnym znawcą Heideggera, unikałem go na ulicach Newport i w korytarzach St. Brendan. Jednak pewnego wieczoru, w kilka dni po otrzymaniu trzeciego rozdziału powieści Filipa Włócznika, mój demon odezwał się znowu. Siedziałem w fotelu, delektując się frazą wszystkich trzech rozdziałów, których brzmienie znałem niemal na pamięć. Wtedy zadzwonił telefon, a w słuchawce usłyszałem znany głos.

– Jestem u starego Toby’ego. Napijesz się z rodakiem? Napijesz się, prawda?

Zawsze tak działał, chciał wywołać współczucie. Może naprawdę go potrzebował? Zapewne chwile, kiedy zostawał sam ze sobą, musiały być dla niego straszne. Znikały pozory, marny filozof przestawał wierzyć we własną grę i w lustrze widział wykrzywioną złą twarz. Nie mam na myśli nieforemnych rysów jego fizjonomii, tylko brzydotę duchową, którą dostrzegał każdy, kto choć przez chwilę przebywał w towarzystwie Marcina Swobody. Wtedy dzwonił do mnie, by spotkać bratnią duszę, wyrwać się z kręgu lodowatej samotności. Ale kiedy tylko się pojawiałem, jego rozterki znikwały i wracał do swych diabelskich sztuczek. Tak było i tamtej nocy.

Dlaczego poszedłem? Dlaczego przedłożyłem towarzystwo Marcina Swobody nad prozę Filipa Włócznika? Dlatego, że wiedziałem, jak samotny jest mój rodak, i w gruncie rzeczy żałowałem go. Był demonem słabym i schorowanym. Jak się okazało – niezdolnym, aby mnie złamać. Sam potrzebował pomocy.

Ubrałem się więc i szedłem do pubu naprzeciwko. Siedział przy pustym stole, wokół niego armia opróżnionych szklanek. Włos miał zmierzwiony, wzrok rozbiegany. Powitał mnie z kwaśnym uśmiechem.

– Siedzieliśmy z Haggisem i resztą. – Wskazał na puste naczynia. – Ale właśnie poszli.

Wiedziałem, że zadzwonił, kiedy został sam. Nie mógł wytrzymać długo ze sobą.

– Dlaczego nie zadzwoniłeś wcześniej? – zapytałem chytrze.

Chciałem po sokratejsku doprowadzić go do pozbycia się fałszywych wyobrażeń i odkrycia w sobie prawdy. Nawiasem mówiąc, w czasie studiów zgłębiałem tajniki metody elenktycznej i majeutycznej, i muszę przyznać, że doszedłem w tym do dużej wprawy. Wielu osobom otwarłem oczy na prawdę, pozwoliłem, by się w nich narodziła; są mi wdzięczni do dziś. Sam pozostałem w niewiedzy, podążając drogą Sokratesa i czekając na

swego akuszera.

Swoboda roześmiał się na moje słowa. Zamiast przyjąć pomocną dłoń, przypuścił wściekły atak:

– Naprawdę nic nie rozumiesz?

Powtórzył to pytanie trzy razy, aż siła tego zabiegu retorycznego zupełnie osłabła. A potem zaczął po swojemu pluć jadem, zupełnie już się nie maskując. Twierdził, że Haggis, O'Connell i poczciwy Balzavour wyszli, bo nie chcieli się ze mną spotkać (w rzeczywistości wrócili do swej pracy nad naszym wspólnym projektem). Sugerował, że wszyscy członkowie (*fellows*) St. Brendan śmieją się za moimi plecami i szydzą ze mnie przy każdej okazji; że wykorzystują moją naiwność i wystawiają na próbę łatwowierność; że całe Newport świetnie się bawi moim kosztem; że unikają mnie i wymykają się pod byle pozorem, byle tylko nie przedłużyć spotkania; że on jeden podtrzymuje ze mną relacje; że jestem obiektem drwin, jakich nie znały Finnegany; że wszystko we mnie jest groteskowe i żałosne.

Nie będę komentował tych słów, bo wiem, że uważny czytelnik tych wspomnień sam potrafi wyrobić sobie zdanie na ten temat. Nie muszę się bronić przed każdym podobnym kłamstwem, każdą podłą insynuacją. Prawda jest po mojej stronie. Tymczasem Marcin Swoboda mówił o przyjaźni, proponował ratunek, obiecywał pomoc.

Zostawiłem gada w pubie, gdzie wił się na krześle w parkosyzmach zatrutego jadem śmiechu. To była nasza ostatnia rozmowa. Widywałem go jeszcze kilka razy, jak skruszony przemyka ulicami Newport. Wina przygarbiła go zupełnie do ziemi, jakby jego kalectwo miało podłoże nie fizyczne, lecz moralne. Kilka razy zaczepiał mnie jeszcze, ale nie dałem się wciągnąć w tę grę. Nowa powieść Filipa Włócznika otworzyła mi oczy, uświadomiła, jak łatwo ulec iluzji, uwierzyć w to, co jest tylko złudą. Kiedy to zrozumiałem, impregnowałem się na zło, które przynosił Swoboda. Nie dałem się już zwieść.

Wróciłem do swego życia, w którym nie było już miejsca na Marcina Swobodę. Dla niego nie istniał już żaden ratunek.

## O maści na wrastające paznokcie

Nie sądziłem, że w moich wspomnieniach ta bolesna i kłopotliwa przypadłość będzie wspomniana tak często, zwłaszcza że sam nigdy nie byłem jej ofiarą. Uważam zresztą, że przyczyną jest tu brak należytej higieny stóp, dlatego wiem, jak skutecznie przeciwdziałać tej dolegliwości.

Jednak wieczorem następnego dnia, po otrzymaniu przeze mnie trzeciego rozdziału powieści Włócznika, Finnegany obiegła lotem maskonura wieść, że zacny Rory O'Neill został rankiem aresztowany.

Tu uważny czytelnik zauważy z pewnością, że zmieniam nieco chronologię opisywanych wydarzeń. Jednak zależało mi, by moja ostatnia rozmowa z Marcinem Swobodą pokazana była w kontekście trzeciego rozdziału powieści Filipa Włócznika. To napięcie pomiędzy naiwnością młodego Goffreda da Sieny i moją przenikliwością w rozpoznaniu demonicznej natury rzekomego heideggerzysty uznałem za cenniejsze od banalnego następstwa czasowego. Zresztą opisane poniżej wydarzenie nie ma szczególnego znaczenia dla tej opowieści, a przytaczam je jedynie dlatego, by pokazać szerszy plan, ów lokalny koloryt, na tle którego toczyło się wówczas moje życie.

A więc stało się, zacny Rory został aresztowany. W Newport nie ma posterunku policji i przez lata takie rozwiązanie świetnie się sprawdzało. Na archipelagu nie dochodzi do żadnych poważnych wykroczeń, nie ma kradzieży, gwałtów ani rozbojów, nikt też nigdy nikogo nie zabił. Czasem zdarzy się zwyczajowa bójka po wyjściu z pubu, ale następnego dnia naruszony porządek prawny i moralny wraca do normy. Mieszkańcy Finneganów sami nauczyli się dbać o sprawiedliwość, kierując się starą metodą małych społeczności: człowiek, który poważnie przekroczy prawo (raczej moralne niż stanowione przez suwerena), jest na jakiś czas wykluczany ze wspólnoty. Owszem, dalej może żyć w swoim domu, ale nikt nie zagada do niego na targu, nikt nie przysiądzie się w pubie, nikt nie zapyta o zdrowie. W zależności od powagi wykroczenia ta kwarantanna trwa od kilku dni do nawet kilku miesięcy. Nie chciałbym być w skórze takiego winowajcy, zresztą ponoć wielu z nich nie wytrzymuje tego napięcia i emigruje na zawsze z archipelagu.

W opowieściach piwnych Newport powraca historia aresztowania młodego rybaka (nazwisko i imię nie są tu istotne), które miało miejsce w latach siedemdziesiątych. Pewnego dnia przed domem jego rodziców pojawiła się policja i zabrała nieszczęśnika do aresztu hrabstwa Donegal, do którego administracyjnie należą Finnegany, pod zarzutem gwałtu. Wszyscy miejscowi znali jednak prawdziwą historię rzekomego przestępstwa. Chłopak zakochał się w dziewczynie, dziewczyna w chłopaku. Ojciec dziewczyny był temu przeciwny, gdyż liczył na lepszą partię dla swej córki. Mimo to młodzi spotykali się potajemnie i wielokrotnie dobrowolnie konsumowali swój związek. O żadnym przymusie nie mogło być więc mowy. Wkrótce po osadzie rozeszła się plotka, że dziewczyna jest przy nadziei. Wściekły ojciec zamknął ją w pokoju na klucz, a sam doniósł na niedosłego zięcia i sprowadził do Newport policję.

Na szczęście sprawa szybko się wyjaśniła, z Finneganów wyruszyła do Donegal delegacja miejscowych obywateli, by zeznawać na korzyść chłopaka. Ten szybko wrócił do domu, witany owacyjnie. Natomiast ojca dziewczyny spotkała dotkliwa kara. Za sprowadzenie na wyspę policji bez wyraźnego powodu został wykluczony ze wspólnoty na rok i przez cały ten czas surowi Finnegańczycy traktowali go jak powietrze. Biedny donosiciel chudł w oczach, marniał, aż wreszcie zabrał rodzinę i wyemigrował do Bostonu, gdzie ponoć zatrudnił się u szwagra w myjni samochodów przy stacji benzynowej. Córka zaś została, wyszła za ukochanego i żyje szczęśliwie, ciesząc się szacunkiem mieszkańców Newport.

Nigdy później nikt nie poważił się sprowadzić na wyspę policji. Nigdy też nie było powodu, by to robić. Tym razem jednak funkcjonariusze przyłynęli sami. Podobno zacy Rory był dilerem narkotyków, które sprowadzał na swym kutrze z Hebrydów. Dziwne. Kto teraz będzie sprzedawał znakomitą maść pani O'Neill?

Dobry, serdeczny Rory O'Neill! Skończył tak marnie. A przecież pamiętam, jak nieraz wracaliśmy razem z pubu starego Toby'ego, podtrzymując się nawzajem i śpiewając gromko *Whiskey in the Jar*.



## O cenzurkach

Podczas pobytu na Finneganach zżyłem się bardzo z moimi studentami. I choć różnie się między nami układało, pokochałem tych urwisów, te szczenięta humanistyki. Oni dali mi wiele, nawet o tym nie wiedząc. Ja mogłem dać im tylko Filipa Włócznika i kilka mądrości płynących prosto z serca. Wierzyłem w nich, choć dostrzegałem ich słabości. Każdy mógł zajść daleko, ale musiał stanąć w prawdzie o sobie. Nie ma bowiem nic gorszego niż trwanie w iluzji. Gdyż któregoś dnia „iluzja powlecze się mgłą i rozpadnie na tysiąc kawałków, raniąc ostrymi odłamkami swoją ofiarę” – jak pisał Filip Włócznik. Wyznam, że na grozę trwania w iluzji zwrócił moją uwagę trzeci rozdział nowej powieści polskiego mistrza pióra.

Dlatego postanowiłem, że o każdym z moich studentów skreślę kilka szczerych słów, co mogłem uczynić dzięki kształconej przez lata umiejętności obserwowania ludzi. Wszyscy lubimy być chwaleni. Ale pochwały są tanie, nawet jeśli szczere. Ufałem, że pożyteczniejsza dla mych podopiecznych będzie uczciwa krytyka, gdyż to ona pozwoli im dostrzec w sobie słabości, o których albo jeszcze nie wiedzą, albo udają, że nie wiedzą. Dlatego przepełniony życzliwością sporządziłem pięć krótkich notatek, w każdej sumiennie opisując jednego z moich uczniów. Wierzyłem, że ich szacunek do mnie pozwoli przyjąć me słowa ze zrozumieniem i należytą powagą (aby nie pozbawiać czytelników tych celnych spostrzeżeń, umiejętnie wplotłem je już w moje wspomnienia).

Nie chciałem jednak robić z tego niezdrowej tajemnicy oraz wprowadzać w naszą zżytą przecież grupę niepotrzebnych sekretów, które mogłyby być źródłem szkodliwych podziałów. Dlatego przed wręczeniem każdemu tej nieformalnej cenzurki pozwoliłem sobie na publiczne jej odczytanie. Widziałem na ich twarzach zrozumienie, choć czasem udatnie maskowane zaskoczeniem. Ech, jeszcze stary belfer potrafi zadziwić nieopierzoną młodzież!

Byli mi wdzięczni. Wierzę, że dzięki tym szczerym, płynącym z serca radom staną się w przyszłości dobrymi naukowcami. Takich uczonych potrzebuje Europa!

## O wyschniętym źródle

Dni, które upłynęły mi na oczekiwaniu na czwarty rozdział nowej powieści Filipa Włócznika, z pozoru nie różniły się od pozostałych. Chodziłem na spacer z Jadranką, uczyłem młodzież, prowadziłem głębokie analizy rzeczywistości. Nic nie zapowiadało takiego finału, nic nie zwróciło mojej szczególnej uwagi. Tym większe zaskoczenie przyniosły najbliższe wydarzenia. Ale po kolei – niech chociaż teraz uda mi się wrócić do szlachetnej zasady porządku, którą porzuciłem wiele stron temu. Zaczęło się od wyschnięcia źródła życia.

Ostateczny rozbrat z moim prywatnym demonem (Marcin Swoboda) sprawił, że nagle zyskałem dużo wolnego czasu. Nie przypuszczałem wcześniej, jak absorbująca była ta garbata postać małego heideggerzysty.

Dzięki temu zwróciłem się do spraw dawno zarzuconych lub zaniedbanych. Po pierwsze, intensywnie siadłem do projektu *Nowa Iona*. Trzeci rozdział powieści Włócznika przyniósł mi nową inspirację i z werwą zabrałem się do roboty. Jednak im bliższy był termin nadejścia kolejnego rozdziału, tym częściej porzucałem pracę i czekałem. Byłem powstającą niemal na moich oczach powieścią opętany, co wyznaję z dumą, gdyż opętanie literaturą jest jednym z najszlachetniejszych stanów, w jakim może się znaleźć ludzka dusza.

Kiedy więc nadszedł wieczór, w który powinien nadejść czwarty rozdział tego arcydzielnego tekstu, odprawiłem wszystkie rytuały oczekiwania, przytaszczyłem drukarkę z St. Brendan i zastygłem przed monitorem. Nadeszła godzina 7.30 (8.30 czasu polskiego), lecz w mojej skrzynce nie było nowego e-maila. Bezradnie odświeżałem ekran co kilkanaście sekund, sprawdzałem łącze, ale list nie nadchodził. Wszystko było w porządku, technika działała, tylko Filip Włócznik zawiódł.

Moje rozczarowanie było wielkie, gdyż całe swoje życie podporządkowałem przecież tym wieczorom spędzonym na gorączkowej lekturze kolejnych porcji tekstu. Tym razem musiałem sobie poradzić bez tego. Po dwóch godzinach oczekiwania, zmęczony napiętą do ostateczności nadzieją, dałem za wygraną i poszedłem do pubu starego Toby'ego upić się pienistym guinnessem.

W lokalu powitał mnie Marcin Swoboda, niezrażony moim ostentacyjnym zachowaniem. Ignorowałem go przez ostatnie dni, jednak on nic sobie z tego nie robił. Zamierzał po dawnemu podejść i zagadać, jakby nic się nie stało, jakby nie było między nami tych wszystkich kłamstw i oszczerstw, które zdradziecko fabrykował. Zrobiło mi się go żal, ale kiedy podszedł, odwróciłem się plecami i spokojnie piłem swoje piwo. Zachowałem się twardo i serce mnie bolało od własnej nieugiętości, ale wiedziałem, że tak trzeba. Oto zachowanie prawdziwego Finnegańczyka: każdemu, kto złamie prawo moralne, należy się czasowe wykluczenie ze wspólnoty. Marcin Swoboda znalazł się w moim prywatnym czyścicu, gdzie miotał się upokorzony, skrzywdzony – głównie przez samego siebie, choć tego pewnie nie rozumiał.

Posiedział jeszcze kwadrans przy pustym stole po drugiej stronie pubu, co chwila zerkając na mnie smutno. On też został sam. Gdzie się podzieli jego koledzy, których rzekomą przyjaźnią tak się chełpił? Gdzie Haggis, O'Connell i pocziwy Balzavour? Pod Lwem ich jakoś nie widziałem. W końcu Marcin Swoboda wyszedł, zataczając się mocno, i ruszył prosto w ciemność. Nie odprowadzałem go wzrokiem.

Tej nocy piłem bez opamiętania. Nie było jednak nikogo, kto mógłby mnie potem odprowadzić do domu. Zaczny Rory O'Neill sam siedział w zimnej celi aresztu hrabstwa Donegal, daleko od rodzinnych Finneganów. Wszyscy byliśmy samotni, każdy na swój sposób. Ruszyłem więc w heroiczną drogę do domu, która zamieniła się w moją osobistą odyseję, kiedy błądziłem po uliczkach Newport i po polsku prosiłem o pomoc. Tyle pamiętam. Obudziłem się rankiem, skulony w jakiejś portowej szopie, gdzie bezimienny dobry człowiek nakrył mnie derką, bym nie zmarł na kość.

Dowlokłem się do swego pokoiku i z płaczem rzuciłem na łóżko. Oczywiście zanim zasnąłem w skotłowanej pościeli, sprawdziłem z nadzieją skrzynkę pocztową. Żadnych wieści, żadnych załączników! Tak zaczął się najgorszy tydzień mego pobytu na wyspie. Zarzuciłem wszystkie obowiązki, nie wychodziłem niemal z domu, tylko brudny i nieogolony czekałem na list od Filipa Włócznika.

Dlaczego nie pisał? Dlaczego nie przesłał kolejnego rozdziału? Nie mogłem tego zrozumieć. Szukałem prostych wytłumaczeń, ale nie znajdowałem w nich pocieszenia. Może nie zdążył napisać, może coś mu wypadło, może zmieniła się koncepcja powieści? Nic mnie nie potrafiło przekonać. W rozdygotanym od zawiedzionej nadziei umyśle pojawiały się tłumaczenia tak absurdalne, że teraz wstyd mi je nawet przywoływać. Jednak dobrze oddają one mój ówczesny stan ducha, więc w imię prawdy powinny trafić do tej opowieści.

Przyszło mi więc do głowy, że to jednak Marcin Swoboda jest Filipem Włócznikiem i kiedy ostatecznie go porzuciłem, on wstrzymał dostawy kolejnych partii tekstu w zemście za moje zachowanie. Czułem się jak narkoman na głodzie, nałogowiec literatury, zakładnik nienapisanej powieści. W porywie rozpaczyci chciałem nawet iść do niego i błagać o przebaczenie, żeby tylko dostać kolejną działkę. Byłem gotowy poniżyć się i upokorzyć, wyznać wszystkie winy i przeprosić go za każdy gest pogardy. Ale ostatecznie rozum zwyciężył napierające na mnie wewnętrzne demony i odrzuciłem ten żaloszny pomysł.

Mijały kolejne dni – kolejne dni bez nowego rozdziału. Próbowałem w końcu udawać, że nic takiego się nie stało, kiedy więc zbliżał się termin nadejścia następnej części powieści, spełniłem wszystkie swoje drobne obrzędy i z herbatą zasiadłem przed monitorem. Liczyłem, że me zaklęcia odmieniają świat i przywołają czającego się gdzieś po drugiej stronie łączy Filipa Włócznika. Jak łatwo się domyślić, nic się nie stało. Zacząłem więc pisać do polskiego fantasty e-maile, zarzucając go prośbami, groźbami i małymi (oraz nieskutecznymi, co wiedziałem od początku) szantażami. Jednak już pierwszy list rozbił się o rafy internetowej dehumanizacji. Lakoniczny komunikat głosił, że adres użytkownika o nazwie „filip.wlocznik” nie istnieje. Z kolejnymi było tak samo.

Podejrzewałem najgorsze.

A może gdzieś w dalekiej Polsce, po drugiej stronie światłowodu, wielki polski prozaik umarł, nie ukończywszy dzieła? Odrzucałem tę myśl na wszelkie sposoby.

Nawiasem mówiąc, w owym tygodniu zmarła pani Magee. Oczywiście bardzo to przeżyłem, choć nie miałem już miejsca w duszy, by się zaangażować w ten cichy dramat. Cieszyłem się tylko, że mogłem w tych ostatnich miesiącach przyłożyć ręki, by jej życie było choć trochę przyjemniejsze. Nasz wstydlivy sekret sędziwa wdowa po wielorybniku zabrała do grobu. Dla porządku dodam tylko, że pani Magee wiele lat wcześniej zapisała dom uniwersytetowi. Dzięki temu mogłem mieszkać w swoim pokoiku do końca pobytu.

Ale cóż z tego? Moje źródło wyschło, a ja byłem skazany na powolne umieranie.

## O początku końca

Wszystko ma swój kres, podobnie i ta historia. Przeglądam swoje notatki, zapiski w „dzienniczku pokładowym”, a także spisaną już do tej pory opowieść. Może z początku jest nieco chropawa i dopiero później nabiera potoczności i literackiej mocy, którą w sobie bez trudu odnalazłem. Skoro jednak czytelnik przebrnął przez nią aż do tego momentu, oznacza to, że może tak pozostać. Niech ten zapis będzie świadectwem nie tylko wydarzeń, ale też rozwoju mego skromnego talentu, dojrzewania do prawdziwej wielkości.

Staralem się mówić prawdę, a jeśli tej zasadzie uchybiłem, to raczej przez brak doświadczenia niż chęć zatajenia czegoś istotnego. Może momentami wyszło niezgrabnie, może czasem zbyt zawierzyłem swym literackim zdolnościom? Ale jestem pewien, że czytelnik, który dotrwał dzielnie do tego momentu, wie o moim życiu na Finneganach tyle, co ja sam. Zapewniam, że nie wydarzyło się tam nic więcej.

Teraz zaś czeka mnie zadanie najtrudniejsze: opowiedzieć o ostatnich dniach mego pobytu w Newport. Mam nadzieję, że uda mi zachować wierność prawdzie i bezstronność – wartości, którym do tej pory tak lojalnie służyłem.

Mój plan ofiarowania szczęścia Jadrance Vidović utknął w miejscu. Zbliżała się połowa grudnia, a ja dalej jedynie spacerowałem z Chorwatką po pustkowiach. Było już tak chłodno, że niedługo to usprawiedliwienie naszych spotkań straci swój sens. Musiałem nawiązać romans, okazać jej swoje uczucia – choćby były tylko grą pozorów.

Kiedy więc ruszyliśmy spod St. Brendan w stronę farmy pana Harrisa, szedłem z mocnym postanowieniem, że teraz albo nigdy. Dotarliśmy do samotnej zagrody, gospodarz powitał nas serdecznie, znów ogrzewaliśmy dłonie wokół kubków z kawą i piliśmy siarczystą whiskey. Zbierałem się, żeby zrealizować swój plan, kiedy Jadranka odezwała się:

– Chcesz zobaczyć młode jagnięta? Właśnie był wykot.

Nie dałem się dłużej prosić, gdyż od razu przejrzałem grę bystrej Chorwatki. Tak się bowiem składało, że świetnie znałem się na zagadnieniach rozrodu owiec i doskonale wiedziałem, że wykoty następują pod koniec grudnia i w styczniu. A tu był dopiero 11 grudnia! Jadranka chciała mnie zwabić do obory, by tam, w sprzyjającej atmosferze, doprowadzić do bliskości, nieuniknionej już na naszym etapie znajomości.

Dopiłem kawę i dałem się poprowadzić na rzekome oglądanie niewinnych jagniątek. Kiedy jednak tylko minęliśmy drzwi niskiej kamiennej szopy, objąłem Jadrankę Vidović w pół i zacząłem namiętnie całować. Jednocześnie drugą ręką wprawnie rozpiąłem guziki bluzki, uwalniając jej piersi. Dotykałem skóry delikatnie, bojąc się, że na kruchym ciele odkryję inne blizny, inne zakryte ślady. Pieściłem więc tylko to, co widziałem. Nie chciałem wprawiać Chorwatki w zakłopotanie. Zwłaszcza że sam byłem wystarczająco zakłopotany, gdyż mimowolnie wspominałem dobrą panią Magee.

I wtedy Jadranka odskoczyła ode mnie, oddychając ciężko i patrząc z

zaskoczeniem:

– Zgłupiałeś?

Czułem, że droczy się ze mną.

– Naprawdę chcesz to zrobić? – zapytała.

Skinąłem głową. Zapadła długa i niezręczna chwila milczenia, Jadranka zapięła koszulę i ciasno owinęła się wełnianym płaszczem. Wokół pobekiwały owce, zaniepokojone naszą obecnością. Wreszcie Chorwatka powiedziała:

– Najpierw trzeba zrobić coś innego.

Zabrzmiało to jak ultimatum. Obruszyłem się. Nie sądziłem, że ta zakochana we mnie kobieta będzie stawiać warunki. Poczuję się niezręcznie. Jednak kiedy powiedziała mi, o co chodzi, musiałem ją w duchu przeprosić. Długie spacerunki i nasze rozmowy ośmieliły moją towarzyszkę na tyle, by zaufać mi bezgranicznie.

Wyznała, że w St. Brendan od dawna narasta opozycja wobec dziekana. Spora grupka uczonych, nawet większość społeczności akademickiej, uważa, że O'Grady jest naukowcem nietwórczym, zarządcą opieszłym, a do tego pojawiają się poważne wątpliwości dotyczące jego gospodarowania pieniędzmi unijnymi na remont kaplicy. Trzeba to wreszcie powiedzieć głośno. I potrzeba osoby, która to powie. A wtedy wszyscy ją poprą.

– Tylko ty możesz to zrobić, tylko ty. Wierzę w ciebie! Zrobisz to?

Odparłem, że się zastanowię, i w milczeniu wróciliśmy do Newport. Czułem, że zostałem wciągnięty w wir wydarzeń ważnych i przełomowych. Dojrzewała rewolucja, a rewolucja wymaga mądrości.

Po powrocie do pokoju nie mogłem dojść do siebie. Ciągle czułem bliskość ciała Chorwatki, jej namiętność, pragnienie, by być ze mną tak blisko. A jednocześnie poznałem jej poczucie obowiązku; przekonanie, że najpierw trzeba zrobić w świecie porządek. By to uzyskać, była nawet gotowa oddać chwilę osobistego szczęścia, zaczekać, aż świat wokół nas stanie się lepszy.

W tamtej chwili tak bardzo ją szanowałem!

## O dojrzewaniu bohatera

Wróciłem ze spaceru po północnych pustkowiach wzburzony. Jadranka, ta dobra, choć oszpecona kobieta, otworzyła mi oczy na wiele spraw, o których nie miałem pojęcia. Zagrzebany po uszy w naukowe projekty, oddany bez reszty dydaktyce i swoim studiom nad geniuszem Filipa Włócznika, nie dostrzegłem, że wokół tak źle się dzieje!

Dziekan O'Grady skutecznie maskował niekompetencję miłym uśmiechem i poufałością, które osłabiły moją czujność. Oto przestroga dla wszystkich, którzy zanurzeni w badania naukowe, nie dostrzegają narastającego wokół siebie zła. Oczywiście mógłbym tłumaczyć się długo, pokazywać liczne ślady mej działalności i wyliczyć się z każdej spędzonej na Finneganach godziny, ale przecież dobrze wiedziałem, że to nie zwalnia mnie z odpowiedzialności. Byłem członkiem (*fellow*) wspólnoty akademickiej, należałem do St. Brendan. I moim obowiązkiem było dostrzec nieprawidłowości i adekwatnie zareagować.

Jadranka miała rację, trzeba było przemówić, postawić sprawę jasno i zdecydowanie. Dziwiłem się trochę kolegom, dlaczego sami nie mieli na to odwagi. Może znali dziekana dłużej i występowanie z tak poważnymi oskarżeniami było w ich sytuacji wysoce niezręczne? Potrafiłem to zrozumieć. Potrzebowali mnie, nie po raz pierwszy zresztą, bym ich poprowadził, dał znak, objął przywództwo. A przecież byłem przywódcą, miałem to we krwi. Już w podstawówce piastowałem przez wiele kadencji funkcję przewodniczącego klasy.

Byłem negocjatorem w ważnych sprawach i rozjemcą łagodzącym spory. W późniejszych latach odsunąłem się nieco od polityki, poświęcając się samodoskonaleniu i poszukiwaniu prawdy, ale prawdziwy przywódca drzemał we mnie i czekał na odpowiedni moment. I moment ten miał nadejść, a wraz z nim poważne zmiany w St. Brendan College.

Scenariusz rysował się przejrzysto. Na najbliższym posiedzeniu u dziekana podniosę postawione przez Jadrankę wątpliwości i sformułuję pod adresem O'Grady'ego pytania i oskarżenia. Zachęceni moją odwagą, poprą mnie wszyscy członkowie (*fellows*) naszej wspólnoty. Widząc ogrom niezadowolenia, dziekan złoży urząd. W naturalny sposób społeczność akademicka zaproponuje to stanowisko mnie, jedynemu odważnemu, który miał siłę przeciwstawić się patologicznemu układowi.

A więc o to szła stawka! Do tego zmierzało wszystko z tą nieuniknioną logiką dziejów, którą opisywał stary, mądry Hegel; nieprzypadkowo jego narzędzia do dziś służą ludzkości w rękach niestrudzonej Sadhbh O'Sullivan! Jednocześnie nie mogłem zapominać, że funkcja ta, moje finnegańskie dziekaństwo, to dar od zakochanej kobiety, spokojnej Jadranki Vidović. Zachowałem to spostrzeżenie głęboko w sercu i postanowiłem, że odwdzięczę się jej w stosownym czasie.

Jednocześnie uświadomiłem sobie, że wydarzenia, które mają nadejść, zmienią całkowicie moje plany. Zamiast jednego semestru, owych tytułowych stu dni bez słońca,

miałem pozostać na Finneganach na długie lata, ciesząc się szacunkiem wspólnoty akademickiej i zarządzając ze swego stanowiska najważniejszym projektem badawczym światowej humanistyki. Dzierżąc władzę, miałbym dużo większe możliwości, by owo zamierzenie doprowadzić do realizacji. Mógłbym zatrudnić jeszcze kilku wybitnych specjalistów, wdrożyć opracowany przez siebie system pracy. Jako dziekan Srebroń wprowadziłbym nieco zapomniany i niesłusznie marginalizowany St. Brendan College na szerokie wody europejskiej i światowej myśli.

Wyobrażałem sobie, jak wiodę liczne grono naukowców na cotygodniowy obiad, podczas którego zasiadam w głowie stołu, pytany o wszystko i proszony o opinię, otaczany należnym szacunkiem i komplementowany jako naukowiec, dydaktyk i organizator.

Do tego dochodziła coraz bardziej skomplikowana sytuacja z Jadranką. Czym innym bowiem jest dar mojej litości, ograniczony ramami krótkiego i dobiegającego końca pobytu na Finneganach, a czym innym wieloletni romans dziekana ze swoją podwładną. Wszystko to działo się tak szybko. I nagle, w jednym błysku, zrozumiałem, o co w tym wszystkim chodziło.

Otoczona rodzącymi owcami Jadranka wyczuła, że moje intencje nie są do końca szczerze. Staralem się, ale może zdradził mnie jakiś gest, grymas, nieopatrzone spojrzenie; na pewno nie słowa, gdyż gdy się odzywałem, wybierałem bezpieczne regiony opowieści o prozie Filipa Włócznika. Chorwatka czuła, że jej nie kocham. Mogła się zgodzić na spacer i być może kilka niewinnych pieszczot w zagrodzie pana Harrisa. Ale widziała mnie już w roli dziekana St. Brendan i przeczuwała, że pozostanę na Finneganach dłużej. Nie chciała więc zastawiać na mnie pułapki. Dumna bałkańska kobieta – pragnęła miłości i nie chciała niczyjego współczucia. Woląла żyć pogrążona we własnym nieszczęściu, niż dla kilku ulotnych uniesień unieszczęśliwić drugą osobę. Wiedziała bowiem, że to nie może się dobrze skończyć. Była mądrzejsza, niż podejrzewałem. Zrozumiałem, że litość, którą chciałem jej dać, jest najpodlejszym z darów.

Wielka, choć tak oszpecona kobieta!

Zaczął się czas zmian.



## O dojrzewaniu mówcy

Kiedy już zdecydowałem, że wezmę na barki to brzemię i odpowiedzialność za finnegaińską owczarnię uniwersytecką, musiałem dokładnie opracować strategię. Miałem trzy dni do zebrania u dziekana O'Grady'ego, trzy dni na przygotowanie mowy, która w ciągu jednego wieczoru zmieni bieg historii St. Brendan. Od niej zależało wiele, musiała być zdecydowana, ale wyważona, błyskotliwa, ale nietracąca ostrości oskarżenia, trafiająca w punkt, ale jednocześnie pozwalająca przeciwnikowi odejść z honorem.

Co do tego ostatniego nie byłem pewien. Czy człowiek winien tyłu poważnych wykroczeń może odejść z honorem? Czy zostawienie mu tej wygodnej furtki nie jest nadmierną pobłażliwością względem pospolitego przestępcy, którego czyny i osobę trzeba przykładowo napiętnować? Walczyłem ze sobą.

Podczas długich spacerów układałem sobie mowę oskarżycielską. Musiałem oczyścić umysł, dlatego odwołałem wszystkie spotkania i poprosiłem stanowczo moich akademickich przyjaciół, żeby nie uwzględniali mnie w swoich planach na najbliższe dni. Tym samym wysyłałem sygnał, że podjąłem rękawicę.

Niemal wszyscy zastosowali się do mojej prośby i nie nękali mnie nawet odpowiedziami na me oświadczenie. Zadzwoiła tylko Jadranka Vidović, nieco zaniepokojona pryncypialnością mej wiadomości. Ale uspokoilem ją, że sprawy są na jak najlepszej drodze i stanę do walki z O'Grady. To ją uspokoilo i nie nękała mnie więcej.

A ja, nieniekpokojony przez nikogo, spacerowałem po wymarżłych pustkowiach Wielkiego Finneganu i układałem swą mowę. Przede wszystkim należało retorycznie zaostrzyć sugestie, które podsunęła mi Jadranka. Musiałem nazwać sprawy po imieniu i nie pozostawić nawet cienia wątpliwości. Co to bowiem znaczy, że O'Grady jest naukowcem nietwórczym?

Ten eufemizm może być uznany za tłumaczenie kogoś, iż nie jest wybitny. Ale przecież wybitność nie jest powszechna, nie można z jej braku robić publicznego zarzutu. Czym innym są komentarze przy piwie, zwykłe, codzienne obgadywanie kolegów uniwersyteckich, a czym innym oficjalne oskarżenie. Cóż więc znaczy: nietwórczy? To ktoś, kto nie potrafi stworzyć nic własnego. A skoro tak, to albo ów ktoś milczy, albo przemawia. Jeśli milczy, jego rzecz. Ale jeśli przemawia, to warto zapytać, co takiego mówi, skoro nic od siebie dodać do nauki nie może? Przemawia, to oczywista, słowami innych, powtarzając cudze pomysły i teorie.

I rzeczywiście, zamiast nietwórczo milczeć i zająć się rybołówstwem, dziekan O'Grady popełnił kilka monografii i regularnie publikował artykuły. To oznacza, że przepisywał od innych. A to można nazwać tylko w jeden sposób: plagiat i kradzież intelektualna! I te zarzuty to już nie opinie wygłaszane przy piwie, ale nazwy przestępstw, za które w cywilizowanym świecie trafia się na długie lata do więzienia!

A zatem złodziej i plagiator, który ukrył się pomiędzy nami i udawał naukowca. Ten jego lisi uśmiech, ta przymilność, ta przemożna chęć bycia lubianym, żeby tylko nie

ściągnąć na siebie żadnego podejrzenia ani nawet woli sformułowania podejrzenia. Przejrzałem chytrego Irlandczyka na wylot, zobaczyłem nagle w jednym mgnieniu oka jego nagą, trędowatą duszę. Jakim człowiekiem trzeba być, by kraść bez opamiętania naukowy dorobek innych, by z lubością świecić światłem odbitym, by z premedytacją budować karierę na przestępstwie i zbrodni?

W podobny sposób musiałem przemyśleć wszystkie zarzuty, które podsunęła mi Jadranka. Kiedy to zrobiłem, ogarnęło mnie przerażenie. W swej naiwności, pełen zaufania do etosu akademickiego, nie dostrzegłem, obok jakiego zwyrodniałego umysłu żyję, jak nikczemnym i skarłałym moralnie jest dziekan Patrick O'Grady!

Nie będzie litości, nie będzie propozycji honorowego odejścia. Wiedziałem, że muszę rozsmarować podłego karierowicza, by nic z niego nie zostało; by ta hydra, niszcząca zdrowy rdzeń życia naukowego, nigdy się nie odrodziła. I nie dziwiłem się już, dlaczego moi zacni koledzy do tej pory nie reagowali. Zło pęta człowieka, zło obezwładnia. Dotknięci przez zło – a oni byli niego najbliżej – boją się zrobić cokolwiek. I dlatego potrzebowali mnie, bym przerwał ten moralny paraliż, bym dodał im odwagi w godzinie próby.

Dzień sądu się zbliżał!

## O ostatnim kuszeniu

Niewielu zakłócało ten mój czas dojrzewania. Uniwersytecka brać odsunęła się na te kilka dni, jakby chciała zrobić miejsce, bym mógł rosnąć. Czułem się jak wódz, który w samotności zbiera siły do najważniejszej bitwy. Dni, a w zasadzie godziny dziekana O'Grady'ego były policzone. Tymczasem on sam, nieświadomy zagrożenia, beztrosko spacerował uniwersyteckimi alejkami, zagadując po swojemu studentów.

Wtedy przypomniała mi się scena, której byłem świadkiem na samym początku pobytu. Wprawdzie nie uczestniczyłem w niej osobiście i nie wiem dokładnie, kto brał w niej udział, ale przez zamknięte drzwi jednego z gabinetów słyszałem końcówkę zdania: „... podobno lubi chłopców”. Teraz wspomnienie powróciło i z nic nieznaczącej insynuacji stało się czymś poważnym, trudnym do przegapienia. Jak mogłem być tak ślepy! Przecież przymilność dziekana w szczególny sposób ujawniała się w kontaktach ze studentami płci męskiej. Dla nich miał najcieplejszy uśmiech, zawsze służył pomocą, a podczas spaceru lubił nachylać się nad rozmówcą z dalece nieoczywistą poufałością.

Koncentracja, która towarzyszyła mi przed ostatecznym atakiem, sprawiła, że nagle ujawnił się nagi fakt, będący gwoździem do trumny dziekana O'Grady'ego: ten dobrotliwy z pozoru funkcjonariusz nauki (bo naukowcem nazywać go dalej to rzecz niestosowna) krył głęboko swój brudny sekret, pociąg do młodych chłopców, któremu bez wątpienia w swoim życiu wielokrotnie dawał upust, niszcząc zaufanie i łamiąc wątłe jeszcze fundamenty młodych osobowości. Kto wie, ile po Irlandii chodzi byłych uczniów dziekana, których życiorys został złamany? Pewnie zamiast sięgać po uniwersyteckie wawrzyny i birety, marnują dziś swoje umiejętności na stacjach benzynowych lub za kasami hipermarketów, uciekając przed cudzym wzrokiem, zawsze bladzi, przemykający pokątnie przez życie, biedne ofiary zaślinionego pedofila, strojącego się w maskę humanisty. Nie mogłem opanować odrazy.

Wieczorem, który kończył dzień poprzedzający wielką bitwę, naszedł mnie w moim mieszkaniu Swoboda. Wszedł nieproszony i usiadł na krześle jak diabeł, który zjawia się niepytany, po czym długo patrzył mi w oczy. Czułem, co się święci, rozpoznałem w tym dwulicowym garbusie pachółka dziekana, mój wyjątkowy zmysł rozpoznawania ludzkich dusz i tym razem mnie nie zawiódł.

– Cokolwiek planujesz, nie rób tego – powiedział, unikając kontaktu wzrokowego. – Jesteś ślepy, oni cię zniszczą, nie widzisz tego? Czy jesteś aż tak głupi? Ta zabawa przestała być śmieszna...

– Twoje zabawy nigdy nie były śmieszne, Swoboda – odpowiedziałem z wystudiowanym spokojem. – Jeśli skończyłeś, to znasz drogę do drzwi.

– Zastanów się, jeszcze nie jest za późno, jeszcze jest czas – powiedział, odchodząc.

Demon zniknął i w moim pokoiku zapanował spokój. Przebiegły heideggerzysta spróbował zasiać w mojej duszy niepokój, ale byłem chroniony spiżową zbroją szlachetności. Chciał mnie wystraszyć, powołując się na jakichś „onych”. Zawsze są jacyś

oni, kim byli teraz? Urzędnikami w Dublinie, którzy nawet nie wiedzą o istnieniu St. Brendan? Jakimiś tajemnymi mocodawcami O'Grady'ego? Bojownikami IRA, z którymi dziekan współpracował?

Sprytnie to sobie garbaty Swoboda przygotował, ale nie dałem się zwieść. Byłem gotowy.

## O klęsce ostatecznej

Rankiem czułem lekką ekscytację, przyznaję, ale przecież czekało mnie poważne zadanie. Czy podołam, czy starczy mi odwagi? Takich pytań nie zadawałem sobie wcale. Wiedziałem, co mam zrobić. Niepokoiło mnie tylko, czy poradzę sobie z obowiązkami dziekana, czy labirynty irlandzkiej biurokracji mnie nie pochłoną. Tak, jeśli czegoś się obawiałem, to właśnie tego. Poza tym byłbym przecież pierwszym Polakiem kierującym St. Brendan College! Piękna klamra historii, od biskupa Berkeleya po Lesława Srebronia, który przyjechał z dalekiego kraju, by postawić tamę złu.

Myśli te dodawały mi otuchy. Szedłem Main Street spokojnie, kłaniałem się mijanym przechodniom, a na ich twarzach odczytywałem krzepiące wsparcie. Mieszkańcy Newport byli po mojej stronie, to pewne. Na korytarzu przed salą posiedzeń podeszła do mnie Jadranka.

– Nie rób tego, przepraszam – powiedziała tylko.

Biedna, dotknięta przez życie kobieta, która nigdy nie wyzwoli się ze strachu. Zawsze będzie uciekać, a w konfrontacji z czyjąś mocą odczuwać trwogę, nawet jeśli owa moc nie jest wymierzona w nią, tylko budzi się po to, by ją chronić. Uspokoilem ją męskim spojrzeniem pełnym odwagi.

O’Grady zapewne przeczuwał, co się święci, dlatego postanowił zarzucić nas sprawami biurokratycznymi. Rozdał wszystkim jakieś formularze, tabele, które nikomu nic nie mówiły. Ale było za późno.

– Zanim zajmimy się tymi jakże ważnymi sprawami – zacząłem, sam sobie udzielając głosu – chciałbym zadać kilka pytań, być może niezbyt wygodnych.

Wszyscy zamarli, Jadranka i Swoboda próbowali mnie jeszcze powstrzymać, mówiąc coś o moim przemęczeniu i rzucając parę nieśmiesznych żarcików. Ale lawina ruszyła.

Zapytałem wprost dziekana O’Grady’ego, kiedy zamierzał nam ujawnić, że wszystkie jego prace są plagiatami i nie zawierają żadnej własnej myśli, a on sam jest cynicznym karierowiczem, który kradnie własność intelektualną i pogardza prawdą. Pytałem go, co się stało z pieniędzmi na remont kaplicy uniwersyteckiej, które ukradł, fałszując księgowość i zamykając usta świadkom; pytałem o wieloletnie kradzieże z kasy uniwersyteckiej, które sprawiły, że ta szlachetna wszechnica podupadła na tyle, by musieć zadowalać się pracą takich hochsztaplerów jak Marcin Swoboda (wskazałem go palcem).

Wszyscy siedzieli nieruchomo, gdyż nagle tama milczenia została przerwana. Skrywane zło wylało się i zasmrodziło tę średniowieczną salę. Nie chciałem tego, ale obcując z zepsuciem, trudno się nie pobrudzić. Dziekan O’Grady siedział blady i nerwowo bawił się długopisem.

Na koniec wytoczyłem oskarżenie najcięższe. Zapytałem, czy zamierzał pochwalić się przed kolegami swoimi licznymi i wieloletnimi sukcesami w dziedzinie (tu zawiesiłem dramatycznie głos) akademickiej pedofilii o profilu homoerotycznym – zakończyłem,

stawiając kropkę nad i.

– Żądam – powiedziałem uroczyście – by dziekan O’Grady podał się do dymisji!

Było cicho, zupełnie cicho. Czekałem na głosy wsparcia, na kolegów, zachęconych moją odwagą. Podałem im go na tacy, wystawiłem jak zająca w polu, a oni nic nie robili!

Uciekali wzrokiem, kiedy przetaczałem po sali swym władczym spojrzeniem, i uparcie milczeli. Jak bardzo musieli być zastraszeni, jak przemienieni przez system! Jeden po drugim wychodzili na korytarz, a ostatni opuścił salę dziekan O’Grady. Marcin Swoboda, mijając mnie, gadzio wysyczał do ucha:

– Nawet nie przychodź do Brendan’s Toe. A tak cię ostrzegałem.

Zostałem sam. Dziekan O’Grady został przeze mnie rozsmarowany, ale to ja byłem teraz sam. Jak bardzo musiał ich zastraszyć, jakie miał na nich haki, że zakneblował im usta? Szedłem na tamto spotkanie jak zwycięzca, wychodziłem z niego pokonany.

Co zrobiłem nie tak? Co zawiodło?

## O cynizmie ostatecznym

Po raz pierwszy nie rozumiałem, co się wokół mnie dzieje. Jak mogło się wydarzyć to, co się właśnie stało?

Wszyscy gdzieś zniknęli, zapewne bawili się przy suto zastawionym stole w Brendan's Toe, gdzie moi niedoszli sojusznicy na wyścigi zapewniali dziekana o swej lojalności. Pokłon oddawali, choć przegrzebki jedli, smutno sparafrazowałem finnegańskiego klasyka. Pewnie przegrzebki ociekały wazeliną, dodałem już od siebie, kolejna cenna myśl warta zapisania w dziale z aforyzmami.

Zostałem sam pośrodku Newport i nigdy tak gorąco nie prosiłem chmurnego nieba, by wypuściło choć na chwilę słońce z niewoli. Niebo pozostało nieme. Potem przyszła smutna noc po smutnym dniu. Zawiedziony przez wszystkich, niegotowy jeszcze, by zrozumieć sens tych wydarzeń, długo wiałem się w pościeli, czekając na sen.

Rankiem do moich drzwi zastukał mężczyzna z biura dziekana i stanowczym głosem przekazał mi polecenie samego O'Grady'ego, bym niezwłocznie udał się do St. Brendan. Ubierałem się niemal na oczach posłańca, upokorzony, zaspany i głodny, po czym marznąc, wlokłem się za nim Main Street, niczym skazaniec prowadzony na szafot. Czułem żal, że tak traktuje się uczciwego sługę prawdy, który po prostu wykazał się odrobiną odwagi cywilnej – której zabrakło wszystkim innym.

Dziekan przyjął mnie chłodno i nie w swoim przytulnym gabinecie, tylko w sali, która wczoraj wysłuchała mej płomiennej mowy. Dzielił nas długi stół, dlatego głos O'Grady'ego brzmiał, jakby ten krzyczał. Mówił o zaufaniu i rozczarowaniu, o wartościach i zaskoczeniu. Czuł się dotknięty, niesłusznie oskarżony, zdradzony w swej przyjaźni i odtrącony.

– Od początku docierały do mnie różne informacje na pana temat – mówił – ale ignorowałem je. Uznałem to za nieszkodliwe plotki, w których jest niewiele prawdy. Przymykałem oko na pana rozmaite wyskoki, bo uważałem, że wam, ludziom z tamtej części Europy, było trudno i dlatego trzeba dać wam szansę, mimo wszystko...

Takiego cynizmu jeszcze nie słyszałem! To on mi dawał szansę, on się mną opiekował! Do wszystkiego doszedłem sam, do pięt mi nie dorastał, a teraz nagle stałem się obywatelem „tamtej części Europy”. Nie potrafiłem nawet zareagować. Nie bronił się, nie przeproszał, nie proponował współpracy, tylko okazywał pogardę.

O'Grady kontynuował, zaglądając do tekturowego skoroszytu i kartkując jego zawartość.

– Już na początku semestru przyszła do mnie zapłakana studentka, panna Saoirse Flanagan, która twierdziła, że w ordynarny sposób proponował jej pan współżycie płciowe. Potem skarżyli się na pana koledzy, że pan ich nachodzi, przeszkadza w pracy, śledzi na mieście i narzuca się ze swymi absurdalnymi pomysłami. Mam też kilka doniesień o pana pijackich ekscesach w lokalnych pubach. Skarg od studentów, że pana słaba angielszczyzna może wystarczałaby w hotelowej recepcji, ale nie na uniwersytecie,

już nie liczę. Ale przymykałem oko. Dłużej jednak nie mogę, sprawy zaszły za daleko. Proszę się spakować i opuścić Finneganą najbliższym statkiem. Zwalniam pana z obowiązku świadczenia usług dydaktycznych, umowa rozwiązana, proszę wracać do siebie.

Nie powiedział do widzenia, nie podziękował za miesiące owocnej współpracy. Cyniczny, zawistny człowieczek o mentalności szeregowego terrorysty, mały Paddy O'Grady. Zniszczyć, nie licząc się z ofiarami, oto mentalność każdego Irlandczyka! Jakież ja byłem ślepy! Chciał wyjść bez pożegnania, ale nie dałem mu tej satysfakcji.

– Znakomicie, mój drogi Paddy – zacząłem. – Nie sądziłeś chyba, że zechcę spędzić tu choćby dzień dłużej. Sam odchodzę, to moja decyzja, spóźniłeś się. Nie dam ci tej satysfakcji, bo nie zwykłem dawać satysfakcji tchórzom. Ale tego nigdy nie zrozumiesz, bo Irlandczycy to naród terrorystów i tchórzy, a Polacy to naród bohaterów. My nie zabijamy niewinnych i nie zasłaniamy się szczytnymi celami, przelewając krew dzieci! My sami ginimy na barykadzie! Żegnam!

I wyszedłem, w opanowany sposób zamykając drzwi. Nie będę trzaskał, nie będę tupał. Niech zostanie z moimi słowami i zrozumie popełniony błąd. Może wyciągnie z tego jakieś wnioski, może będzie to dla niego lekcja. Tyle mogę mu wspaniałomyślnie ofiarować.

Wyszedłem i już nigdy nie przekroczyłem progu St. Brendan College.



## O pożegnaniu

Zrozumiałem, że mój czas na Finneganach dobiegł końca. Nie mogłem spędzić tam ani godziny dłużej. A jednak musiałem przeżyć jeszcze trzy długie dni, bo tyle trzeba było czekać na najbliższy statek z Tory Island. To były smutne, puste dni, które spędziłem w pokoiku na poddaszu, unikając ludzi i bijąc się z myślami.

Przez okno widziałem, jak mały świątek Newport wraca na dawne tory. Naprzeciwko, u starego Toby'ego, zasiadali na długie godziny O'Connell, Haggis i poczciwy Balzavour, po dawnemu popijając guinnessa i śmiejąc się do łez. Wraz z nimi siedział Marcin Swoboda, radosny i uśmiechnięty jak nigdy. Wiedziałem, że dobrze im ze sobą.

Po Main Street spacerował zdrowy i silny Lew Michajłowicz Protopopow, a przy jego boku przytulona dziewczęco Jadranka Vidović. Im też było ze sobą dobrze, staremu humaniście i jego młodej podporze na stare lata. Raz minął ich dziekan O'Grady i rozmawiali chwilę jak starzy przyjaciele, nie zważając na grudniowe chłody. Jadranka nawet nie spojrzała w okna mego pokoju, choć wiedziała, gdzie mieszkam, i choć świeciło się światło.

Tylko ja byłem sam, zbędny i nikomu niepotrzebny, zawiedziony w swych nadziejach. Ale czas przynosi ukojenie i zanim tygodniowy statek zdążył zawinąć do portu, poukładałem sobie w głowie wydarzenia ostatnich dni i nie patrzyłem już na nie tak surowo. Gniew minął, emocje opadły, robiąc miejsce dla chłodnej analizy, która przede wszystkim prowadzi do zrozumienia. Pojąłem, że coś, co odbierałem początkowo jako porażkę i jawną niesprawiedliwość, jest darem, hojnie darowanym mi przez członków (*fellows*) St. Brendan.

Z pozoru wszystko wyglądało źle. Jednak nie trzeba było zbytnej przenikliwości, by zrozumieć najgłębszy sens tych wydarzeń. To prawda, wokół narosła piętrowa intryga, która ostatecznie doprowadziła mnie do opuszczenia Finneganów. Ale przecież nie mogłem za to winić tych poczciwych ludzi, wybitnych naukowców. Ostrzegali mnie, a ja nie słuchałem, wysyłali mi sygnały, które ignorowałem. Teraz wiem, co chcieli mi powiedzieć, i z każdym dniem rozumiem to coraz lepiej.

Najpierw mówili mi to wprost, lecz kiedy zauważyli, że te proste, szczere rady nie trafiają do mnie, użyli fortelu. A wszystko po to, by zwrócić moje oczy, choćby w sposób radykalny, na to, co naprawdę ważne.

Podczas pobytu na Finneganach sam wplątałem się w liczne działania, które tylko odciągały mnie od mojego własnego *opus magnum*. Zamiast zgłębiać twórczość Filipa Włócznika, zanurzyłem się w projekt *Nowa Iona*. I te przenikliwe finnegańskie umysły dostrzegły od razu coś, co mnie umykało: że to geniusz Włócznika jest moim powołaniem, a nie projekt epokowego grantu. Kwiat europejskiej humanistyki zobaczył coś, co dla mnie pozostawało zakryte! Tak, przyznaję się do tej słabości – ale też wiem, że tylko wielkie umysły potrafią się przyznać do potknięć. Nawet tak nieznaczących i wynikających

z oddania pracy jak moje zaślepienie.

Odtąd wszyscy starali mi się to powiedzieć na różne sposoby. O tym mówił Protopopow w swoich mądrych, lapidarnych radach; to właśnie chcieli zasugerować O'Connell, Haggis i pocziwy Balzavour, sabotując organizowane przeze mnie spotkania zespołu roboczego; nawet Marcin Swoboda, niezależnie od dwuznaczonej roli, jaką odegrał, nawet on nieudolnie próbował pomóc. Wszyscy chcieli ocalić mnie przed mną samym i moim obsesyjnym poczuciem obowiązku za losy świata.

Kiedy to nie pomagało, przygotowali pyszną mistyfikację, na którą nawet ja się nabrałem. Cała ta misterna intryga z dziekanem O'Grady – wszystko to miało doprowadzić do mej eksplozji. Znali moją prostolinijność, wierzyli w szczerość. Musiałem zareagować, dać upust słusznemu gniewowi. A stary Patrick O'Grady, wspaniały druh, zagrał swoją rolę koncertowo! Udawał zaskoczenie, jakby o niczym nie wiedział. To jego grane zakłopotanie, udawane zażenowanie mą mową oskarżycielską – wyborne!

A cel był jeden i w te trzy dni samotności zrozumiałem, że wszystkim szło o moje ocalenie. Tylko tak radykalne zmuszenie mnie do opuszczenia archipelagu mogło ocalić moje dzieło. Inaczej – widzieli to wszyscy poza mną – zatraciłbym się w projekcie *Nowa Iona*. Nie słuchałem subtelnych aluzji, więc posunięto się do terapii szokowej. To jedyny sposób, teraz to wiem. Bolało, ale pomogło.

Będę za nimi wszystkimi tęsknił i wierzę, że im także będzie mnie brakować – zarażającego entuzjazmem Lesława Srebronia z dalekiej Polski, zza horyzontu. Wiedziałem, że dla nich zmuszenie mnie do opuszczenia Finneganów też było bolesne; dla mojego dobra rezygnowali wszak z mego towarzystwa. Ale nic nie zostało zmarnowane. Rzuciłem iskrę, od której zajmie się cały stos. Wiem, że zostawiam *Nową Ionę* w dobrych rękach. Europa zostanie ocalona. Moim przeznaczeniem jest Filip Włócznik.

Wtedy też podjąłem ostateczną decyzję, aby spisać wiernie finnegańskie wspomnienia. Ich tytuł zawdzięczam oczywiście geniuszowi Włócznika – jego ostatnia, nieukończona powieść to przecież *Sto lat bez słońca*. Uznałem, że wielki prozaik nie obrazi się za drobne zapożyczenie. A może nawet uzna to za jakże zasłużony i należny mu hołd skromnego wyrobnika światowej humanistyki?

Kiedy nadszedł właściwy dzień, spakowałem się i wsiałem na statek tygodniowy. Odprowadzali mnie wszyscy mieszkańcy Newport. Finnegańczycy porzucili niedopite piwo i zebrali się w porcie. Pomachałem im na pożegnanie, mając łzy w oczach. Bo przecież to był dobry, owocny czas. Statek odpływał, a ja wiedziałem, że już nigdy tam nie wrócę. Musiałem ratować mój mały świat, zagrożony nie mniej niż biedna cywilizacja Zachodu.

Spędziłem na Finneganach niecałe dziewięćdziesiąt dni, z czego aż dwadzieścia pięć było słonecznych. Ale to nie ma już teraz najmniejszego znaczenia.

*Kraków, sierpień 2013*

## Podziękowania

Skromna ta książeczka nie powstałaby nigdy bez inspiracji i wsparcia wielu osób, nawet tych, którzy o swej roli nic nie wiedzą. Im wszystkim chciałbym gorąco podziękować, licząc, że słowa te do nich dotrą i będą świadectwem mej żarliwej wdzięczności. Chciałbym zatem podziękować dziekanowi Patrickowi O'Grady'emu, któremu skromność kazała skrywać własną szlachetność czasem tak głęboko, że parę razy niemal ją przeoczyłem. Słowa wdzięczności należą się też wielkiemu Lwowi Michajłowiczowi Protopopowowi, który zaszczyił mnie swą przyjaźnią oraz dyskretnym i bezwarunkowym wsparciem, bez czego przetrwanie tych miesięcy byłoby niemożliwe. Osobne i osobiste podziękowania chciałbym złożyć na ręce Sadhbh O'Sullivan, których wspomnienie będzie mi towarzyszyć we wszystkich trudnych chwilach. Nie mogę też pominąć mego polskiego przyjaciela Marcina Swobody, z którym tyle razy dyskutowaliśmy przenikliwie aż po białe świt, uczestnicząc w życiu intelektualnym wyspy.

Zbiorowe, lecz szczere podziękowania winien jestem wszystkim członkom (*fellows*) St. Brendan College, którym zawdzięczam niemal tyle, co oni mnie. Wszyscy ci naukowcy pomogli mi zrozumieć prawdziwe powołanie. Nie sposób też nie wspomnieć o tych wszystkich bezimiennych Finnegańczykach, towarzyszach mego losu, surowych, lecz życzliwych, zamkniętych i otwartych zarazem, cichych świadków mych upadków i triumfów.

Wreszcie nie mogę pominąć w tych podziękowaniach moich wydawców, Kasi i Rafała Kosików, którzy w dowód zaufania od razu zaproponowali mi partnerską partycypację w kosztach tego pionierskiego przedsięwzięcia wydawniczego. Nie znajduję wprost słów uznania, by wyrazić mą wdzięczność również dla redaktora Michała Cetnarowskiego, którego uważna lektura moich zapisków pozwoliła mi samemu dostrzec własną wielkość; mozolnie oszlifował on diament, usuwając trzy czwarte tekstu, w tym między innymi trzydziestostronicowy traktat o maskonurach oraz wdzięczną rozprawkę o obyczajach godowych Finnegańczyków, namawiając jednocześnie gorąco do ich publikacji w innym miejscu. Dzięki jego trudowi świat ujrzy brylant.

Nad tym wszystkim unosił się dobrotliwie ukryty duch geniuszu Filipa Włócznika, nieruchomy poruszyciel mych działań, moja inspiracja, droga i cel. My wszyscy z niego. Kłonię nisko wysokie czoło.

*Lesław Srebroń PhD*